

MIESIĘCZNIK
SPOŁECZNO-
KULTURALNY

SLASK

CENA 7 Zł (w tym 5% VAT) ISSN: 1425-3917 NR INDEKSU 33328X www.slaskgtl.pl Nr 2 (305) • ROK XXVI • LUTY 2021



WĘGŁOWA
ALTERNATYWA

ISSN 1425-3917



9 771425 391707

fol. Tomasz Bienek



Od wielu lat trwa globalna debata nad wadami i zaletami energii produkowanej z węgla kamiennego. Podczas gdy obie strony tego sporu przywołują rozmaite argumenty, na dyskusję tą nakłada się sytuacja polskiego górnictwa węglowego i różne oblicza jego restrukturyzacji trwającej od lat 90.

Szczegóły str. 16

fol. Wojciech Kryński, z archiwum KWK Promes



Choć pojęcie „śląskiej architektury” kojarzy się głównie z różnego typu osiedłami robotniczymi w pobliżu hut i kopalń, to jednak ostatnie dekady przyniosły wiele unikatowych w skali kraju, wysoko nagradzanych realizacji. Zarówno nowoczesne budynki użyteczności publicznej, siedziby firm, jak i domy prywatne budowane według unikalnych koncepcji tworzą nowe oblicze górnośląskiej aglomeracji. Na zdjęciu katowicki „Dom z Ziemi Śląskiej”.

Szczegóły str. 48

fol. arch.



Park Militarno-Historyczny „Reduta” przy Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej to unikalna w skali regionu ekspozycja plenerowa poświęcona historii techniki i wojskowości. W skład kolekcji, dostępnej dla wszystkich zwiedzających, wchodzi wozy bojowe z różnych epok, placówka gromadzi też lekkie schrony z czasów ostatniej wojny. Trafiają tu wojskowe pojazdy ocalone ze składowisk złomu. Ekspozycja ta stale się rozwija.

Szczegóły str. 31

fol. Julia Montewska



Pałac w śląskim Daszowie jest jedną z tych arystokratycznych rezydencji, które bezpowrotnie straciły szansę, by stać się architektoniczną perełką regionu. Początki tego obiektu datowane są na XVI wiek. Co ciekawe, obiekt znajdował się w nie najlepszym stanie już przed wojną, jednak jego całkowitą destrukcję w wyniku szeregu zaniedbań i dewastacji, przyniosły lata powojenne.

Szczegóły str. 52

Nr 2 (305). Rok XXVI. LUTY 2021

WYDAWCA
GÓRNOŚLĄSKIE TOWARZYSTWO LITERACKIE
W KATOWICACH

WSPÓŁWYDAWCA

TADEUSZ SIERNY
Redaktor naczelnyANDRZEJ JARCZEWSKI
Zastępca naczelnego redaktoraMARIAN KISIEL
Zastępca naczelnego redaktoraTOMASZ BIENEK
Sekretarz redakcjiMARIA KORUSIEWICZ
Kultura, sztuka

Stali współpracownicy:

EWA BARTOS
MAGDALENA DZIADEK
MARIAN G. GERLICH
PIOTR GRELLA-MOŻEJKO
WIESŁAWA KONOPIELSKA
PAWEŁ MAJERSKI
JAN MALICKI
WOJCIECH LIPOWSKI
ZBIGNIEW LUBOWSKI
JULIA MONTEWSKA
JAN MIODEK
KATARZYNA NIESPOREK
JERZY PASZEK
DARIUSZ PIETRUCHA
KS. HENRYK PYKA
BOGNA SKWARA
HENRYK SZCZEPAŃSKI
JOANNA WAROŃSKA
EDWARD WIECZOREK
AGNIESZKA ZIELIŃSKAADRES REDAKCJI
40-036 Katowice, ul. J. Ligonia 7
zarzad@slaskwn.com.plDTP: Tomasz Kowalski
tomekk1959@tlen.plDruk: Zakład Poligraficzny Moś i Luczak Sp.j.
ul. Piwna 1, 61-065 Poznań tel. 61 633 71 65Materiałów niezamówionych nie zwracamy.
Redakcja zastrzega sobie prawo skrótów, poprawek i zmian
tytułów w tekstach przyjętych do druku oraz skracanie
korespondencji. Wydawca nie przewiduje honorariów
za publikowane materiały prasowe.

Warunki prenumeraty:

poprzez Oddziały i Delegatury „RUCHU”
na terenie całego kraju. Bezpośrednio
w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”
40-036 Katowice, ul. Ligonia 7, p. 120.
Wpłaty należy dokonywać na konto:
GTL – redakcja miesięcznika „Śląsk”
BGZ BNP Paribas o/Katowice
08 2030 0045 1110 0000 0407 9490Prenumerata roczna – 84 zł, półroczna – 42 zł, kwartalna
– 21 zł. Pismo w prenumeracie jest dostarczane pod
wskazany adres bez dodatkowych opłat.Prenumerata zagraniczna: poprzez Dział RUCH SA
Infolinia 0800 120 029. Tel. +48 022 532-87-31
www.ruch.com.plCena egzemplarza – 7 zł (w tym 5% VAT)
ISSN: 1425-3917 Nr indeksu: 33328XEgzemplarze archiwalne
handel@slaskwn.com.pl; tel. 32 258-07-56Czasopismo
„Śląsk. Miesięcznik społeczno-kulturalny”
dostępne w wersji elektronicznej na www.sbc.org.pl
oraz na www.slaskgtl.pl
Nakład: 1700 egzemplarzy

W NUMERZE

PUBLICYSTYKA

- 2 Tadeusz Sierny OD REDAKTORA
4 Jan Malicki BYŁO – NIE MINĘŁO. W DEKADĘ PO KONGRESIE KULTURY WOJEWÓDZTWA
ŚLĄSKIEGO
7 Stefan Zabierowski ODKRYWCA I PROMOTOR. KAZIMIERZ WYKA – BADACZ
BACZYŃSKIEGO
10 Ks. Henryk Pyka LUDZIE I MASZYNY
12 LISTY CZĘSTOCHOWSKIE Jarosław Kapsa PRZEJDZIEM WARTĘ
16 Wojciech Błasiak WĘGLOWY OBŁĘD I JEGO ALTERNATYWA
20 Piotr Skowronek HISTORIA OJCA. ROZMOWA Z HANNĄ ODORKIEWICZ-SIKOCIŃSKĄ
23 Grzegorz Sztoler TAJEMNICA BIOGRAFIA TECHNIKA DENTYSTYCZNEGO MULDKA
28 Antoni Wilgusiewicz SPOŁECZEŃSTWO LWOWA WOBEC POWSTAŃ I PLEBISCYTU
NA GÓRNYM ŚLĄSKU
31 Agnieszka Zielińska REDUTA ZNÓW OTWARTA!
34 Andrzej Jarczewski NAPĘDZAJĄ MNIE KONIE. ROZMOWA Z ELEONORĄ JOSZKO
42 Zbigniew Lubowski POZEGNANIE DAMY POLSKIEJ PIOSENKI
46 SEKRETY FANTASTYKI Michał Spurgiasz KIM BYLI BARDOWIE?
48 Edward Wieczorek ARCHITEKTURA WSPÓŁCZESNA – DUMA CZY OBCIACH?
52 ŚLĄSKIE TAJEMNICE Julia Montewska PAŁAC W DASZOWIE
58 PO-GWARKI PROFESORA Jerzy Paszek MANUSKRYPT ODNALAZIONY W MOSKWIE
73 Krystyna Sz wajkowska CZYM JEST SWOBODA TWÓRCZA?
74 Wojciech Lipowski NIC DO UKRYCIA

PLASTYKA, MALARSTWO, FOTOGRAFIA

- 68 KRYSZYNA SZWAJKOWSKA – SYLWETKA ARTYSTKI
69 GALERIA: KRYSZYNA SZWAJKOWSKA – MALARSTWO

POEZJA I PROZA

- 3 WIERSZ NA OTWARCIE Janusz Pasternski DZISIAJ KLUCIE
14 Janusz Pasternski WIERSZE
44 Maciej Melecki WIERSZE
54 Juliusz Wątroba KRWAWA KAŚKA (Fragment)
78 Jacek Sosiński WIERSZE

FELIETONY

- 26 Michał Sikora GRANICE PAŃSTWA, GRANICE KOŚCIOŁA
30 JĘZYK W STRUNACH Piotr Grella-Możejko PŁYTA, KTÓRĄ TRZEBA MIEĆ
36 ŚLĄSKA OJCZYZNA POLSZCZYŻNA. Jan Miodek DZIERŻ SIĘ, PATRZ TAM JAKO!
37 MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM Marian Gerlich ERWIN SÓWKA. OD LOKALNOŚCI
KU UNIWERSALNOŚCI
38 BŁYSKI I ZAPATRZENIA Marian Sworzeń TADEUSZ SOBOLEWSKI, DZIENNIK
40 MUZYKA MOJA MIŁOŚĆ Krzysztof Korwin-Piotrowski WALENTYNKI – OD
MARTYNIUKA DO NAPOJU MIŁOSNEGO I ŚMIERCI
41 BIAŁE KRUKI Jan Malicki SIÓDMY ZE STU

KSIĄŻKI

- 60 Paweł Majerski PRZYBÓŚ SCALONY
62 Anna Tokarska PRZESTRZENIE BIBLIOTECZNE I LITERACKIE
64 Andrzej Juchniewicz SAGA O WĘGLOWEJ KRAINIE
65 Tomasz Pyzik Z PRACOWNI DZIEŁ OSTATECZNYCH
66 Piotr Skowronek OBCA STOJĘ OBOK
67 ks. Tomasz Wojtal WSPÓLNY DOM
67 Marian Uherek RYBNIK ZNANY I NIEZNANY
80 KSIĄŻKI NADEŚLANE

NOTATNIK KULTURALNY

76 CZĘSTOCHOWA, KATOWICE

Na okładce:

Krystyna Sz wajkowska, Struktury życia XXXIX, Globalne ocieplenie, druk wypukły, szablony,
100x70 cm, 2019 r.

Tylne, wewnętrzna strona okładki:

Edward Wieczorek, fotografia, Katowice, budynek biurowy „Chorzowska 50”.

Tylne, zewnętrzna strona okładki:

Henryk Bzdok, ze zbioru *Jest śnieg*. Fotografia, 2021.

Od Redaktora

Eksperci Instytutu Badań Fundacji WWF Polska przewidują, że do roku 2030 możliwe jest w województwie śląskim wytworzenie 75–85 tysięcy nowych miejsc pracy w branżach przyjaznych klimatowi, takich jak budownictwo, przemysł samochodowy, logistyka, usługi biznesowe, turystyka, medycyna, administracja i in.

Te optymistyczne prognozy zawarto w dokumencie nazwanym „Kierunki Transformacyjnego Planu Sprawiedliwej Transformacji dla Województwa Śląskiego”.

Samorząd województwa powołuje Komisję ds. Transformacji Regionu oraz kontynuuje prace nad Strategią Rozwoju Systemu Transportu Województwa Śląskiego.

Nasze województwo dysponuje kilkunastoma dokumentami strategicznymi, w tym m. in. Strategią rozwoju województwa śląskiego „Śląskie 2030”, Regionalną Strategią Rozwoju Gospodarczego i innymi dokumentami sektorowymi. Znanymi są rządowe programy gospodarcze dedykowane dla naszego województwa. Projekcji przyszłości regionu jest więc wiele.

Mieszkaniec Katowic może z podziwem obserwować pnące się w niebo kolejne wieżowce, zapowiadające burzliwy rozwój (?) różnorodnej działalności biurowo administracyjnej.

Jednak w tej sytuacji niepokoić musi kompletny brak zainteresowania zarówno władz administracyjnych, samorządowych, jak i środowisk twórczych oraz naukowych pomijaną milczeniem, konieczną do zbudowania nową konstrukcją **Strategii Rozwoju Kultury w województwie śląskim**. Dokument jakim dysponują władze samorządowe województwa w swoich głównych założeniach powstał w 2006 roku, był wielokrotnie modyfikowany, obecna wersja sięga swoją datą minionego 2020 roku. Niestety, kolejne, wprowadzane do tego dokumentu w ciągu ostatnich czternastu lat uzupełnienia nie odmie-

niły jego wyłącznie formalnego, statystycznego i instytucjonalnego sposobu postrzegania i prezentowania zagadnień kultury w naszym województwie. Zmiany jakie zaszły i zachodzą w społeczności województwa, problemy funkcjonowania zarówno instytucji kultury, jak i organizacji pozarządowych (np. kłopoty z kopalnią w Tarnowskich Górach), organów administracji samorządowej nadzorujących instytucje kultury, wreszcie zmiany obyczajowe i... edukacyjne spowodowane m.in. pandemią czynią zagadnienia kreowania kierunków rozwoju kultury w województwie niezwykle istotnymi. Dodatkowym impulsem dla podjęcia takich działań jest i ta okoliczność, że aktualna rządowa Strategia Rozwoju Kapitału Społecznego także pewnie będzie podlegać modyfikacji lub uzupełnieniu, bowiem jej horyzont czasowy zamknięty jest minionym rokiem 2020. Trudny, pandemiczny rok przyniósł wiele nowych doświadczeń zarówno dla artystów, twórców, instytucji oraz publiczności kulturalnej.

W konsekwencji zachodzących zmian w strukturze zawodowej, dalszych radykalnych przekształceń różnych branż gospodarki (nie tylko górnictwa), krytycznej depopulacji dotychczasowych głównych ośrodków miejskich w województwie, w sposób niemalże niepostrzegalny zmienia się także struktura instytucjonalna kultury (np. rozwój prywatnego muzealnictwa, ubywanie bibliotek), edukacji (np. likwidacja wielu niepublicznych szkół wyższych, ale rozwój publicznego szkolnictwa podstawowego i średniego), zachodzą zmiany hierarchii wartości estetycznych (np. wzrastająca popularność muzyki disco polo), dostrzegana jest ewolucja stosunku młodzieży do wiary, religii, radykalizacja postaw oraz wielu innych zjawisk, na co dzień wyrwykowo komentowanych przez publicystów, czasem polityków – gdy są one dla nich nazbyt dolegliwe.

Jak niebezpieczne dla struktury społecznej może być ignorowanie zjawisk z sfery kultury lub traktowanie ich wyłącznie instrumentalnie można się przekonać po lekturze opublikowanego – w 2019 roku raportu CBOS pt. „**Młodzież 2018**” pod red. M. Grabowskiej i M. Gwiazdy. Autorzy raportu wśród wielu zagadnień analizują m.in. aspiracje, dążenia i plany życiowe młodzieży, postawy prospołeczne zainteresowania i aktywności, a więc kwestie rodzące się na bazie kompetencji kulturowych, dostępu do wzorów i modeli kultury, różnych ofert kulturowych; stwierdzają m.in. że wielu młodych ludzi ma problemy doboru właściwych słów kluczy umożliwiających wyszukanie potrzebnych informacji w sieci, np. z zakresu doradztwa dotyczącego pracy, nauki. Przeszkodą są skromne kompetencje językowe. Takich zjawisk jest wiele więcej. Samo projektowanie zmian gospodarczych bez monitorowania ewolucji treści kultury i kompetencji kulturowych społeczeństwa może w dłuższym czasie okazać się niewystarczające.

Dlatego otwierając ewentualną dyskusję o strategii (-giach?) rozwoju kultury w naszym regionie warto sięgnąć nie tylko po cenną wiedzę dyrektorów instytucji kultury, kompetencje naukowców, emocje twórców, ale przede wszystkim zorganizować efektywny, uspołeczniony system komunikacji z uczestnikami, animatorami życia kulturalnego, klientami owych instytucji kultury, konfrontując opinie profesjonalistów, czerpać także z rad i wniosków formułowanych przez czytelników, widzów, słuchaczy, tych, którzy na co dzień doznają wszystkich dobrodziejstw i dolegliwości, kolejnych burzliwych czasów w jakich przyszło nam żyć.

Tadeusz Sierny

Dzisiaj kłucie

Dzisiaj boli mnie serce, całkiem dosłownie,
jakieś kłucie w klatce jak echo silnego wiatru,
który nie daje spać i napiera wciąż na drewniany
dzwonek przy oknie. Tak kończy się zima i coś

jeszcze, czego nie potrafię już znaleźć na ulicach,
wybrzuszonych chorobliwie nad mokradłami.
Z ławki dochodzą czyjeś krzykliwe głosy, a ja
straciłem język, nie umiem już do nikogo mówić.

Nawet gdy mi się zdaje, że właśnie powiedziałem
jakieś słowo, w powietrzu nie ma żadnego śladu,
na twarzach pustka, kwanty wirują dookoła,
są i nie są zarazem, zupełnie jak ja. To chyba

musi tak być, że mowa schodzi w głąb ciała,
ukrywa się w trzewiach coraz mocniej, zasłania
krwią i jedwabną skórą. I wtedy ten wiatr jest
we mnie, i zaczyna się kłucie, całkiem dosłowne.

Było – nie minęło. W dekadę po Kongresie Kultury Województwa Śląskiego

Kongres Kultury Województwa Śląskiego 23–25 września 2010

Kongresy odchodzą w przeszłość. Może z wyjątkiem jednej dziedziny, jaką jest polityka. Partie lubią odświętności – okolicznościowe i wielosezonowe, z manifestacją jedności, przemową lidera i estetyką dziś coraz częściej w stylu glamour. W rzeczy samej naturalna kolej rzeczy.

Jednak są dziedziny aktywności ludzkiej, które wymagają zupełnie innego traktowania, innego modelu działania, tak w krótkim, jak i dalekim polu widzenia. To styk, a może związek między nauką a kulturą. Obie kategorie są nad wyraz pojemne, obejmując swoim obszarem szereg dziedzin nieraz tak odległych od siebie, że trudno je porównywać, a z pewnością już nie identyfikować. A jednak na poziomach najwyższych uogólnień wskazują te cechy, które współtworzą paletę założeń, współkreujących zbieżny krąg metodologicznych uogólnień. Paletę, wzbogacaną przez analizy poczynań praktycznych, określając przy tym kierunki na przyszłość. O ile chce się je wykorzystać.

Ludzie kultury i ludzie nauki w swoim zawodowym optymizmie wierzą, iż to oni tworzą i wyznaczają wektory przyszłości. Może w perspektywie pokoleń. Ale nie zawsze w perspektywie bliższej. Jest bowiem zupełnie inaczej, zwłaszcza w peryferyjnych strefach; to ich osiągnięcia wykorzystywane są wtedy, gdy do prozy codziennego życia potrzebne jest jego uwznioślenie, uszlachetnienie, niczym kwiat w butonierce. Ale jest też kropla optymizmu. Właśnie czas; ten bliiski, symboliczne „dzisiaj” i dalsze „jutro”; oceniający i weryfikujący owo „wczoraj” lub jeszcze dalej – „przedwczoraj”.

Owa względność czasu i przemijających wartości, ich migotliwa zmienność, a ostatecznie antywaryczność zdarzeń, pozwala ina-

czej spojrzeć wstecz, zweryfikować ówczesne sukcesy, satysfakcje, kłęski. Określić siłę lub słabość analiz, głoszonych hipotez, wskazywać hamulcowych, ale i skutki ich poczynań, ocenianych już z perspektywy współczesności; swoistego wężła gordyjskiego spraw i sprawek.

Nieprzypadkowo rozpocząłem rozważania od uwag metodologicznych. Pisząc bowiem o kongresie kultury i wyodrębniając dwa światy intelektualnego arystokratyzmu: naukę i kulturę, zwróciłem uwagę na istotną konieczność tamtego okresu, jakim było ujednoczenie i ustabilizowanie systemu organizacji instytucji kultury w całym województwie. Pozwoliło to zdiagnozować i zbudować fundamenty ich działań mogących się stać stabilną podstawą wzajemnych relacji między głównie instytucjami kultury a ich organizatorami, a więc Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, czy jednostkami samorządu lokalnego; marszałkowskiego, powiatowego, gminnego. Wtedy było to zrozumiałe. Wszak w roku 2010, w roku Kongresu, istniało na terenie naszego województwa samorządowego 1371 instytucji kultury – teatrów, instytucji muzycznych, muzeów, galerii, bibliotek z filiami, domów kultury. Ale też był to okres wciąż jeszcze kształtowanego modelu kultury w strukturach samorządowych. Form jego finansowania, a nawet tak prozaicznych i prostych, jak rola np. dyrektorów wydziałów, ich pozycji wobec marszałka, ale i wobec dyrektorów instytucji, którzy zawsze byli na łasce lub niełasce pośredniego (wbrew uwarunkowaniom prawnym) pryncypała.

Ale co gorsza, również instytucja przez nich zarządzana była sekowana.

W wydziałach np. zawsze weryfikowano przygotowane plany finansowania jednostek, gwaran-

tujące ich stabilizację materialną, ale i poczynań merytorycznych. Ich ostateczną wersję dyrektor wydziału podsuwał zarządowi do zatwierdzenia, a podpisywał marszałek. Wtedy dyrektor, nie akceptując ważnych działań artystycznych, mógł spokojnie wykonać gest „kellnera”: nie ja, to on. I marszałek musiał się publicznie tłumaczyć z gestu podwładnego. Dlatego ogromnym szokiem po pierwszym kongresie 1998 roku było wystąpienie pierwszego marszałka województwa śląskiego dra Jana Olbrychta, który na spotkaniu z dyrektorami instytucji marszałkowskich mówił o roli dyrektora wydziału wyłącznie jako o pierwszym z równych. I tylko pierwszym z równych. Do dzisiaj to nieziszczalna idea.

Wtedy zbyt silną osobowością była ówczesna dyrektorka; a dziś jej następcą – szkoda gadać.

Jak ważny był ów „kręgosłup kultury” niech świadczy fakt, iż w dniach trwania Kongresu Kultury Województwa Śląskiego w dniach 23 do 25 września 2010 roku, ponad 60 instytucji i stowarzyszeń twórczych województwa zadedykowało swoje działania na jego rzecz. Była to rzeczywiście manifestacja jedności ludzi kultury. Dotykamy drugiego, ważnego zagadnienia, które było znakiem rozpoznawczym tamtego czasu. Jedność środowiska twórców, popularyzatorów i odbiorców. To był moment, w którym spotkali się ze sobą uczeni, humaniści, pisarze, dziennikarze, aktorzy poza sceną, animatorzy, organizatorzy imprez, potencjalni mecenasi. To zaledwie niektórzy, spośród rzeszy zainteresowanych. Czy wszyscy byli usatysfakcjonowani? Chyba nie.

Ale sam fakt spotkania tak różnych osób i profesji stał się zarysem innych jeszcze form kontaktu. Tak przyjacielskiego, jak też dzie-

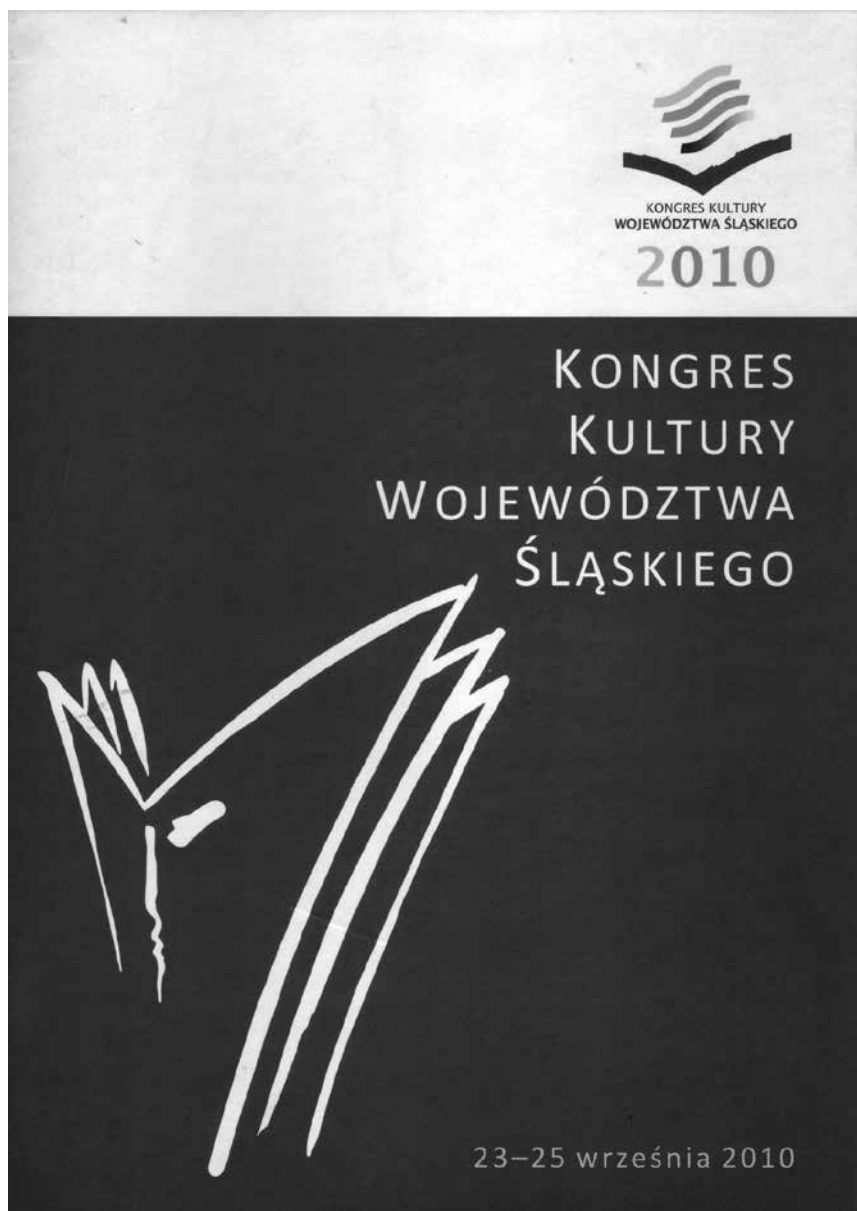
dzinowego; chociażby systematyczne spotkania branżowe np. dyrektorów teatrów, co miało swoje odbicie w planach repertuarowych, jak też artystycznych.

I gdy patrzę z perspektywy wpływającej dekady, to właściwie szkoda, że zarówno Los i Czas sprawił, że zamiera wielki wyróżniający człowieka sposób istnienia, jakim jest publiczna rozmowa z sympatią dla rozmówcy, deliberowanie, rozważanie. Szczególnie, gdy sięgam po Schopenhauerowską „Erystykę czyli sztukę prowadzenia sporów”, wybierając jeden z 37 sposobów, pomijając ostatni, który brzmi: Jeżeli się spostrzeżę, że przeciwnik jest silniejszy i że w końcu nie będzie się miało racji, to atakuje się go w sposób osobisty, obraźliwy, grubiański.

Właśnie rozmowa, comiesięczne spotkania, dyskusja nad już powstającymi fragmentami referatów stała się tym, co zazwyczaj określamy jako zaplecze naukowe kongresu. I właśnie w tym upatrywałbym owego iunctim między kulturą i nauką. W swojej istocie bowiem naukę cechuje prawda, obiektywizm, oryginalność teorii i przenoszonych w sferę praktyki poczyni. To także nowość konfrontowana z przeszłością. Wpisywanie się w nią. Siłą jej jest nade wszystko diagnoza. Stąd niezwykle ważne były już w czasie trwania kongresu referaty wprowadzające znakomitych uczonych, profesorów: Ewy Kosowskiej, Marka S. Szczepańskiego i Anny Śliz, Jolanty Tambor oraz Wojciecha Świątkiewicza, którzy ukazali wieloaspektowy wymiar i specyfikę naszego województwa, ludzi i ich problemów, ale i niezwykle skomplikowany system uczestnictwa w kulturze.

Jednak uwagę uczestników skupiło niezwykle ważne wystąpienie prof. Marka S. Szczepańskiego i Anny Śliz, którzy dokonali analizy zjawiska fundamentalnego dla kultury, jaką jest regionalna tożsamość. Mówili o tym w momencie, gdy spis powszechny wykazał, iż około 170 tysięcy osób wybrało opcję śląską, która na dodatek nie była w spisie ujęta. Dodajmy – na ponad 4 mln mieszkańców województwa. Z drugiej zaś strony w przededniu wyborów samorządowych, które do samorządu województwa wprowadziły czterech radnych Ruchu Autonomii Śląska.

To on przez dwie kadencje sprawował pieczę nad kulturą w ramach umowy koalicyjnej z Platformą Obywatelską. Oceny tej opieki dokonali wyborcy podczas ostatnich wyborów samorządowych. Jednak dwa wydarzenia należy uznać za osią-



gnięcia tej koalicji politycznej; jeden – to Szlak Zabytków Techniki, drugi – to powołanie z mojej inicjatywy Instytutu Badań Regionalnych Biblioteki Śląskiej, kierowanego od początku przez prof. Ryszarda Kaczmarka.

O ile jednak kongres był zorientowany na zewnątrz, budowania silnej kultury uniwersalnej na tle kraju, o tyle sytuacja pokongresowa, powyborcza skierowana została do wewnątrz, do w gruncie rzeczy nielicznych grup miłośników i sympatyków regionu. A na dodatek skłócając społeczności wewnątrz województwa.

Z ogromną rezerwą spoglądano na Opolszczyźnie i Dolnym Śląsku na nasze poczynania. Z Opolszczyzną łączyły nas przecież od lat wspólne nagrody przyznawane przez obu marszałków: imienia Karola Miarki i teatralne „Złote Maski”. Czy są jeszcze kontynuowane w tym wymiarze?

Mariaż kultury i polityki zawsze jest groźny, a dla kultury zabójczy. Tak było jednak zawsze. A fundusze niestety, zawsze są przy rządzących. Stąd i próba demokratyzowania zasad przez kongres ich partycypacji. Jednak solą kultury są twórcy; ci honorowani i ci, których dokonania stają się wartością lokalną, nie zawsze dostrzeganą przez krytyków. Ich głos też był słyszalny, choć nie aż tak, jak na to zasługiwał. Podnoszono to również w podsumowaniu.

Powtórzę. Myślę, że czas kongresów już minął. Nie są już one oczekiwane. Środowiska w dużej mierze się zatomiastowały, zanikają lub zmieniają swoją formę na manifestacje środowiskowe, coraz częściej dostrzec można swoiste zagubienie intelektualne. A może jedynie brak inspiracji? Pesymistą nie jestem.

I jak w genologii literackiej nie ma już miejsca na krystalicznie czyste gatunki, tak w życiu artystycznym już rodzą się nowe zjawiska, po które sięgają krytycy po-ponowoczesności.

Rada Programowa Kongresu Kultury Województwa Śląskiego:

Jan Malicki – Przewodniczący Rady
Dariusz Miłkowski – Wiceprzewodniczący
Mariusz Wróbel – Wiceprzewodniczący
Miroslaw J. Błaszczyk
Tadeusz Bradecki
Krystyna Doktorowicz
Łucja Ginko
Ewa Gołębiowska
Marcin Herich
Tadeusz Kijonka
Marian Kisiel
Andrzej Klasik
Maciej Klauss
Eugeniusz Knapik

Tomasz Konior
Katarzyna Łata Wrona
Przemysław Łukasik
Tadeusz Miczka
Katarzyna Olbrycht
Marian Oslisło
Jacek Owczarek
Adam Pastuch
Anna Sekudowicz
Krzysztof Siwczyk
Marek Szczepańskiego
Czesław Tarczyński
Marek Zieliński

Elementy merytoryczne Programu Kongresu:

23.09.2010

Obrady plenarne:

prof. **Ewa Kosowska**: Kultura w województwie śląskim
prof. **Marek Szczepański**: Tożsamość mieszkańców województwa śląskiego (socjologiczne aspekty tożsamości)
prof. **Jolanta Tambor**: Kulturowe wyznaczniki tożsamości
prof. **Wojciech Świątkiewicz**: Kultura a rozwój społeczny w regionie

Tematyka rozmów panelowych:

prof. **Marek Szczepański**, prof. **Jolanta Tambor**: Kultura a tożsamość regionalna
red. **Tadeusz Kijonka**: Twórca – jego miejsce i rola we współczesnym społeczeństwie
red. **Anna Sekudowicz**, prof. **Krystyna Doktorowicz**: Media – kultura regionalna
prof. **Marian Oslisło**: Młoda kultura i nowe formy komunikacji
Mariusz Wróbel: Promocja kultury
dr **Jacek Owczarek**: Ochrona dziedzictwa, jakość przestrzeni publicznej, turystyka kulturowa

24.09.2010

Obrady plenarne

prof. **Marian Oslisło** (nowe media), **Ewa Gołębiowska** (design), **Tomasz Konior** (architektura) Kultura a innowacyjność
prof. **Andrzej Klasik**: Sektor i przemysł kultury w rozwoju regionu na przykładzie aglomeracji górnośląskiej
prof. **Tadeusz Sławek**: Projekt Katowice – miasto ogrodów ESK 2016
Tomasz Szabelski: Analiza potrzeb kulturowych mieszkańców województwa śląskiego
prof. **Katarzyna Olbrycht**: Edukacja kulturalna-potrzeby uwarunkowania, perspektywy
prof. **Jan Malicki** (biblioteki), **Leszek Jodliński** (muzea), **Mariusz Wróbel** (domy kultury): Nowe modele upowszechniania kultury

Tematyka rozmów panelowych:

Dariusz Miłkowski: Szkolnictwo i instytucje artystyczne
Adam Pastuch: Edukacja dla kultury – kompetencje kulturowe mieszkańców
Łucja Ginko: Organizowanie i finansowanie działalności kulturalnej (instytucje kultury, NGO, firma, środki publiczne, środki prywatne)
Ewa Gołębiowska: Kultura a innowacyjność – od projektu do wdrożenia
Maciej Kluss: Upowszechnianie i animacja kultury – muzea, domy kultury, biblioteki – kierunek zmian
Andrzej Klasik: Kultura i gospodarka

Od Redakcji: Materiały kongresowe opublikowało w roku 2011 Wydawnictwo Naukowe „Śląsk” w książce zatytułowanej: **Kongres Kultury Województwa Śląskiego 23–25 września 2010**, Katowice 2011, s. 213 + 8 nlb.

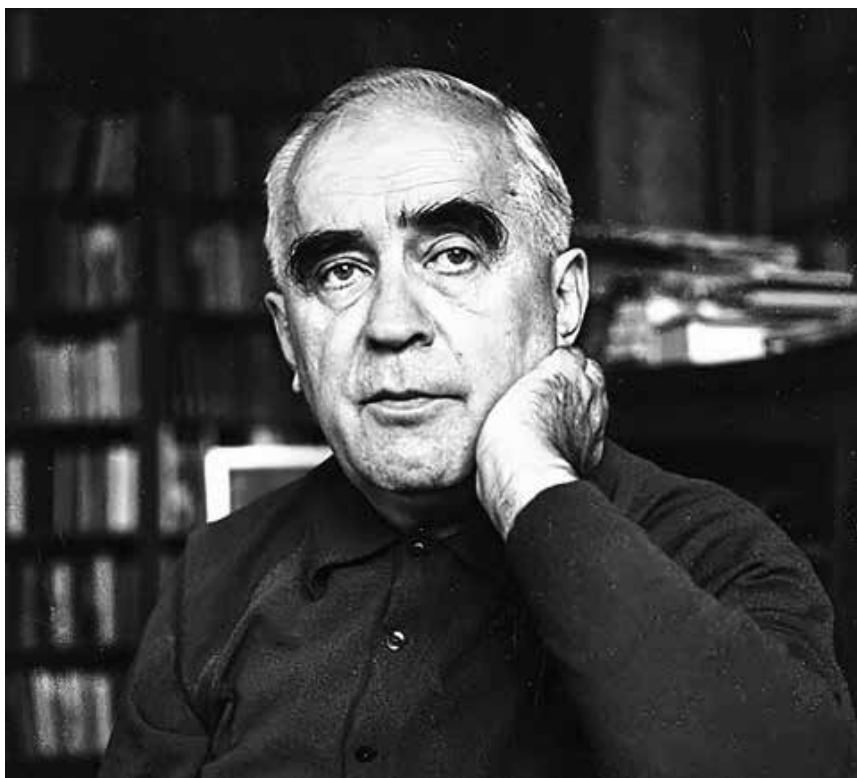
Rozważania niniejsze rozpocznę od wypowiedzenia tezy, którą w toku tych wywodów postaram się udowodnić. Teza ta brzmi: miejsce, które przypadło Krzysztofowi Baczyńskiemu w dziejach literatury polskiej jest w dużej mierze zasługą Kazimierza Wyki. I to zasługą w sensie podwójnym – jako wydawcy całości (lub prawie całości) dorobku literackiego Jana Bugaja (literacki pseudonim Baczyńskiego) oraz jako tej twórczości wybitnego interpretatora.

Po latach Wyka wspominał: „Baczyńskiego poznałem gdzieś zimą 1941/42 roku. [...] Jakie wrażenie robił ówczesny Baczyński? To jest tak jak ślad, zupełny ślad starej, zatartej fotografii. Niepozorny, milczący, palił dużo, piękne oczy, jakiś zamknięty w sobie, niełatwy do rozmowy, niełatwy do rozruszania. Wiele więcej pamięć mi nie zachowała”.

Kim byli wówczas ci dwaj rozmówcy? Krzysztof Kamil Baczyński (rocznik 1921), był absolwentem warszawskiego liceum Stefana Batorego, w którym w maju 1939 roku zdał maturę i miał zamiar studiować grafikę na warszawskiej Akademii Sztuk Pięknych. Wybuch wojny i okupacja hitlerowska przekreśliła te plany. Przez krótki czas uczęszczał do Miejskiej Szkoły Sztuk Zdobniczych i Malarstwa im. C.K. Norwida. Baczyński od lat młodzieńczych uprawiał twórczość poetycką. Do literatury okresu wojny wszedł dzięki dwu tomikom, wydanych w roku 1940, w nakładzie 7 egzemplarzy każdy, w „Bibliotece Sublokatorów Przyszłości”, a mianowicie *Zamknięty echem* i *Dwie miłości*.

Kazimierz Wyka (rocznik 1910) był już od debiutu w roku 1932 liczącym się krytykiem literackim młodego pokolenia, autorem około 150 pozycji krytycznych. Był też świetnie zapowiadającym się naukowcem, historykiem literatury, o godnych uwagi dokonaniach. Pracując jako asystent na Uniwersytecie Jagiellońskim, obronił w roku 1937 rozprawę doktorską na temat *Studia nad programem Młodej Polski*. Rozprawa ta zakwalifikowana do druku i znajdująca się w drukarni nie ukazała się z powodu wybuchu wojny. Ostatecznie jednak wyszła drukiem, w zmodernizowanej postaci, dopiero w roku 1959 i potem była parokrotnie wznowiana pt. *Modernizm polski*.

Również przed wojną Wyka ukończył pracę pt. *Zagadnienie pokoleń literackich na tle polskiego klasycyzmu i romantyzmu*. Losy tej książki były jeszcze bardziej skomplikowane, uznana była za zaginioną i odnaleziona – już po śmierci Wyki – przez prof. Henryka Markiewicza – ukazała się w roku 1977 pod tytułem *Pokolenia literackie*. Omówioną w tej pozycji kategorię pokolenia, Wyka miał później za-



Kazimierz Wyka

Odkrywca i promotor

Kazimierz Wyka – badacz Baczyńskiego

STEFAN ZABIEROWSKI

stosować także do interpretacji dorobku Krzysztofa Baczyńskiego.

Jeszcze ważniejsze dla obu tych postaci było drugie spotkanie poety i uczonego krytyka. Przywołajmy raz jeszcze wspomnienie Wyki: „Z kolei, ale to już było w roku 42, przy następnym pobycie w Warszawie, przy którymś z następnych pobytów, otrzymałem od Baczyńskiego [...] jego *Wiersze wybrane*. Ten pierwszy, reprezentacyjny tom okupacyjny Baczyńskiego. Pomijam tutaj mniejsze, te w paru tylko egzemplarzach robione wydania utworów Baczyńskiego; one wszystkie są wyczerpane, jeśli się zachowały, w przypisach tekstologicznych do tych obydwu wydań quasi-zbiorowych Baczyńskiego”.

Wiersze zebrane Jana Bugaja, wydane w 100 egzemplarzach, były pierwszym poważnym tomem poety i wzbudziły szersze zainteresowanie, choć w głosach krytycznych opinie były różne. Pisał o tym tomiku w czasopiśmie „Sztuka i Naród”, pod pseudonimem Karola Topornickiego, poeta Tadeusz Gajcy: „Ogólny poziom wierszy bardzo nierówny. Różnice są uderzające. Wierszy dobrzych 4–5, reszta na poziomie lub słaba. Jest jednak nawet w tych słabszych utworach cecha wiążąca je z osiągnię-

ciami szczęśliwszymi. To cecha pewnej dostojności wewnętrznej, pewien duchowy patos, który niekiedy ujawnia się przykro, pretensjonalnie. Poetka Bugaja jest poezją nie tyle refleksyjną, ile medytującą, filozofującą. Nawet erotyki są przesycone powagą, która brzmi często fałszywie, nawet – śmiesznie”.

W kontekście takich ocen jakże inaczej brzmi, omawiający ten tomik Baczyńskiego, drukowany anonimowo, na łamach konspiracyjnego, krakowskiego „Miesięcznika Literackiego” *List do Jana Bugaja* Kazimierza Wyki.

Piękny esej Wyki posiada dwa składniki o kluczowym znaczeniu. Po pierwsze, sytuje twórczość Baczyńskiego na mapie literatury polskiej. Wskazuje na związki tej twórczości z tradycją romantyczną oraz ze współczesnymi tendencjami literackimi okresu międzywojnia. Wyka pisał: „Więc gdzie są patronowie poezji Pana? Proponuję cztery nazwiska, o układzie dosyć dziwnym, ale przecież zapowiedzieliśmy już wolność wyboru, kiedy stajemy w obliczu tradycji – Słowacki, Norwid, Miłosz, Czechowicz. Patronowie dwaj główni i ci dwaj poeci, których styl z Pana stylem jest jakoś spojony,

jednorzędny, niestety – nie wiem, czy tę jednorzędność będę umiał przybrać w formuły krytyczne, chociaż mocno ją odczuwam”.

Drugim ważnym stwierdzeniem – zawartym w tym eseju – była lokalizacja twórczości Baczyńskiego wśród przedstawicieli współczesnego mu pokolenia, które dziś najczęściej nazywane jest „pokoleniem Kolumbów”. Wyka pisał: „Nie każdemu tak wczesnie jest dana pełna dojrzałość artystyczna. Jest Pan pierwszy i życzyłbym Panu, by nie tylko w chronologii wystąpienia pozostał Pan pierwszy. Nie życzyłbym wszakże Panu, by Pan pozostał samotny. Chciałbym, mam nadzieję, że wszystko, co żywotne i świeże w liryce Pana odczuwane będzie przez Pana rówieśników jako podobnie ich dotyczące zadanie poetyckie”.

Krótko mówiąc, Baczyński uznany został przez znanego krytyka Kazimierza Wykę, za najwybitniejszego poetę generacji wojennej. Diagnoza Wyki sprawiła Baczyńskiemu ogromną przyjemność. Reakcją żony poety, Barbary, na ów tekst Wyki tak relacjonował ich wspólny kolega z tajnej polonistyki, Zbigniew Wasilewski: „Pamiętam, Basia oświadczyła mi wyraźnie, że jest to »pierwsza i na pewno nie ostatnia« poważna ocena twórczości Krzysztofa przez wybitnego krytyka, że Wyka pierwszy poznał się na Krzysiu”.

Poeta odwdziaczył się swemu krytykowi obdarowując go, wydanym w roku 1942, w 1 egzemplarzu zbiorkiem, zatytułowanym skromnie 3 wiersze. Na odwrotnej stronie okładki wpisana była dedykacja: „Szanownemu Panu Kazimierzowi Wyce, pierwszemu krytykowi, z którego sądami o moich wierszach zgadzam się całkowicie. Ofiaruję z wyrazami wielkiego uznania i przyjaźni Krzysztof Baczyński”.

Jedno z kolejnych spotkań miało charakter dramatyczny. Miało ono miejsce w momencie, kiedy Baczyński postanowił wstąpić do konspiracji zbrojnej i został żołnierzem – owianych legendą formacji Armii Krajowej, najpierw batalionu „Zośka”, później batalionu „Parasol”. Nie była to jedynie przynależność formalna. Baczyński brał czynny udział w działaniach dywersyjnych i zbrojnych, między innymi w akcji Tłuszcz–Urle, kiedy wysadzono – wracający z frontu z żołnierzami – pociąg niemiecki. Przystąpienie Baczyńskiego do podziemnego wojska spotkało się z protestem starszych kolegów-literatów. Obawiano się utraty wielkiego talentu. Usiłowali oni wpłynąć na zmianę decyzji podchorążego. Przywołajmy znów wspomnienie Wyki:

„Ostatni raz widziałem Krzysztofa pod koniec czerwca 1943 roku. To spotkanie mi bardzo utkwiło w pamięci. [...] Wiedziałem oczywiście, że Baczyński ukoń-



Krzysztof Kamil Baczyński

czył Podchorążówkę, że ma stopień podchorążego, wiedziałem w którym batalionie Armii Krajowej on się znajduje. I wtedy, podobnie jak każdy z nas, zacząłem mu tłumaczyć, czy naprawdę jest rzeczą potrzebną, ażeby on z bronią w rękę szedł do Powstania, że może lepiej by siebie przechować, nie wiadomo jak to będzie. Baczyński się bardzo zachnął, jak był opanowany, tak zachnął się wręcz gniewnie, i oto powiedział mi wprost: »Proszę pana, kto jak kto, ale pan to powinien wiedzieć, dlaczego ja muszę iść, jeżeli będzie walka»”.

Motywy, którymi kierował się Baczyński najlepiej wyjaśnił jego kolega ze studiów tajnej polonistyki warszawskiej, Zbigniew Wasilewski. Pisał on, że Krzysztof:

„Pamiętał Mickiewicza i »swego« Słowackiego rozrachunki sumienia za uchylenie się od walki zbrojnej w roku trzydziestym pierwszym. Uwierzył w mit poety-żołnierza, tak mocno obecny w tradycjach literatury polskiej, który sam zresztą w swych wierszach kontynuował i współkształtował. Słaby i chory na astmę, nienawidzący i brzydzący się swej nienawiści, rozdwojony na miłość i walkę, na świadomość swego przetrwania i ziemską, ułomną doczesność, zapragnął pokazać że »jest ze swego pokolenia« – równy z innymi”.

Jak wiadomo Krzysztof Kamil Baczyński wziął czynny udział w Powstaniu Warszawskim. Uczestniczył w zdobyciu Ratusza i Pałacu Blanka, wówczas siedziby niemieckiego starosty. Zginął w dniu 4 sierpnia 1944 roku, najprawdopodobniej w oknie pierwszego piętra Pałacu Blanka, choć niektóre ślady przemawiają za tym, że mógł zginąć w wieży Ratusza. Wspominał Zbigniew Czajkowski, podwładny Krzysztofa:

„Wieczorem odbył się pogrzeb poległego z Pałacu Blanka. Na dziedzińcu wykopano dół i zeszło się kilkanaście osób. Przyniesiono ciało przykryte papierem. W momencie wkładania ciała do grobu spostrzegłem w klapie kurtki małą odznakę »Agricoli« (konspiracyjnej Szkoły Podchorążych). W tej chwili przyjrzałem się baczniej ciału. Że też wcześniej nie zwróciłem uwagi: przecież to Krzysztof! Naumyślnie nie powiedziano mi wcześniej. Szybko zasypiano grób, zebrani odśpiewali hymn. Kapitan powiedział parę słów. Uroczystość skończona. Teraz dopiero zrozumiałem, że ubył nam kolega”.

Parę tygodni później, 1 września 1944, zmarła w szpitalu powstańczym, gdzie przebywała ranna, żona Krzysztofa – Barbara.

2 Baczyński zginął, lecz przecież pozostał jego dorobek. I powojenne losy twórczości Baczyńskiego, a dokładniej rękopisów poety, były nader skomplikowane. Przed wybuchem Powstania Baczyński przekazał swoje notesy z wierszami – dobrze sobie znajomemu ze współpracy w redakcji konspiracyjnego pisma „Droga” – Juliuszowi Garzteckiemu. Garztecki umieścił owe notesy w skrytce, która znajdowała się w jego mieszkaniu, przy ul. Kaniowskiej 12, na Żoliborzu.

Wybuchło Powstanie. Garztecki wziął w nim udział, a potem dostał się do niewoli niemieckiej. Po zakończeniu wojny wrócił do Warszawy i zastał swoje mieszkanie zniszczone w niewielkim stopniu. Obok pokoju, w którym była skrytka, znajdował się niewybuch niemieckiej bomby. No cóż, jeden sprawny zapalnik w bombie i przepadłaby większość twórczości Baczyńskiego. Zebra-

ne rękopisy Garztecki przekazał matce poety – Stefanii Baczyńskiej.

I tutaj znowu zadziałał Wyka. Opierając się na dokonanych przez matkę Krzysztofa odpisach – pani Baczyńska za żadną cenę nie chciała pozbyć się rękopisów ukochanego jedynaka – krytyk ten przygotował i wydał w roku 1947 pierwszy powojenny wybór poezji Baczyńskiego pt. *Śpiew z pożogi*. Jako wstęp do tego tomu Wyka przedrukował swój *List do Jana Bugaja*.

Podjęmowane w latach pięćdziesiątych próby edycji poezji Baczyńskiego w różnych wydawnictwach nie udały się. Sprawił to sprzeciw ówczesnych decydentów życia kulturalnego.

W tej sytuacji – przebywająca w domu opieki na Mokotowie – Stefania Baczyńska przekazała posiadane rękopisy syna swojej siostrzenicy, polonistce Anieli Kmita-Piorunowej. Tak się szczęśliwie złożyło, że Aniela Kmita-Piorunowa zatrudniona była w Instytucie Badań Literackich w czasie, kiedy dyrektorem tej najważniejszej polonistycznej placówki naukowej był Kazimierz Wyka.

W roku 1956, kiedy sytuacja polityczna w Polsce, po Październiku, zmieniła się zdecydowanie na korzyść, Wyka zaproponował krakowskiemu Wydawnictwu Literackiemu edycję całości dorobku Krzysztofa Baczyńskiego. Propozycja została przyjęta i Wyka, wspólnie z Anielą Kmita-Piorunową przystąpili do pracy. Zetknięcie się z rękopisami Baczyńskiego było dla Wyki wielkim przeżyciem. W jednym z wystąpień wspominał, że „kiedy przed laty do moich rąk dotarły ocalone przez przyjaciół poety jego rękopisy, kiedy z bezładnie przemieszanych kart i strzępów papieru poczęła się wyłaniać wyspa jego poezji i prozy. Wyspa, która w odmętach i burzach epoki mogła być zaginioną bez śladu niczym Atlantyda lub przetrwać gromadą potrzaskanych skał świadczących, że kiedyś tworzyły one wspólny zarys i całość”.

Opisując przygotowanie owych rękopisów do druku wspólnie z Anielą Kmita-Piorunową, Wyka przypominał, że „[w] niejednej rozmowie w ciągu wspólnej pracy mówiliśmy sobie: »Trzeba ocalić od zapomnienia« – powtarzała znane słowa Gałczyńskiego. Skoro stało się tak, że jeden z twórców pokolenia okupacyjnego, który zginął, pozostawił po sobie całą spuściznę, to zrobimy to wszystko. Co będzie przyszłość z tym robiła – nie nasza sprawa”.

Praca Wyki i Anieli Kmita-Piorunowej przyniosła rezultat imponujący. W roku 1961, a więc w czterdziestą rocznicę urodzin poety, ukazał się – nakładem Wydawnictwa Literackiego – tom Krzysztof Kamil Baczyński *Utwory zebrane*. Tom ten, pięknie wydany pod względem estetycznym i wzo-

rowo opracowany pod względem edytorskim, obejmował prawie wszystkie wówczas dostępne, teksty Baczyńskiego. Nakład tomu wynosił 5000 egzemplarzy.

Wydanie to poprzedzone było obszernym, bo ponad sześćdziesięciostrońcowym *Wstępem* Wyki. Wstęp ów był skróconą wersją monografii poety pt. *Krzysztof Baczyński 1921–1944*, przygotowanej również przez Wykę, która ukazała się także w roku 1961. Twórczość Baczyńskiego, znana dotąd niewiele, stała się nagle dostępna w całym swoim bogactwie. Równocześnie z twórczością dostępna się stała jej prozacja interpretacyjna, pióra wybitnego badacza.

3

Określając miejsce Baczyńskiego w dziejach literatury polskiej, Wyka nawiązał do spostrzeżenia Jerzego Zagórskiego, który – w artykule pisany w roku 1947 na łamach „Tygodnika Powszechnego” – zwrócił uwagę na podobieństwo życiorysu Krzysztofa Baczyńskiego do biografii Juliusza Słowackiego. Zagórski pisał: „Rodzina Baczyńskich wywodzi się z Wołynia, z tego samego Wołynia, z którego padł na głęb polskiej poezji wspaniały owoc Słowackiego. Podobnie jak Juliusz Słowacki, tak i Krzysztof Baczyński miał ojca humanistę, ojca literata doskonałego krytyka – Stanisława Baczyńskiego, którego miał przerosnąć siłą talentu, podobnie jak Juliusz Euzebiusza. Tak na świerku wiosną nowa gałązka strzela wyżej od poprzednich o całą kondygnację. Po ojcu wszakże pozostało Krzysztofowi dziedzictwo żołnierskie, którym nie był obciążony Juliusz. Równie jak Juliusz Słowacki, tak i Krzysztof Baczyński miał matkę, która kochała nad wszystko poezję”.

Tropem – wskazanym przez Zagórskiego – podążył Wyka, ale jego spojrzenie było odmienne. Pytał: „kto w osobie Krzysztofa Baczyńskiego zginął w powstaniu warszawskim, przyszyły czy już widoczny Juliusz Słowacki poezji polskiej XX wieku? Sądzę, że inaczej, nie przez proste porównanie i domysł co do wielkości przyszłej należy odpowiedzieć [...] Mierząc taką równą miarą i równy dorobek dwóch dwudziestotrzechletnich i niepospolicie utalentowanych poetów kładąc na szalę, nabywamy prawo do odpowiedzi, czy żołnierska śmierć Baczyńskiego w roku 1944 była stratą Słowackiego w roku 1831”.

Zdaniem Wyki, aby ta paralela miała sens, hipotetyczną śmierć Słowackiego w roku 1831 należało wzbogacić o kilka utworów Juliusza, które powstały już na emigracji: „dramaty *Mindowe* i *Marię Stuart*, garść liryków, parę powieści poetyckich, nieco liryków powstańczych, prozę o *Królu Ladawy* i poemat budzący powszechny żal, że nie dokonał się dalej i nie spełnił żywot najbar-

dziej romantycznego poety polskiego, poemat *Godzina myśli*. To wszystko”.

Określając miejsce Baczyńskiego na mapie literatury polskiej okresu wojny i okupacji Wyka posłużył się swoją ulubioną kategorią pokolenia. Bowiern badacz ten w swojej monografii zaliczył poetę do „[p]okolenia młodzieży okupacyjnej, w literaturze – generacji Baczyńskiego, Gajcego, Borowskiego, Różewicza i tych wielu, którzy w większości na skutek przedwczesnej śmierci pozostawili jedynie fragmentaryczne i ułamne świadectwo swojej obecności we wspólnym szeregu. Pokolenia, które miało trzy ośrodki skupienia – Warszawę, partyzancki las i obóz koncentracyjny”.

Ale zaraz potem badacz ten uważał za stosowne dodać: „Właściwe tej generacji i urabiające ją przeżycie wspólne najwcześniej wyraziło się u Baczyńskiego”.

Dla interpretacji twórczości poetyckiej Baczyńskiego Wyka – jako pierwszy w Polsce – posłużył się w swojej monografii, opracowaną przez Pierre’a Guirauda, metodą słów-kluczy.

Omawiana tu edycja przyczyniła się do ogromnego wzrostu zainteresowania twórczością Baczyńskiego. Przy okazji odkryto nieznane juvenilia poety. Rychno przystąpiono do nowych, tym razem dwutomowych wydań, o nakładzie 10 000 egzemplarzy. Wydania takie miały miejsce w latach 1970 i 1979.

Można powiedzieć, że Wyka był dwukrotnym odkrywcą Baczyńskiego. Pierwszy raz w latach okupacji jako autor *Listu do Jana Bugaja* i drugi raz w roku 1961 jako wydawca jego dzieł i autor monografii *Krzysztof Baczyński 1821–1944*.

Twórczością Baczyńskiego zajęły się wówczas najwybitniejsze pióra polonistyczne. Pisali o niedawno przypomnianym poecie: Jan Błoński, Jerzy Kwiatkowski, Maria Podraza-Kwiatkowska, Janusz Sławiński, Ireneusz Opacki. Swego rodzaju nobilitację poety jako klasycy literatury polskiej była edycja *Wyboru poezji Baczyńskiego* w roku 1989, w opracowaniu Jerzego Święcha, w serii I prestiżowej „Biblioteki Narodowej”. Należy tu przypomnieć także, parokrotnie wznawiany, opracowany przez Zbigniewa Wasilewskiego, tom wspomnień o Baczyńskim – *Żołnierz, poeta, cząsu kurz...* Zbiór ten Wyka oceniał bardzo wysoko.

W stosunku do Baczyńskiego Wyka odegrał trzy ważne role: odkrywcy, promotora i interpretatora. Kreowany przez Wykę wizerunek poety – co starałem się ukazać – w dużej mierze obowiązuje do dziś dnia. Koronną zasługą Kazimierza Wyki pozostaje – co starałem się udowodnić – odkrycie Baczyńskiego i wprowadzenie go do historii literatury polskiej. ■

Ludzie i maszyny

Ks. HENRYK PYKA

Cykl reportaży Ferdynanda Goetla (1890–1960) poświęconych Górnemu Śląskowi i Śląskowi Cieszyńskiemu, które od lipca do grudnia 1934 roku publikowała „Gazeta Polska” ukazywał się pod wspólnym mianownikiem: „Ludzie i Maszyny”. Gazeta Polska, która drukowała teksty Goetla należała do najlepiej redagowanych gazet o zasięgu ogólnokrajowym o orientacji pro-sanacyjnej. Po roku 1937 stała się naczelnym organem prasowym „Ozonu”. Politycznie, jej lokalnym odpowiednikiem na Górnym Śląsku był dziennik „Polska Zachodnia” powstały po przewrocie majowym pod patronatem wojewody katowickiego Michała Grażyńskiego. Wojewody, którego ambicje przekładały się na propagandę sukcesu, niekoniecznie wyдуманego. Ważne realizacje architektoniczne w Katowicach jak budowa Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach i wszystkie budowle modernistyczne wznoszone w duchu funkcjonalizmu jak gmach Muzeum Śląskiego, czy reprezentatywny dla Katowic „śląski drapacz chmur” przy ulicy Żwirki i Wigury ukończono po roku 1926.

Promocję Górnego Śląska kolportowano w wysokonakładowej Gazecie Polskiej na cały kraj w cyklicznych odśłonach. Było o czym pisać. Śląsk przedstawiał się w wypowiedziach księdza Emila Szramka jako problem socjologiczny. Nie tylko. Czarny Śląsk i ten zielony – cieszyński, przyciągał swoją wyjątkową odrębnością. Obok Centralnego Okręgu Przemysłowego w południowo-centralnych dzielnicach Polski Śląsk był miejscem wielkiego kapitału, awansu społecznego, zaś w postrzeganiu Zofii Kossak krainą nieznaną. Krytyk sztuki Jerzy Warchałowski w Beskidzie Śląskim szukał kontynuacji dla tych tematów, które w jego odczuciu zostały wyczerpane na Podhalu: źródół polskiego stylu narodowego.

Ferdynand Goetel prezes polskiego Pen Clubu w latach 1926–1933 należał do najwybitniejszych prozaików II Rzeczypospolitej. Odbывая liczne podróże po całym świecie był utalentowanym podobnie jak w naszych czasach Ryszard Kapuściński – „cesarzem reportaży”. Sławę przyniosła mu wspomnieniowa relacja „Przez płonący Wschód”, w której opisał brawurową ucieczkę do Polski przez ogarniętą rewolucyjną zawieruchą Azję. Był też autorem znakomitych książek podróżniczych oraz głośnego manifestu politycznego „Pod znakiem faszystów”. Z upoważnienia Rządu Londyńskiego uczestniczył w roku 1943 w ekshumacji ofiar Katynia. Ścigany przez komunistów pod fałszywym zarzutem kolaboracji z Niemcami w grudniu 1945 roku opuścił potajemnie Polskę. W PRL-u całkowicie przemilczany zmarł na emigracji w Londynie.

Pisarz miał śląskie korzenie. Jego dziadek Florian Koehier ożenił się ze Ślązacką nazwiskiem Byczek. Goetel świetnie znał Katowice i Śląsk – ten czarny i ten zielony. O Ślązakach pisał z uznaniem. Dlatego też po pierwszych sukcesach literackich na łamach Gazety Polskiej otrzymał od Grażyńskiego propozycję napisania powieści o tematyce śląskiej. Propozycji nie przyjął Niemniej na Śląsk przyjeżdżał. W jednym z reportaży ze Śląska pisał: „Katowice nie są ani tandetne, ani nudne, ani ciemne”, jest wręcz przeciwnie, miasto jest bogate i bardziej oświecone od jakiegokolwiek innego miasta w Polsce. Ślązacy mają w sobie „przytąjoną” siłę i są przedsiębiorczy. Bezrobotni górnicy nie użalają się nad sobą, ale by zarobić na życie, sprzedają węgiel z biedaszybów. Opał sprzedawany jest po 50 kilogramów, a wśród brył nie ma żadnego kamienia czy miału. Żaden górnik nawet nie śmiałyby oszukać klienta, bo „godność własna wiąże się u Ślązaka z użytecznością, a praca jest jego honorem. Na życie się tu zarabia pracą, a jeśli jej nie dają, kradnie się pracę, aby ją potem sprzedawać uczciwie, z dumą, z manifestacją, że się nie jest innym niż wszyscy, którzy mogą pracować”.

Afera, która wzburzyła opinię publiczną Katowic powstała po wydrukowaniu w podręczniku do języka polskiego szkolnej czytanki. Tekst uraził nie tylko katowiczów. Jego autorem był Ferdynand Goetel. Był rok 1937. Mięły zatem cztery lata od czasu kiedy w wielkich miastach Niemiec płonęły nazistowskie stosy, w których palono książki. W wypisach zawierających fragment impresji wyniesionej z katowickiej ulicy uczniowie czytali tekst Goetla który pisał: „Ludzi ładnych nie widzi się wielu, a o jakiegokolwiek «rasie» mowy nie ma. Kość gruba, postacie przysadkowe, twarze surowe – wszystko razem miazga jakaś ludzka (...)”. „Zamiast dam widzi się na ulicach baby, zamiast strojów – odzież, zamiast torebek, parasolek – koszyki, torby i wózki dziecięce. Czasami tylko wystrzeli z babskiej armii «elegancka niby», ale taka, co jej jakoś wszystko wychodzi na bakier. Pełny tekst tej czytanki zamieścił przed dwudziestu laty w miesięczniku Śląsk” (Śląsk R. 2000, nr 5, s. 52–53). Krzysztof Karwat wraz z własnym komentarzem. Znana jest zatem reakcja Ślązaków, którzy w mroźną środę 27 stycznia 1937 roku na katowickim rynku zebrał się tłumnie (około 300 osób). A kiedy rozpalono ognisko w płonące szczapy poleciały podręczniki do nauki języka polskiego dla gimnazjalistów, wydane w 1936 roku we Lwowie zawierające m.in. reportaż Ferdynanda Goetla zatytułowany „Katowice”.

Jakaż to „miazga ludzka” tłoczona się ulicami Katowic tak „pobodła” pisarza, który w dni wolne od pracy z pewnością nie raz po-



Ferdynand Goetel, 1936

dróżował Luxtorpedą do Zakopanego gdzie większość podróży (przejazd był drogi) udawała się tam na „brydża, danzing i narty”. Załoczoną halę starego dworca w Katowicach pamiętam i ja. Pośród tej tłocznej się „miazgi” wielu tu przyjeżdżało w poszukiwaniu pracy. Jeszcze po wojnie przyjeżdżały do Katowic i okolic kobiety od Żywca by sprzedać wyrabiane chałupniczo pantofle i „fyrłaczki”. Mojej babci przed wojną nie było stać na takie podróże, nawet te komercyjne. Kiedy jej mąż był chory, a potem zmarł, pieczo chodziła do kasy chorzowskich „Azotów” po jego wypłatę, po drodze zatrzymując się na nocleg u swojej siostry w Siemianowicach Śląskich. Do końca życia była jedną z takich „bab” jakie Goetel widział na ulicach Katowic, chłopionką obarczoną pięciorgiem dzieci, nakrytą z wierzchu hazuką, ciepłą chustą okrywającą jej głowę i plecy. Taka też „baba” – chłopionka zasiadła 24 czerwca 1926 obok swego syna na zamku królewskim w Warszawie podczas jego nominacji na arcybiskupa gnieźnieńsko-poznańskiego i Prymasa Polski. Była to matka kardynała Augusta Hłonda, biskupa, który na warszawskich salonach nie wstydził się swojej prostej matki.

Gdybym był mieszkańcem Katowic w roku 1937 być może też stałbym przy tym ognisku rozpalonym na katowickim rynku i płonął oburzeniem. Spoza tej historii wyłania się doświadczenie prostych ludzi uwikłanych w wielką maszynę górnośląskiego przemysłu. Nie korzystali z Luxtorpedy, nie chodzili na wystawy i nie byli nawet w stanie stanąć obok siebie tak jak się staje przed lustrem by podjąć refleksję nad własnym losem, do czego był zdolny człowiek pióra. Pochłonęła ich walka o przeżycie. Zostały świadectwa tych zmagani utrwalone w literaturze i sztuce, zostały ostatnie zanikające już pomniki śląskiego przemysłu utrwalone w grafice Władysława Zakrzewskiego wykonane na zlecenie Urzędu Wojewódzkiego w postaci Teki Śląskiej. Zachowały się rysunki, akwarele i obrazy olejne Rafała Malczewskiego, którego Goetel był wielkim przyjacielem od lat studiów wiedeńskich, wspólnie uprawianego taternictwa i narciarstwa. W tym samym roku w którym ukazały się reportaże Goetla poświęcone Śląskowi ukazała

się publikacja księdza Emila Szramka „Śląsk jako problem socjologiczny”, w której jej autor podkreślał wielką różnorodność Śląska. „Jest to kraj – pisał Szramek – największych wyobraźalnych kontrastów. Obok równin ornych i leśnych nie brak tu wysokich gór; mistyka średniowiecznych kapliczek z prymitywnymi wizerunkami świętych sąsiaduje z najbardziej racjonalistyczną rzeczywistością współczesnych urzędów kopalnianych i przemysłowych [...] w olbrzymich stalowniach i głębokich kopalniach działa potężny rozmach masowej produkcji, a na zboczach gór, pasterz okryty prostą gunią, zwołuje owce, jak jego towarzysz z Ewangelii zwoływał je przed wiekami”.

To właśnie Ferdynand Goetel przyciągnął na Górny Śląsk Rafała Malczewskiego, syna Jacka, rektora Krakowskiej ASP. Świadek literacki i wrażliwe oko malarza-artysty składają się na pełny obraz tego fenomenu jakim jest człowiek uwikłany w maszynę, dla którego budowano domy jako „maszyny do mieszkania”. W willi „Caro” gliwickiego muzeum do 21 lutego czynna była wystawa dwu artystów, którzy „fedrowali śląski pejzaż” (tytuł wystawy autorstwa Marka Mesznika, zasłużonego dla Śląska muzealnika). Szkoda, że wypada mi pisać o tej wystawie w czasie przeszłym, co jest wynikiem pandemii i upośledzonej przez nią informacji. Artyści których przedstawił Marek Mesznik to Rafał Malczewski i wybitny fotograf lat międzywojnia Antoni Wieczorek. Przygotowaną przez Muzeum w Gliwicach wystawę – pisze jej ku-

rator – można uznać za pierwszą – po pokazach kompozycji Malczewskiego w 1935 r. – próbę możliwie całościowej i spójnej rekonstrukcji śląskiego cyklu, na który złożyło się ponad sto prac, obrazów olejnych, akwarel i szkiców, z czego część rozproszyła się i zaginęła podczas II wojny światowej. Ekspozycja dopełniona została fotografiami Antoniego Wieczorka wykonanymi na terenie Państwowej Fabryki Związków Azotowych w Chorzowie, Rafał Malczewski, który jako felietonista z powodzeniem uprawiał także twórczość literacką pisał w „Wiadomościach Literackich” (R. Malczewski, Plastyk na Śląsku, Wiadomości Literackie nr 48/1936) „wspominam Czarny Śląsk, z którym poznanie było czymś tak samo wstrząsającym jak zetknięcie się po raz pierwszy z żywiołem skalistych gór lub z ogromem morza. Zarówno grafiki z teki Władysława Zakrzewskiego, które posiadam w swoich zbiorach jak i obrazy Malczewskiego oglądane podczas gliwickiego pokazu ukazują – wydać by się mogło – trwałe piętno jakie wycisnęła na tej ziemi ludzka aktywność. Zmiany w krajobrazie industrialnym zapowiadające nastanie lepszego jutra działają przytłaczająco na człowieka, który z czasem będzie szukał uwolnienia się od maszyny i własnych iluzji. Kiedy głosiłem rekolekcje w Orzegowie. miejscowy kościelny, były górnik, wspominał: mieliśmy tu koksownię i chleb miał smak tych gazów, które wdychaliśmy. Teraz kiedy koksownię wyłączono, czuje się w domu jak kuracjusz w Krynicy.

Jest pewna właściwość malarstwa, której nie sprosta literatura. Jest nią sugerowana naoczność, potęgowana ekspresyjnymi artysty wypływającą z jego wewnętrznych doznań. Zdarzyło się, że byłem pod wpływem dobrych literackich tekstów, które potęgowała wyobraźnia. Kiedy patrzę na obraz Malczewskiego (Niedziela. Kondensatory w Chorzowie) wczuwam się w odczuciu przedstawionej na nim kobiety pasącej w niedzielę czarną kozę w cieniu chorzowskich kolosów. I zaczynam pojmować, z jakiej to ludzkiej potrzeby powstał Wojewódzki Park Kultury i Wypoczynku, ZOO i Wesołe miasteczko. Z tej samej potrzeby ludzkiego serca płynęło wołanie kardynała Wojtyły na wzgórzu piekarskim o kościół na Osiedlu Tysiąclecia w Katowicach. Biskup krakowski apelował wtedy do władz słowami: „Wasze są domy. Serca są Boże. Człowiek wyrasta ponad własne iluzje dobrobytu które tworzy”.

Malczewski rejestrując śląski pejzaż patrzy prosto w oczy ludziom, którzy go zamieszkują. By wyrwać człowieka z ludzkiej ciżby i miazgi, stara się go indywidualizować. Dlatego kiedy wpatruję się w Księżycowy pejzaż Malczewskiego (1934) z wpiśnianym weń sztafażem pary zakochanych na hałdzie cynkowej, czy Górnośląską siłankę (1934) przedstawiającą dwoje zakochanych stojących wieczorem pod przemysłową latarnią zakładową, myślę sobie tak: nawet wtedy, kiedy na Śląsku wyczerpią się jego naturalne zasoby i ustanie zgiełk walcowni, ludzie tu nadal żyć będą. ■



Rafał Malczewski, „Kopalnia w nocy”

Przejdziem Wartę...

JAROSŁAW KAPSA

Przejdziem Wisłę, przejdziem Wartę... słowne anachronizmy zawarte w hymnie narodowym świadczą, że rzeki, kiedyś i dla kogoś, coś znaczyły. Można też potraktować fragment narodowej pieśni jako wezwanie dla chcących poznać administracyjny twór: województwo śląskie. Przejść tak po prostu „z buta”, przejechać na rowerze, hulajnodze, na koniu (nie samochodem, bo z niego widać tylko ekrany dźwiękochłonne) od źródeł Wisły do źródeł Warty. Nie wiem, czy staniemy się dzięki temu Polakami, Ślązakami też nie – bo Śląsk jest z Odrą związany; nie stracimy jednak wiele, prócz butów i zasobów tłuszczu, zyskując w zamian inny punkt postrzegania spraw nieoczywistych.

Wisła to Królowa Małopolski i Mazowsza, Warta – Księżna Wielkopolska; podziały historyczne i administracyjne upośledzają „naszość” tych rzek. Nasza jest jednak Jura Krakowsko-Częstochowska, u nas znajduje się jej najwyższe wzniesienie, Góra Janowskiego, nazwana imieniem twórcy polskiego krajoznawstwa, sąsiadująca z małowniczymi ruinami renesansowego zamku Bonerów

w Podzamczu k. Ogrodzieńca. Gdyby nie wyżynne pofałdowania, to stojąc na Górze Janowskiego mielibyśmy w zasięgu wzroku źródła trzech dużych polskich rzek. Podkreślono ten fakt w przewodniku po Jurze piśnianym w epoce Janowskiego:

„Tu w węzle wodnym, położonym między Pilicą, Kromolowem a Ogrodzieńcem, biorą początek trzy znaczne rzeki Polski: Pilica, Warta i Przemsza Czarna. Pilica bierze początek ze źródeł, wytryskujących w kotlinie, znajdującej się prawie w środku pasma, gdzie powstała starożytna osada Pilica. Rzeka przedziera się na wschodnią stronę grzbietu i, płynąc ku północy równoległe do niego, zasila się jeszcze kilku większymi strumieniami, wypływającymi z jury. Warta poczyna się u podnóża zachodniego pasma jury, pod Kromolowem ze źródeł, wypływających na granicy glin jury brunatnej i wapienia jury białej. Za źródło rzeki uważa się małą krynicę, wytryskującą na rynku Kromolowskim, gdzie zbudowano kaplicę. Warta, płynąc ku północy, trzyma się zachodniego zbocza Jury Krakowskiej, zasila się licznymi po tej stronie pasma źródła-

mi, wypływającymi na granicy dwóch pięter formacji. Za Częstochową, pod Mstowem, Warta przerzyna w poprzek zanikające nasze pasmo i wysusza jeszcze z niego wodę kilku źródeł. Nieopodal Kromolowa we wsi Bzowie bierze początek r. Przemsza Czarna, również u podnóża jury białej, na glinach jury brunatnej” (Przesmycki Piotr Przewodnik po Krakowsko-Wieluńskim paśmie górskim Kielce 1908).

Bzów i Kromolów wcielone zostały w obszar miejski Zawiercia; miastu zatem, gdyby miało takie aspiracje, przysługiwać powinien dopisek „Zdroje”. W Kromolowie stoi jeszcze opisana w przewodniku, oznaczająca źródło, kapliczka. Gorzej to wygląda w Bzowie, gdzie źródło prezentuje się jak zaniedbany basen przeciwpożarowy. Nie jest to wykładnikiem wyższości Warty nad Przemszą, ale spadkiem historii. Kromolów, niezależnie czy mówimy o średniowiecznej osadzie, czy XIX-wiecznym sztetlu, powstał, rozwijał się i trwał dzięki źródłu; czysta woda pozwoliła prowadzić tu karcznię dla podróżnych, a w czasach nam bliższych zasilała browar M. Breweda. Browar przed ostat-

fot. Jakub Hątan



Zamek Ogrodzieniec

nią wojną produkował 2 tys. hektolitrow piwa rocznie ratując spragnionych zagłębiaków, ale też przy okazji zanieczyszczając solidnie rodzącą się Wartę. Ratowała ją natura, bo rzeka od źródła do centrum fabrycznego Zawiercia płynęła między zaroslami bagiennych pustkowi, które działały jak wielka, biologiczna oczyszczalnia ścieków. Podobne „oczyszczalnie ścieków” filtrowały zanieczyszczenia zrzucane przez fabryki Zawiercia, Myszkowa, Poraja. Według opisu ze *Słownika geograficznego Królestwa Polskiego* Warta:

„Od Zawiercia na Marcinów, Nieradę, Mrzyglód, Papierne, Cisówkę, Mijaczów do Michałowa, przepływa przez szereg stawów napędzających liczne młyny i mijaczowskie fabryki żelazne (Baueretzów). Między Cisówką a Mijaczowem wpada z prawej strony strumień od Myszkowa, jest to zbiór kilkunastu potoków z wyżyny włodowskiej spływających, które po długotrwałych albo też nagłych i obfitych deszczach wzbierają gwałtownie, łączą się pod Mijaczowem w jedno koryto i przepelniają ją do tego stopnia, że masa wód wstrzymana plantem kolei żelaznej, nie znajduje dla siebie należytego odpływu znosiła nieraz mosty, niszczyła nasypy kolejowe na znacznej przestrzeni. W ostatnich latach roboty inżynieryjne zapobiegły możliwości klęski przez wzmocnienie plantu i zbudowaniu trwałych mostów o większym otworze w świetle. Następnie Warta wśród lesistej i pustej okolicy płynie do wsi Osiny, przyjmując z lewej strony strugę bez nazwy spod Mysłowa, Koziegłówkę albo Boży Stok pod Kuźnicą Starą, Czarkę powyżej Osin, z prawej potok od Żarek pod Smardzewizną i potok od Pohulanki pod Masłońskim. Poniżej Osin płynie Warta na Poczesną, Nową Wieś, młyn Cichockie (...) Słowik, Raków, Dąbie do Częstochowy, przyjmując z obu stron nieznaczne dopływy bez nazwy; wyróżnia się tu tylko z lewej strony Stradomka albo Żarów, wpadające powyżej Częstochowy, zbierające wody z płd.-zach części pow. częstochowskiego.”

Nazwy niektórych miejsc się zachowały, ale krajobraz już nie. Potrzebna wyobraźnia, by poznać ten naturalny mur obronny, chroniący od zachodu Królestwo Polskie; stromy stok, jak obwałowanie, wzmocnione „blankami” skał, a poniżej tego naturalna, bagnista, fosa: rozlewiska Warty i Przemszy. Warty już nie dostrzegamy, a tym bardziej różnorodnych zasilających rzekę strumieni. Znikła z naszej wyobraźni. Woda utrudniała zagospodarowanie pustkowiec, ale jednocześnie rodziła nowe szanse rozwoju. Siła płynących rzek i strumieni napędzała młyny i turbiny przemysłowe. Woda była niezbędna dla rozwoju fabryk włókienniczych, kuźnic i hut żelaza, dla różnorodnego przetwórstwa. Osuszano bagienne działki, wodę ujmowano ze stawów i kanałów, dawną „fosę” zarósł las kominów. Lesiste pustkowiec przed Porajem zajęto pod sztucznie tworzony zalew. Stara, dzika Warta znikła.

To też na Jurze nic dziwnego, znana jest tu nazwa „ponik”. Ponik to strumień, który wybił z ziemi, przepłynął pewien odcinek, a potem znów zniknął w ziemi. Są także „wędrujące źródła”; niegdyś źródło Wiercicy było pod tajemniczym zamkiem w Ostrężniku, dziś są malownicze źródła, kilkaset metrów dalej, imieniem nazwane Elżbiety i Zygmunta Krasieńskich. Sam pamiętam takie zmiany: było źródło i zalew w Zaborzu k. Poraja; dziś pozostały resztki domków kampingowych; był zalew pod Olsztynem, jest tylko zarośnięta dziura w ziemi. To znikanie i pojawianie się tworzyło szereg mitów, bo „od zawsze” deficyt czystej, zdrowej wody był nieszczęściem mieszkańców. Wytrysło takowe cudowne źródło ks. Władysławowi Opolczykowi; w tym miejscu jest klasztor o. Paulinów w Leśniowie k. Żarek. Słynniejsza fundacja Opolczyka, klasztor pod Częstochową, też wiąże się z obecnością źródła na tej wapiennej Jasnej Górze. W pobliżu zaś, kościół św. Barbary, chroni kolejne „cudowne źródło”. Pod Olsztynem, w Zrębicach, mieszkańcy zdroj zdrowej wody zawiązują św. Idziemu... I tak można mnożyć opowieści o tych darach ziemi, jakimi lud ratowano za wstawieniem różnych świętych.

Geolog powie, że skała wapienna tak ma. Przez nią jak przez gąbkę płyną wody opadowe oczyszczając się z brudów, ubogacając minerałami. Gdy brak pokrywy śnieżnej, gdy zmniejsza się ilość opadów, to i źródła wysychają. Ta migracja wodna rzeźbi skały w fantazyjny sposób; podziwiamy to, co na wierzchu – białe ostańce – nie wiedząc, że pod nimi jest jeszcze wspanialszy świat szczelin, kawern, korytarzy zdobionych barokowymi naciekami. Piękno jest tylko radością estety, utylitarnej technokrata może je zlekceważyć. Ale woda...? Ile jeszcze gorzkich doświadczeń muszą spożyć pokolenia, by dostrzec, że zasoby wód podziemnych są skarbem równie cennym jak węgiel, ropa naftowa, rudy metali? Jak długo jeszcze ten dar natury traktować będziemy jak nieograniczoną podaż „darmochy”?

W okolicach zamku Bonerów rodzą się trzy duże rzeki. Dodać można do nich jurajskie pochodzenie Białej Przemszy, Szreniawy, Brynicy, Rudawy, Białki, a nawet słynnej w dziejach Śląska Małej Panwi. Nawet laik, widząc to, powinien docenić wielkość jurajskich zasobów. Częstochowa była pierwszym miastem b. Kongresówki, które po owe podziemne zasoby wodne sięgnęła. Na przełomie lat 20./30. XX w. firma Ulem, za amerykańskie kredyty, wybudowała, sięgając blisko 500 m w głąb ziemi, ujęcie wody z tzw. „piętra górnojurajskiego”; dzięki temu pić możemy „kranówkę” o jakości porównywalnej do kupowanych w sklepach „wód mineralizowanych”. Mamy tej wody „nie-do-przepicia”; zasoby dyspozycyjne znajdującego się pod miastem zbiornika GZWP 326 szacowane są na 1 000 000 m³ na dobę. Suszą, efektem zmian klimatycznych, martwią się rolnicy; zmartwie-

nem przedsiębiorstwa wodno-kanalizacyjnego jest spadające, wraz z liczbą mieszkańców, zużycie wody. Nikła jest świadomość, że ten zasób może ulec degradacji, tak jak degradacji „od źródeł” ulegały rodzące się na Jurze duże, polskie rzeki. Jura jest jak gąbka, przez skały wapienne przesącza się woda, a wraz z nią zanieczyszczenia. Proces przesączania trwa wiele lat, dziś analizując czystość wody w ujęciach wodnych odkrywamy zaniedbania sprzed 20–30 lat. Widać w czerpanej wodzie ślady po intensywnej działalności rolniczej w postaci azotu, widać związki metali z fabryk, bakterie coli ze ścieków komunalnych i niezabezpieczonych wysypisk odpadów. Natura jest silna, potrafi się bronić; jednak człowiek i jego pazerność bywają silniejsze.

W 1983 r. chcąc chronić zasoby wód podziemnych utworzono Zespół Jurajskich Parków Krajobrazowych. Zakazano na Jurze prowadzenia intensywnej działalności rolniczej i przemysłowej, narzucono normy, które miały ograniczać „rozlew” zabudowy, wymuszając chroniącą środowisko gospodarkę odpadami i ściekami. U nas jednak normy normami, a życie życiem. Równocześnie z utworzeniem Jurajskiego Parku, projektowano budowę we Włodowicach, na krawędzi jurajskiej, ogromnej fermy świń. Gdy to się udało zablokować, wypłynął miraż eldorado. Badania geologiczne odkryły w okolicach Zawiercia złoża metali: cynku, ołowiu, a także cennego wolframu, manganu, molibdenu, chromu, miedzi. Niektórych włodarzy rozpałała wizja górniczego zagłębia, szczęściem społeczność zachowała rozum, wiedząc, że za ten miraż zapłaci się utratą zasobu wody pitnej. Niestety, nie tylko takie wielkie projekty stanowią zagrożenie. Zakładane ograniczenie zabudowy okazało się planem nadto optymistycznym; jest przeciwnie: domów mieszkalnych na Jurze przybywa lawinowo. Piękno krajobrazu przyciąga mieszkańców miast Zagłębia i Śląska, przybywa domów, samochodów, a także – niestety – śmieci w lasach, ścieków puszczanych nielegalnie do rowów i strumieni. Dbałość o czystość i estetykę kończy się, często, na płocie własnego obejścia, to, co wspólne, już nikogo nie obchodzi.

Hipokryzja nie powinna dziwić. W Kromolowie przy źródle Warty postawiono kapliczkę, nie przeszkadzało to jednak sąsiadującemu browarowi dowolnie zanieczyszczającą rodzącą się rzeki. W Leśniowie tysiące pielgrzymów czerpie wodę z „cudownego źródła”; w pobliżu dziesiątki producentów obuwia, garbarzy, przetwórców, pracownicy zmieniały płynącą z niego strugę w kanał ściekowy. Źródło na Jasnej Górze już w XIX w. zmieniło się w napęd dla spływających zobczem wzgórze ścieków. Cenimy życiodajną ciecz i jednocześnie ją degradujemy.

Może słowa hymnu trzeba dostosować do współczesności. Zamiast „przejdziem...” zapisać „zniszczym Wisłę, zniszczym Wartę...”, tylko, kim wtedy będziemy...?

Korek

Jeden z mglistych obrazów z końca lat sześćdziesiątych to motocykl Panonia. Czarny, błyszczący, ze srebrnym korkiem wlewu paliwa i gumowymi nakładkami po bokach zbiornika. Ojciec jeździł nim do pracy, a po powrocie polerował czarny lakier szmatką z flanelowej koszuli. Woził ją w bocznej puszcze, zwanej narzędziówką, razem z kluczami i łyżkami owiniętymi sztywnym pokrowcem.

W przyplwywie dobrego humoru przewiózł mnie raz Panonią w ciepły, pogodny dzień. Posadził na oklep na baku, kazał trzymać się kierownicy i gnał ścieżkami nad rzeką. Omijaliśmy koleiny, doły, a chłodny metal przeniakał ściśnięte do bólu ręce. W lesie zakręciliśmy i znów aż do torów kolejowych, a potem do domu. Wszystko jak na kilkunastu klatkach starej taśmy filmowej. Niedługo potem Apollo 11 lądował na Księżycu, który błyszczał nocą jak srebrny korek Panonii.

Na teraz

Na pomniku Józefa Szalaya w Szczawnicy inskrypcja z 1885 – wzniesiono to popiersie *za sprawą Akademii Umiejętności w Krakowie na teraz zakładu tego właścicielki ze składek gości znajdujących tu pomoc i wytchnienie*

jaka moc tego *teraz* wyrzytego w kamieniu przetoczyły się wojny zmieniły języki deszcze spłukały imiona gości a ja i tak nie wiem czy w nim pewność czy zwątpienie

Lwów

Pomyślałem wtedy, że to miasto jest jak ogród, złote jabłka kruszeją na gałęziach, pszczoły przyklejone do kwiatów zmieniają się w szafiry i topazy, zmrożone małwy drżą jak wahadła w zegarowych skrzyniach

przed wieku. W ogrodzie mruczą pracowite żuki, ich skrzydła błyszczą październikowym światłem. Ale słońca nie ma. Na zafoliowanym niebie tylko ciężkie chmury z jasnymi szczelinami, w których

chowam oczy. Na ziemi porzucone liście, kulki żółdździ i cały jesienny arsenał napuchłego dnia. Za mgłą ukryte miasto majaczy się w zarysach wilgoci, powietrze przepowiada deszczową noc jak wróżba

Horpyny. Jest późno, barwy znikają, na drzewach zamiast kory ciemna plama rdzy. Przechodnie brodzą w kałużach niktnej zieleni. Ogród wznosi się wysoko i odpływa jak fantazmat przymrużonych oczu.

Dwie czterdzieste ósme

Pomyślałem wtedy, że ten las po pradziadkach był jak stare zdjęcie, na którym nikogo nie znam, że ten ułamek w spadku przyspila mnie jak pinezka do rodzinnych opowieści, do ziemi, rzeki i wypraw

za ocean. Nigdy go nie widziałem, a teraz musiałem sprzedać te znikome dwie czterdzieste ósme, jakimś trafem przypadłe mi z racji czyichś śmierci, aktów, wyroków i związków krwi.

Ta ziemia była im kiedyś potrzebna, z lasu brali drewno, budowali domy, palili w piecach. Mieli coś, co ich osadzało wśród innych, dokąd można było wracać nawet z daleka, po latach.

Ale skóra ziemi i tak pękała, przychodziły wiosny, pęczniały w łodygach soki, rozpadały się bruzdy. Gdy zniknęły domy, nikt już nie siedział na ławce i tylko ten las szumiał, a potem przepadł.

fot. Maria Korusiewicz



My z XXI wieku

Długo nie wiedziałem, jaki będzie ten wiek. Rodził się powoli, nic się nie zmieniło. Błękit cieszył oczy, ciekawość rosła, otwierała szeroko drzwi. Na półkach przybywało książek przeglądanych w pośpiechu. Pielgrzymki odpustowe

szły jak dawniej, chustki trzepotały na wietrze, jasne kolory mieszały się z zielenią, ziola kryły się w trawach. Pory roku pierzchały jak siostry zamężne, przebrane w biel, zieleń, żółć i czern. Sloje w drzewach pęczniały, skóra twardniała.

Aż przyszła zima bez śniegu, wiosna bez deszczu, i choć słońce nie zniknęło zza burzowych chmur, koilo ciepłem sennie zmysły, to zielona pola blade, gasły jak trawione chorobą ciało. Z książek sypały się słowa,

a wiatr unosił je po ulicach jak szary popiół. Mały smutek tropików w strefie klimatu umiarkowanego. Śmieszny, trochę żalony, gdy zamknięci w domach tęsknimy, bolejemy i uzalamy się na koniec pięknej podróży.

Neapol

Płyniemy wodami zatoki, ranek świeży jak wiosenne liście. Miasto oddala się i rzadnieje, gwar ulic tonie w lazurowej głębi. Zamiast detali wyłaniają się teraz kontury, łagodna linia brzegu, szary piasek i równe

dachy kamienic. Widać już Sorrento, a na zachód słoneczne wyspy wzgórz i ogrodów. W odbiciu wody zarysy naszych twarzy. Wznoszą się i upadają na falach, które stałym rytmem kołyszą się pomiędzy

cyplami. Tak chyba ucieka się od wulkanu, od jego złościstej lawy, głuchego szumu i mdłego zapachu. Majowe słońce wnosi ład, wiatr rzeźwi, w powietrzu słony posmak morza. Za łodzią ptaki i trzepot skrzydeł.

Język morza staje się naszym głosem, rosną w nim maszty i rozciągają się żagle. Biała grzywa śpiewa zieloność wzgórz, gładki ciąg kamiennych dróg. Wiatr dmie w nasze maszty z papierowych wstęg.



rys. Maja Ostrowska

Powtarzanie

Pomyślałem przez chwilę, że to całe pisanie to powtarzanie sobą, bo przecież ja, bo teraz, bo nikt inny. Współ – uczestnictwo w szukaniu, praktykowanie, repetycja, ale z prawem do inności, z furtką do ucieczki i z wszystkim, co mógłbym naiwnie uznać tylko za moje.

Ale potem znalazłem swoją odciętą rękę, wysuszone serce, skórę rozwieszoną jak pajęczyna na żywopłocie. Z ziemi podniosłem rozpęknięte ciało, podtykane patykami jak żyrafa. Powtarzanie, niepowtarzanie. Pisanie zaczyna się w oczach, a potem wypala

blizny na dłoniach, ramionach, zostają ślady i poczucie daremności. A może jednak coś się zdarzyło pomiędzy tym zwątpieniem a wierszem, żebym znów zapytał: czy dotknął cię czas? Powtórzyłem, ale przecież blizna urosła na mojej skórze,

wiersz zjawił się przeciw ciemności, wylał się jak strumyk po zielonej trawie. Coś się wydarzyło, aby blizna bolała, abym mógł pojąć, że wszędzie idę sam, a słowa z oddali to tylko głosy ze środka języka, czyli składni narodzin i śmierci.

Ojciec objaśnia nad Ropą

Tam prawa fizyki nie działają – powiedział ojciec, nie musisz obawiać się ciężenia, odległości czy nieubłaganego czasu. Nie ma też niczego, co musiałbyś robić tak lub inaczej. Po prostu pisz.

Natura sama

Natura sama wszystko wyrówna – tłumaczył ojciec, gdy susza trwała zbyt długo albo deszcz padał tygodniami. Nie martw się, poczekaj. Może nie od razu, może już bez nas, ale symetria wróci.

Węglowy obłęd i jego alternatywa

WOJCIECH BŁASIAK

Tęzą wyjściową mojego artykułu jest twierdzenie, iż w latach 1989–2004 polskie górnictwo węgla kamiennego było celowo i w sposób zaplanowany systemowo niszczone ekonomicznie i technicznie, natomiast po 2004 roku trwa jego cicha samolikwidacja. Ten proces samozniszczenia był fragmentem większej całości. Tą całością była szokowa transformacja polskiej gospodarki i jej destrukcyjna peryferyzacja w formule neokolonialnej.

Aby te procesy samozniszczenia i drenażu ekonomicznego ostatecznie zatrzymać i odwrócić ich skutki, trzeba dokonać wszakże fundamentalnej zmiany całej polskiej polityki. Trzeba bowiem zatrzymać i odwrócić większą całość, od gospodarki i państwa poczynając. To jest teza wtórna.

Likwidacja eksportu polskiego węgla jako cel restrukturyzacji górnictwa

Celowe niszczenie polskiego węgla, realizowane oficjalną polityką kolejnych rządów, dokonywało się w ramach polityki tzw. restrukturyzacji górnictwa węgla kamiennego. Publicznie deklarowanym celem tej „restrukturyzacji” miało być dostosowanie górnictwa do warunków gospodarki rynkowej. Rzeczywistym zaś jej celem było zniszczenie ekonomiczne i techniczne zdolności wydobyczych górnictwa tak, aby Polska z wielkiego światowego eksportera węgla stała się jego importem netto. Tym rzeczywistym, a ukrywanym celem było wyeliminowanie Polski, jako wielkiego eksportera węgla kamiennego, z rynków światowych, a nade wszystko z rynku europejskiego. Było to robione w interesie ówczesnych głównych konkurentów polskiego węgla na rynkach międzynarodowych, czyli przede wszystkim USA, Australii, Kanady i Republiki Południowej Afryki.

Był to program restrukturyzacji

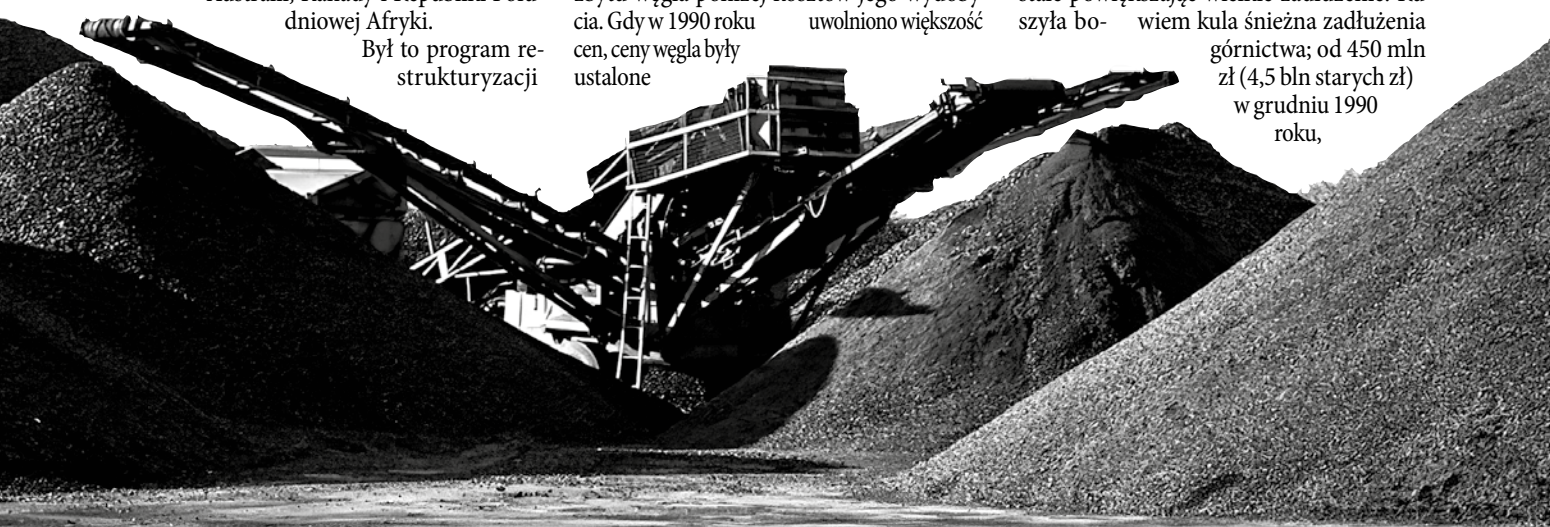
opracowany i kontrolowany w jego realizacji przez Bank Światowy w Waszyngtonie. Bank zaś realizował tu politykę rządów Stanów Zjednoczonych, starających się stale kontrolować podaż światowych surowców energetycznych. Program tej niszczącej restrukturyzacji był realizowany przez kolejne polskie rządy w latach 1989–2004, zarówno postsolidarnościowe, jak i postkomunistyczne.

Prawda o tej restrukturyzacji do tej pory była i jest bezwzględnie ukrywana przed polską opinią publiczną. Przez ponad 30 lat krajowy system medialny i polityczny bardzo skutecznie dezinformował i manipulował polską opinią publiczną w tej kwestii. Zamykanie kopalń węgla kamiennego, likwidacja wydobycia węgla i zwalnianie z pracy górników, były celem w nieustannej i agresywnej przez te lata medialnej i politycznej kampanii propagandowej. To zamykanie, likwidacja i zwalnianie były nieustannie uzasadniane ekonomiczną nierentownością wydobycia węgla w Polsce. Ta nierentowność zaś miała wynikać ze strat finansowych kopalń i okresowo wręcz lawinowo narastającego zadłużenia tak całego górnictwa, jak i wyodrębnionych grup kopalń i poszczególnych kopalń węgla kamiennego. Przyczyny strat finansowych i długów nie podlegały wszakże jakiegokolwiek publicznej analizie i były utożsamiane z obiektywną ekonomiczną nierentownością kopalń. Co więcej, te przyczyny były świadomie ukrywane i zatajane przed opinią publiczną, a jako dezinformującego kłamstwa używano w kampanii propagandowej celowego określenia o „trwałej nierentowności kopalń”.

Rzeczywistymi przyczynami strat finansowych kopalń było celowe sterowanie cenami zbytu węgla poniżej kosztów jego wydobycia. Gdy w 1990 roku uwolniono większość cen, ceny węgla były ustalone

administracyjnie na poziomie poniżej kosztów wydobycia, jako tzw. kotwica inflacji. I tak w całym 1990 roku średni koszt wydobycia 1 tony węgla wynosił według ówczesnego kursu dolara 20 USD, a średnia cena węgla eksportowanego z Polski 50 USD. Kopalnie zaś zostały zmuszone do sprzedawania węgla po ustalonej administracyjnie średniej cenie 12 USD. Po zniesieniu urzędowych cen administracyjnych, wprowadzono ceny kontrolowane przez Izby Skarbowe. Następnie zaś od lipca 1992 roku ceny zbytu węgla dla potrzeb zawodowej energetyki były określane przez faktyczny dyktat monopolistyczny państwowego sektora energetycznego, a rzeczywistość ustalane przez Ministerstwo Przemysłu i Handlu. Były to ceny celowo zaniżone nawet w porównaniu z ceną parytetową węgla, po jakiej sprowadzano by go do Polski, gdyby zaprzestano krajowego wydobycia. Dla przykładu w 1997 roku ustalono cenę 32 USD za tonę węgla energetycznego, mimo iż węgiel importowany musiałby kosztować minimum 35 USD, a i tak w ciągu roku zmuszono spółki węglowe do sprzedaży węgla po 27 USD. A parytet importowy węgla energetycznego na rok 1997 wyliczony został trzema różnymi metodami na 48,28 USD/t, 45,72 USD/t i 43/97 USD/t. Równocześnie od 1990 roku stale ograniczano administracyjnie wysoce opłacalny eksport węgla.

W 1990 roku uruchomiono proces spiralnego zadłużania kopalń, aż po stan katastrofy finansowej całego górnictwa od połowy lat 90. Polityka sterowania cenami zbytu węgla poniżej kosztów ich wydobycia doprowadziła do sytuacji, gdy obiektywnie wysoce rentowny ekonomicznie podsektor węgla kamiennego stał się formalnie nierentowny finansowo, stale powiększając wielkie zadłużenie. Ru-
szyla bowiem kula śnieżna zadłużenia górnictwa; od 450 mln zł (4,5 bln starych zł) w grudniu 1990 roku,



po 13 mld nowych zł w 1998 i ponad 23 mld zł w 2002 roku.

Fizyczne niszczenie infrastruktury wydobywczej kopalń i jego konsekwencje

Kluczowy dla niszczenia górnictwa okazał się tzw. plan Karbownika–Steinhoffa, z okresu postsolidarnościowego rządu premiera Jerzego Buzka w latach 1997–2011. W ramach tego planu zlikwidowano ostatecznie 24 kopalnie węgla i zmniejszono wydobycie o 32 mln ton. Z górnictwa odeszło łącznie blisko 100 tys. pracowników, w tym około 37 tys. zwolniło się w zamian za odprawy w wysokości 44 tys. zł w 1998 roku i 50 tys. zł w 1999 roku. Mimo tego zadłużenie górnictwa wzrosło między 1997 a 2001 rokiem blisko dwukrotnie, osiągając na koniec 2000 roku 22,9 mld zł.

Człowiekiem, który jako pierwszy publicznie sformułował twierdzenie i przez następne kilkanaście lat konsekwentnie je głosił, że rzeczywistym celem „reformy polskiego górnictwa” jest likwidacja jego zdolności wydobywczych, po to, aby Polska przestała być światowym eksporterem węgla, był od 1989 roku doc. dr Gabriel Kraus, ówczesny pracownik naukowy Śląskiego Instytutu Naukowego w Katowicach. G. Kraus opracował przy tym kluczową argumentację naukową obalającą tezę o nierentowności polskich kopalń. Sformułował również pozytywny program alternatywny. Synteza jego analiz znalazła się w „Memoriale w sprawie uzdrowienia polskiego górnictwa węgla kamiennego”, przedstawionym w styczniu 1998 roku na Ogólnopolskim Forum Dyskusyjnym w Katowicach poświęconym przyszłości górnictwa, a zorganizowanym m.in. przez Polskie Lobby Przemysłowe.

Zamykanie kopalń było fizycznym niszczeniem ich technicznej infrastruktury wydobywczej, w postaci niszczenia szybów wydobywczych, chodników i przekopów przez ich zamulanie i zasypywanie, aż po wysadzenie materiałami wybuchowymi szybów, jak w przypadku kopalni „Morcinek” w Kaczykach. Istotą tego „ograniczania wydobycia” było bowiem fizyczne likwidowanie dostępu do udostępniionych złóż. Chodziło o uniemożliwienie powrotu do wydobycia w późniejszym okresie.

To niszczenie było przy tym przedstawiane publicznie jako bezalternatywna oczywistość, bez dopuszczania do informowania opinii publicznej o istnieniu alternatywnej metody zamykania kopalń, w postaci ich okresowego „usypiania” wydobywczego, poprzez ich czasowe zatapianie. Tę metodę zastosowano przy zamykaniu kopalń brytyjskich w latach 80. i 90. XX wieku i w Polsce w latach 30. XX wieku, gdy w ten sposób okresowo zamknięto kopalnię „Mortimer” w Sosnowcu.

Niespodziewanie dla całego procesu likwidacyjnej restrukturyzacji polskiego górnictwa, w przeciągu zaledwie kilku miesięcy od końca 2003 roku, doszło ostatecznie do olbrzymiego skoku światowych cen węgla. I to światowo trwałe. W okresie od sierpnia 2003 roku do kwietnia 2004 roku światowe ceny węgla energetycznego wzrosły o 63 proc. do poziomu przedziału 61–71 USD za tonę, zaś węgiel koksowy osiągał cenę 110–120 dolarów za tonę, odnotowując najwyższy poziom od lat 80. Ówczesny rząd rozpoczął powoli i dyskretnie wycofywać się w 2004 roku z planów likwidacji wydobycia i zamykania kopalń.

W konsekwencji fizycznego niszczenia infrastruktury wydobywczej polskie górnictwo nie było w stanie zwiększyć wydobycia i eksportu węgla od jesieni 2003 roku, gdy ceny światowe skokowo wzrosły rzędu nawet stu kilkudziesięciu procent, tracąc bezpowrotnie olbrzymie możliwości akumulacji ekonomicznej, idące w setki milionów dolarów rocznie.

Drenaż akumulacji ekonomicznej górnictwa i jego straty finansowe

Bezpośredni drenaż akumulacji ekonomicznej górnictwa sięgnął do 2004 roku kwoty kilkudziesięciu miliardów złotych. Jak oszacowali eksperci Górniczej Izby Przemysłowo-Handlowej w Katowicach w latach 1990–1997 straty branży górniczej, tylko z powodu jednego czynnika w postaci ustalania cen węgla poniżej poziomu inflacji, przekroczyły 20 mld zł. Rząd wielkości zaś strat bezpośrednich i pośrednich należy szacować na kilkaset mld zł. Kwota kilkuset miliardów strat z tytułu likwidacyjnej restrukturyzacji nie jest kwotą przeszacowaną. W samej tylko jednej zlikwidowanej kopalni „Dębieńsko” pozostawiono udostępnione i możliwe do wydobycia 190 mln ton węgla koksującego. Przy cenie 300 zł i więcej za tonę

tego węgla osiągananej w eksporcie od roku 2004, wartość pozostawionego w złóżach tego węgla to kwota około 57 mld zł.

W roku 2008 Polska stała się ostatecznie importerem węgla netto, sprowadzając go głównie z Rosji. Było to wynikiem stałego ograniczania mocy wydobywczych polskiego górnictwa i spadku wydobycia węgla. Polska stała się ostatecznie importerem węgla netto w 2008 roku, ponieważ likwidacyjna restrukturyzacja w latach 1989–2004 pozbawiła polskie górnictwo wystarczających mocy wydobywczych, aby zaspokoić popyt krajowy. Od 2013 roku zaś polski węgiel był wypychany z rynków eksportowych ze względu na swe wysokie ceny. W 2014 roku sprzedaż węgla na eksport spadła z tego powodu o 30 proc., przy równoczesnym dużym napływie do Polski droższego węgla z importu, głównie z Rosji. Sprowadzanie droższego węgla z zagranicy, przy okresowych brakach możliwości zbytu węgla polskiego, świadczy o głębokiej korupcji w całym sektorze paliwowo-energetycznym.

Gdyby nie ten planowy proces niszczenia, górnictwo węglowe w Polsce okresu 1989–2004 i lat następnych, byłoby wysoce rentowną i przynoszącą stałe zyski branżą, z kilkudziesięciomiliardową akumulacją finansową. Od roku 2004, po skokowym wzroście cen światowych węgla, istniałaby realna szansa zasadniczego zwiększenia wydobycia i eksportu oraz uzyskiwania zwielokrotnionych zysków eksportowych. Dysponując wielomiliardowymi rezerwami finansowymi rządu 40–50 mld zł, górnictwo byłoby też w latach następnych odporne na wahania koniunktury światowej oraz spadki światowych cen i popytu na węgiel.

Likwidacyjna restrukturyzacja górnictwa węglowego w Polsce jest fenomenem na skalę światową. Ukazuje ona procesy sterowania światowymi procesami gospodarczymi przez światowe centra polityczne i kapitałowe na czele ze Stanami Zjednoczonymi, w relacjach z krajami speryferyzowanymi. Jest również fenomenem na skalę światową, gdyż odsłania ona możliwości ukrytego sterowania przez kompradorskie grupy władzy politycznej procesami społecznymi i ekonomicznymi w kraju takim jak Polska i to w perspektywie 30 lat. Odsłania skuteczność utrzymywania opinii publicznej w nieświadomości co do celów tych procesów i skuteczność publicznych kłamstw w długofalowym manipulowaniu opinią publiczną przez państwo i jego system medialny.



Zapowiedź całkowitej likwidacji wydobycia polskiego węgla

Po roku 2004 proces likwidacji polskiego górnictwa toczył się już samoczynnie przy bierności kolejnych rządów. Wydrenowane z akumulacji ekonomicznej i wyniszczone technicznie górnictwo kontynuowało samoczynnie swój upadek, ograniczając corocznie wydobycie, przy stałym zwiększaniu importu węgla. Kolejne rządy nie były w stanie sformułować, ani tym bardziej zrealizować programu odbudowy mocy wydobywczych polskiego górnictwa węglowego.

We wrześniu 2020 roku rząd polski nie spodziewanie oficjalnie zapowiedział zaprzestanie wydobycia węgla i zamknięcie wszystkich polskich kopalń w perspektywie góra 30 lat. Rząd Mateusza Morawickiego ujawnił rzeczywiście, a skrzętnie ukrywane przez 5 lat cele i intencje swej polityki energetycznej. Jej długofalowym celem jest całkowita likwidacja polskiego górnictwa węglowego. Co przy tym istotne, decyzja ta spotkała się z milczącą akceptacją wszystkich parlamentarnych ugrupowań politycznych oraz środowisk naukowych i opiniotwórczych, tak na Śląsku, jak i w kraju.

Rząd M. Morawieckiego zaakceptował bowiem w pełni politykę klimatyczną Unii Europejskiej, która zakłada całkowitą likwidację wydobycia polskiego węgla. Ta decyzja polskiego rządu jest rzeczą bez precedensu w historii gospodarczej świata, gdyż jest zamachem na bezpieczeństwo energetyczne Polski, ponieważ pozbawia ją własnych źródeł energii i niszczy jej samowystarczalność energetyczną. Podważa jej zasadnicze bezpieczeństwo energetyczne. To perspektywiczne bezpieczeństwo energetyczne jest równie ważne jak bezpieczeństwo militarne. Gwarantuje bowiem podstawy bezpieczeństwa ekonomicznego rodzimej produkcji przemysłowej i rolniczej. Jest gwarancją biologicznego bezpieczeństwa polskiego narodu.

Z perspektywy zaś możliwości podziemnej gazyfikacji węgla i to w ciągu góra dwóch dekad, ta decyzja jest samobójcza, gdyż może przekreślić historyczne i cywilizacyjne szanse Polski i polskiego społeczeństwa narodowego na gigantyczny skok w ekonomicznym poziomie życia i pracy. A intensywne prace nad podziemnym zgazowaniem węgla na skalę przemysłową trwają w Australii, Chinach, Anglii i USA.

Aby uświadomić sobie znaczenie obecne i przyszłe węgla kamiennego w polskiej gospodarce, trzeba nade wszystko wyciągnąć wnioski z podstawowych faktów. Te podstawowe fakty są bowiem celowo ukrywane

w dyskursie publicznym o polskim górnictwie węglowym.

Pierwszym faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, iż Polska ma 85% zasobów węgla kamiennego krajów Unii Europejskiej. Węgiel kamienny jest naszym najcenniejszym bogactwem mineralnym i posiadamy go w ilości zapewniającej nam, przy obecnej technologii, stabilne bezpieczeństwo energetyczne i konkurencyjność energetyczną przemysłu na co najmniej pół wieku.

Drugim faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, iż energia elektryczna produkowana z węgla kamiennego (i brunatnego) jest najtańszą energią w skali światowej. I jest w swej taniości światowo bezkonkurencyjna, mimo administracyjnych i politycznych działań na rzecz jej podrożenia, a potanieńcia energii odnawialnej. Produkcja węgla na świecie wzrosła od lat 90. XX wieku z 4,7 mld do około 8 mld ton w 2018 roku. Stale rosła też do 2019 roku podaż energii elektrycznej produkowanej z węgla.

Trzecim zaś faktem o fundamentalnym znaczeniu jest to, że polityka klimatyczna zmierzająca do likwidacji spalania węgla, jako źródła energii, jest oparta na globalnym kłamstwie o wpływie człowieka na ocieplenie klimatu dzięki emisji dwutlenku węgla. Z zasadniczą argumentacją naukową przeciw teozom propagujących globalne oszustwo klimatyczne kolejnych raportów IPCC, powstałego w 1986 roku organu ONZ, wystąpił w 2007 roku Poza rządowy Międzynarodowy Zespół ds. Zmiany Klimatu (NIPCC), z międzynarodowym składem naukowców pod kierunkiem jednego z najbardziej wybitnych naukowców w USA, profesora nauk środowiskowych dr. S. Freda Singera, który m.in. był w latach 80. wiceprzewodniczącym Narodowego Komitetu Doradczego ds. Oceanów i Atmosfery USA. Polskę reprezentował w nim zmarły już prof. Zbigniew Jaworowski. W 2008 roku NIPCC opublikował swój raport „Przyroda, a nie aktywność człowieka rządzi klimatem”. NIPCC zarzucił IPCC, iż jest zaprogramowane na celowe tworzenie raportów, by wspierać tezę o antropologicznym ociepleniu i kontroli gazów cieplarnianych. Główną zaś tezą raportu NIPCC jest natomiast opozycyjne twierdzenie, że to przyrodnicze przyczyny są najprawdopodobniej dominującą przyczyną współczesnego ocieplenia: „Nie mówimy, że antropogeniczne gazy cieplarniane (...) nie mogą wytwarzać jakiegokolwiek ocieplenia.

Nasza konkluzja brzmi, iż dowody wskazują, że nie grają one znaczącej roli”. Groteska zaś strategii neutralności klimatycznej UE tkwi choćby tylko w tym, że człowiek odpowiada zaledwie za emisję 4,7% CO₂, zaś kraje UE łącznie za emisję 11% całej emisji człowieka, a więc w istocie chodzi o strategię ograniczenia emisji o pół procenta (0,517%) w skali świata. To nie może mieć jakiegokolwiek wpływu na światową emisję gazów cieplarnianych.

Odbudowa potencjału wydobywczego górnictwa i jego ekonomiczne perspektywy

Program alternatywny dla polskiego górnictwa może być sformułowany wyłącznie tylko jako fragment narodowej alternatywy rozwoju Polski. Tak też został przeze mnie sformułowany. Jest zbudowany w perspektywie oddolnej: od założeń odbudowy potencjału wydobywczego górnictwa, przez założenia nowej narodowej polityki przemysłowej i zmianę gospodarczej roli państwa, poprzez przebudowę polskiego systemu finansowego ze zmianą funkcji banku centralnego, aż po budowę narodowego państwa obywatelskiej demokracji wraz z wymianą grup przywódczych w Polsce.

Odbudowa potencjału wydobywczego polskiego górnictwa ma doprowadzić do stopniowej likwidacji importu węgla oraz rozbudowy jego eksportu. Rentowność wszakże górnictwa trzeba zbudować w skali całego podsektora. Nie da się stworzyć trwałej rentowności wydobycia węgla w skali poszczególnych kopalń, czy nawet grup kopalń. Kopalnie mają zróżnicowane cykle życia ekonomicznego i okresowo muszą być deficytowe, bo to wynika z logiki eksploatacji złóż węgla. Tak więc wyjściowym warunkiem jest maksymalna koncentracja własnościowa, kapitałowa i organizacyjna górnictwa węglowego. Koncentracja własnościowa to przywracanie w pełni polskiej własności państwowej w górnictwie.

Należy równolegle skonsolidować procesy gospodarcze w górnictwie w jeden łańcuch; od finansowania, przez wydobycie, przeróbkę, dystrybucję, aż po handel węglem. W tym celu niezbędne jest powołanie Banku Górniczego, który będzie wyłącznie finansował górnictwo i przejmie jego zadłużenie.



Niezbędna i pilna jest głęboka wymiana kadr zarządzających w górnictwie. Trzeba odsunąć od zarządzania wszystkich bez wyjątku menadżerów i naukowców, którzy brali udział w jego niszczeniu oraz obecnej samolikwidacji.

Przywrócenie górnictwu trwałej rentowności musi zostać oparte na rachunku ekonomicznym w skali ekonomii państwa. Cena płacona za węgiel przez elektroenergetykę zawodową będzie średniookresową ceną stałą. Jej wysokość uwzględni średniookresową cenę parytetową, po jakiej węgiel byłby sprowadzany do Polski. Biorąc wszakże pod uwagę olbrzymie zadłużenie zagraniczne polskiego państwa i konieczność jego zmniejszenia, w cenie węgla będzie również uwzględniona cena pożyczania 1 dolara na zagranicznych rynkach finansowych liczona w procencie składanym.

Ze względu na możliwe wprowadzenie, w ciągu dekady do dwóch, technologii podziemnego zgazowania węgla, prace nad tą technologią uzyskają bezwzględny priorytet badawczo-wdrożeniowy i finansowy w skali państwa.

Narodowa alternatywa rozwoju Polski

Odbudowa potencjału wydobywczego górnictwa wymaga nowej roli gospodarczej polskiego państwa i realizacji narodowej polityki przemysłowej. Ta zmiana gospodarczej roli to powołanie sztabu generalnego polskiej gospodarki w postaci Ministerstwa Gospodarki, który będzie kreatorem polityki gospodarczej, a nade wszystko przemysłowej. Ta zmiana to równoległa koncentracja uprawnień właścicielskich w rękach Ministerstwa Skarbu, jako instytucjonalizacji Skarbu Państwa i realizatora polityki gospodarczej.

Trzy główne cele polityki przemysłowej to (1) umacnianie i rozwijanie narodowej własności polskiego kapitału, tak prywatnego, jak i publicznego, (2) maksymalna finalizacja narodowej produkcji przemysłowej, dla ograniczenia jej poddostawczego i montażowego charakteru i (3) innowacyjna reindustrializacja. Ta reindustrializacja to selektywne wsparcie przez państwo tworzenia i rozwoju innowacyj-

nych przemysłów. Jej celem jest przełamanie strukturalnego zacofania polskiego przemysłu i jego peryferyjności. Chodzi o przełamanie nade wszystko głębokiego zacofania w czterech strategicznych dla przyszłości polskiej gospodarki przemysłach: komputerowego, elektronicznego, precyzyjnego i elektrotechnicznego. Równocześnie trzeba zbudować od podstaw przemysły, które zadecydują o sukcesie III rewolucji przemysłowej, opartej na cyfryzacji produkcji przemysłowej.

Kluczowym instrumentem tej narodowej polityki przemysłowej muszą być polskie kapitały państwowe i państwowe inwestycje przemysłowe. Wymaga to wszakże likwidacji w dyskursie publicznym paraliżującej roli intelektualnego wirusa ideologii neoliberalizmu ekonomicznego. Jest to neokolonialna ideologia, której celem jest paraliż kapitałów państwowych i gospodarczych funkcji państwa.

Warunkiem niezbywalnym dla narodowej alternatywy rozwoju jest odzyskanie przez polskie państwo wewnętrznej suwerenności walutowej. Oznacza to likwidację zakazu finansowania rządowych i publicznych wydatków przez Narodowy Bank Polski, czyli likwidacji art. 220 p.1 Konstytucji i zawieszenia wykonywania art. 123 Traktatu Lizbońskiego UE. Przywrócenie suwerenności walutowej państwa umożliwi państwową emisję pieniądza, dzięki monetyzacji co najmniej deficytów budżetowych rządu. Ta monetyzacja wydatków rządowych jest niezbędna dla pokrywania emisją nowego pieniądza przyrostów nowych wartości ekonomicznych mierzonych wzrostem PKB, bez ciągnięcia długów w prywatnych bankach i instytucjach. Zlikwiduje to finansową „pułapkę pułapki”, w postaci narastania rządowego długu publicznego w wyniku finansowania przez niego gospodarki i gospodarstw domowych corocznymi deficytami budżetowymi.

Narodowa alternatywa rozwoju dla współczesnej Polski wymaga wszakże tak instytucjonalnego, jak i społecznego podmiotu, zdolnych do realizacji tych narodowych wyzwań. Tym instytucjonalnym

podmiotem jest silne państwo narodowe, a podmiotem społecznym patriotyczne i kompetentne grupy przywództwa narodowego.

Poziom ideowy, merytoryczny i etyczny obecnych politycznych grup przywódczych, podobnie jak grup sfery kultury, mediów i nauki, ogranicza istotnie ich narodową misyjność, narodową odpowiedzialność i narodową bezkompromisowość moralną. Grupy te na przestrzeni 30 lat były i są znacząco kompradorskie i silnie zorientowane kosmopolitycznie, co istotnie ogranicza możliwości samoorientacji i samomotywacji narodowej.

Warunkiem wyjściowym jest likwidacja obecnego ustroju partyjnej oligarchii wyborczej. W tym ustroju obywatelom odebrano bierne prawo wyborcze, gdyż nie mogą kandydować do Sejmu jako obywatele. Z czynnego zaś prawa wyborczego uczyniono demokratyczną fasadę, gdyż wyborcy głosują na kandydatów już wybranych przez partyjne oligarchie. Konieczne jest wprowadzenie większościowej ordynacji wyborczej w wyborach do Sejmu w 460 jednomandatowych okręgach wyborczych, z równą dla wszystkich uprawnionych obywateli swobodą kandydowania, gdzie posłem zostaje zdobywca największej liczby głosów w jednej turze wyborczej.

Równa dla wszystkich swoboda kandydowania otworzy w pełni demokratyczny proces wyłaniania nowych grup politycznych. Otworzy to w pełni polską scenę polityczną na nowe środowiska i ugrupowania oraz grupy polityczne i rozpocznie proces pozytywnej selekcji nowych liderów i przywódców politycznych. Umożliwi zasadniczą wymianę grup władzy politycznej i otworzy możliwości stopniowej wymiany narodowych grup przywódczych w sferze kultury, nauki i mediów. ■

Wojciech Błasiak jest ekonomistą i socjologiem, doktorem nauk społecznych. Jest niezależnym naukowcem i publicystą, a także autorem i współautorem siedmiu monografii naukowych, autorskiego reportażu i zbioru esejów.



Czy kiedy była Pani dzieckiem, a potem nastolatką, w domu Odorkiewiczów, tym warszawskim, a potem katowickim, często słuchało się radia?

Pewnie rodzice słuchali często. Byłam dzieckiem, więc trudno mi to sobie dokładnie przypomnieć. Pamiętam tylko, że kiedy mieszkaliśmy jeszcze w Warszawie przy ulicy Huculskiej u pana inżyniera Szala, który miał fabryczkę części samolotowych (zresztą był wynalazcą wielu z nich, niestety zginął rozstrzelany przez Niemców), leżałam chora, a mamusia czytała mi książkę i grało radio. W pewnym momencie radio przestało grać, przestała szumieć fabryczka, która była na podwórzu. Nastąpiła cisza. I co się okazało? Na podwórku był domek, nam się wydawało, że to buda dla psa, a tam były bezpieczniki. Mój brat spacerował wówczas po ogródku, wszedł do tej budy i zaczął je wykręcać. Pracownicy po cichutku podeszli do niego, żeby nie dotknął rękami i nie przestraszył się, bo byłby z niego węgiel. To właściwie moje pierwsze wspomnienie, więc wracając do Pana pytania: radio grało. Moja mama bardzo dużo słuchała muzyki. Potem, kiedy przeprowadziliśmy się do Katowic, na pewno również radio było słuchane przez rodziców. Przez nas, dzieci raczej mniej, bo w ciągu dnia były różne zajęcia, zabawy, spacer, a wieczorem, kiedy tata wracał z pracy z radia zajmował się nami. Deklamował wiersze, uczył nas piosenek. Naśladował świetnie głosy ptaków i zwierząt. Myślę, że on nam w ten sposób „zastępował” radio.

Jakie były wówczas Pani ulubione audycje?

Pamiętam audycje profesora Stanisława Ligionia, bo były takie pogodne, wesołe i wydaje mi się, że właśnie słuchaliśmy ich wspólnie. Muszę jeszcze dodać, że w Polskim Radio w Katowicach Pani Helena Tymieniecka – ciocia Hela, żona pierwszego dyrektora rozgłośni, zorganizowała teatrzyk dla dzieci i chórek, do których również należałam. Myśmy mieli spotkania. Nawet przez radio były nasze występy transmitowane. Pamiętam nasz występ na Torkacie [sztuczne lodowisko przy ul. Bankowej – PS]. Nasz zespół też występował tam z jakiejś okazji.

Czyli miała Pani swój własny wkład w historię radia.

No powiedzmy, że minimalny (*śmiech*).

Pani ojciec Edmund Odorkiewicz z wykształcenia był prawnikiem. Jak to się stało, że wkrótce został dziennikarzem prasowym, a potem radiowym?

Tato miał trzech braci. Najstarszym był Zygmunt, w 1920 roku, z Legii Akademickiej, bo był studentem pierwszego roku prawa na Uniwersytecie Warszawskim, zginął w obronie Lwowa. Było z Chełma szesnastu ochotników. Na głównym placu miasta jest kolumna, na której stryj Zygmunt jest wypisany. Średni brat, Cyprian, był dowódcą batalionu „Krybar” na Powiślu w czasie Powstania Warszawskiego. Potem był w niewoli i wylądował ostatecznie w Radiu Wolna Europa, z którego dowiedziałem się 9 lipca w 1966 r., że zmarł nad ranem. Mój ojciec był najmłodszy. W 1925 roku zdał maturę i w tym samym roku zmarł jego ojciec Jan. Tato chciał, tak jak starszy brat, studiować i wyjechać do Warszawy na studia prawnicze, ale nie było już ku temu takich



Hanna Odorkiewicz-Sikocińska z portretem Ojca

Historia ojca

Z HANNAŃ ODORKIEWICZ-SIKOCIŃSKĄ

rozmawia PIOTR SKOWRONEK

warunków materialnych. Co prawda dziadkowie mieli duże mieszkanie w Chełmie i babcia wynajmowała stancje uczniom słynnego Gimnazjum im. Stefana Czarneckiego, ale studiował także stryj Cyprian. Tato musiał więc dorabiać i w związku z tym został przyjęty do „Kurier Poranny” i tam rozpoczął swoją pracę dziennikarską. Może to za dużo powiedziane, ale w każdym razie zaczął tam pracować. Praca redakcyjna go bardzo wciągnęła i w związku z tym po ukończeniu studiów został w tym dzienniku. Potem był wysyłany jak korespondent do Czechosłowacji, Jugosławii i na Węgry. Zresztą znajomość węgierskiego chyba uratowała mu życie po powstaniu.

Zajmował się wówczas dziennikarstwem politycznym? „Kurier Poranny” był organem propagandowym BBWR.

Tak i właśnie między innymi za artykuł o synu prezydenta Mościckiego, z którym były problemy, musiał opuścić redakcję. To był chyba 1935 rok i wtedy zaczął pracować w Polskim Radio. W 1937 roku profesor Ligoń zaczął rozbudowywać rozgłośnię w Katowicach i brakowało mu dziennikarzy, którzy mogliby reprezentować odpowiedni poziom. Ściągnął tatę z Warszawy. Ze Lwowa panów Zbigniewa Lipczyńskiego i Jerzego Tępa z *Wesołej Lwowskiej Fali*. Redaktor Madejski i Aleksander Baumgarten przybyli z Krakowa. No, jednym słowem, pościągał najrozmaitszych dziennikarzy do rozgłośni i właściwie wszyscy się zjechali w grudniu 1937 roku. Mieszkaliśmy w Katowicach w jednej kamienicy przy ulicy wtedy Lisieckiego, obecnie Szeligiewicza. Po prawej stro-

nie są dwa ogromne bloki ZUS-u. Wtedy były one świeżo oddane po wybudowaniu i radio tam dla tych wszystkich sprowadzonych redaktorów wynajęło mieszkania. Dzieci bawiły się razem na podwórzu, które było świetnie urządzone, a ojcowie pracowali w radio. I tak się znaleźliśmy w Katowicach.

Stanisław Ligoń, o ile się nie mylę, mieszkał przy tej samej ulicy?

Tak przy tej samej ulicy, na rogu Kościuszki i Lisieckiego. Dom ten stoi do dzisiejszego dnia – willa pana dyrektora Ligionia. Tam w tej chwili mieszkają wnuki i prawnuki. Ja zresztą miałam ten zaszczyt znać i pana dyrektora i jego żonę Wandę, tudzież dwie córki, które poznałam już po wojnie, kiedy byłam lekarzem.

Jakie obowiązki służbowe miał wówczas ojciec?

Został zastępcą dyrektora Ligionia. Bardzo szybko awansował. Zajmował się wówczas problemami politycznymi, zwłaszcza niemieckimi. Zresztą w kwietniu 1939 roku tuż przed wybuchem wojny, która wisiała w powietrzu, dyrektor Ligoń zbierał pieniądze na zakup karabinu maszynowego. To zostało ogłoszone w audycji *Przy żeleźnioku*. Stały kolejki ludzi dniami i nocami, żeby złożyć ofiary na ten cel. Tuż przed wybuchem wojny ojciec został komendantem wojskowym w radio. Przypominałam sobie wspomnienia ojca o tym, że dyrektor Ligoń nie chciał absolutnie wyjechać z Katowic, ale było wiadomo, że jest na liście proskrypcyjnej. Niemcy mieli sporządzone spisy osób, które należało natychmiast zlikwidować. Tato wymógł na nim rozkazem, że musi wyjechać i drugiego

września 1939 roku z rodziną opuścił Katowice i po wielu perypetiach znalazł się w Palestynie. A ojciec tutaj likwidował radio. Były dwie stacje nadawcze na Mrówczej Górze i w Brzeżynie. Pierwsza została już pierwszego września rozebrana, a drugiego września, Niemcy się szybko zbliżali do Katowic, została zniszczona amplifikatornia, która jest jakby duszą radia. Ojciec z technikiem Klimszą pojechali do Brzeżinki. Tam dowiedzieli się, że o godzinie 20:00 nie będzie już prądu. Ojciec powiedział do mikrofonu: „Tu Polskie Radio Katowice” i do czasu wyłączenia zasilania nadawali z płyty „Jeszcze Polska nie zginęła...”, po czym i ta radiostacja również została zdemontowana. Następnie tato dostał rozkaz dowództwa w Katowicach, że ma jechać do Krakowa. Tam dopytywano się, czy dyrektor Ligoń odjechał, co tato poświadczył i dostał zadanie zniszczenia radiostacji w Baranowiczach.

Czy ojciec wspominał okoliczności tych wydarzeń? Przecież niszczyli właściwie nowy sprzęt.

Podobno, ten właśnie technik był jednym z współbudowniczych radiostacji w Brzeżynie i tato wspominał, że kiedy ją likwidował, to płakał.

Z pewnością rodzina Odorkiewiczów również była zagrożona? Czy nazwisko ojca również widniało na listach proskrypcyjnych?

Myszę, że tak. Kiedy przyjechaliśmy po wojnie do Katowic nasze mieszkanie było już zajęte. Ojciec zresztą sporo dni spał w rozgłośni. No, ale sekretarka, która była jeszcze przed wojną, powiedziała, że przyjedzie żona z dziećmi, to gdzieś musi mieszkać i w związku z tym ona nam znalazła mieszkanie. Natomiast po paru miesiącach mama spotkała na ulicy naszą dawną pomoc domową, Marysię. Naturalnie bardzo się ucieszyła, że żyjemy i właśnie ona opowiedziała o wizycie Gestapo u nas. Na szczęście nie było jej w tym momencie w domu. Gdy wróciła, zastała wylamane drzwi, zniszczone, połamane meble, postrzelane obrazy. Wisiały trzy portrety mamusi, taty i mój. Mój pamiętam, bo byłam w niebieskiej sukience z różowym kołnierzykiem i kokardą we włosach. To wszystko było postrzelane, poniszczone. Marysia wyniosła jedynie dwa café obrazy. Bała się wrócić po resztę. Obecnie jeden mam ja, a drugi wisiał u brata. Tak więc to wyglądało na świadome działanie. Na pewno chcieli ojca aresztować zwłaszcza, że zajmował się sprawami niemieckimi.

Pytam, bo Ligonia spotkała swoistą zemsta. Ponoć jego sobowtóra trzymano w klatce i obwożono ulicami miasta, aby udowodnić jego złapanie i pokonanie.

Oczywiście, że była to nieprawda. Było więcej takich niejasności. Wyczytałam, że w 1975 roku, któryś z dziennikarzy pisał, że Radio Czeskie podało, jakoby Ligoń ukrywał się w piwnicach zlikwidowanej radiostacji w Brzeżynie, co było oczywiście także kłamstwem.

Po wojnie Edmund Odorkiewicz został pierwszym dyrektorem Dyrekcji Okręgowej Polskiego Radia w Katowicach. Jak do tego doszło?

Najpierw wojna. We wrześniu 1939 roku ojciec wysłał nas do swojego dalekiego kuzyna,

który był dowódcą odcinka Korpusu Ochrony Pogranicza za Krzemieńcem. To jest dłuższa historia. Moja mama chodziła tam – bo była to wieś ukraińska – odhaftowywać z ręczników, które wisiały obok ikon hafty czarno-czerwone. W jednej z chat spotkała chłopaka, który powiedział, że był w Dederkałach w kościele katolickim na mszy. Słyszał łacinę i bardzo mu się spodobała. Mama знаła łacinę i podjęła się jego nauki. To bardzo ważne wydarzenie, bo stało się naszym źródłem utrzymania. Wybuchła wojna. Mamusia chciała koniecznie wrócić do Warszawy. Spakowała wszystkie rzeczy. Dowieziono nas na stację odległą o 30 km Krzemieńca. To były straszne przeżycie dla dzieci, tak, że ja to świetnie pamiętam. Pierwsze bombardowanie. Potem przez Równę, Zdobunów do Kowla, a tam komendant wojskowy powiedział, że mamy z dziećmi nie przepuścić, bo jest ciężki ostrzał na Bugu i musimy wracać. No i wróciliśmy znowu pod strzałami i bombami do Krzemieńca. Tam do mamy podszedł pan z opaską na rękę i powiedział, że zaraz pośle harcerza do Liceum Krzemienieckiego, bo tam czekają na panią i dzieci mąż. Najwyraźniej jadąc do Baranowicz tato wiedział co się dzieje, więc wróciliśmy do stancji.

Dostaliśmy od kwatermistrza aprowizację kożuchy, koce, ciepłą bieliznę wojskową, bo mieliśmy tylko letnie rzeczy. Rosjanie wkroczyli ranem 17 września. Ciocię ograbiono z różnych rzeczy. Poszli dalej, a trzy dni później unieważniono polskie złotówki, bez wymiany. Zaczęła się trudna sytuacja finansowa, ale chłopak wrócił dalej się uczyć, a jego mama przysyłała żywność i wszyscy się z tych darów utrzymywaliśmy. Tak było do końca stycznia 1940 roku. Wówczas chłopak poprosił mamę do swoich rodziców i tam się dowiedziała, że mamy być gotowi do drogi. Dostaliśmy suchary i smalec, a jego ojciec zawiózł nas do Krzemieńca. Wyjechaliśmy chyba 1 lutego. Pociąg stawał w lesie, bo brakowało paliwa. Kolejarze, którzy się nami poniekąd opiekowali, doradzili rodzicom, żeby granicę lepiej przejść dalej na północ. Z tej przyczyny skierowaliśmy się na północ i 28 marca,

w pierwszy dzień Wielkiej Nocy znaleźliśmy się w Zambrowie. Na śniadanie wielkanocne był barszcz z ziemniakami, którymi też się z nami podzielono. Następnego dnia podwieźli nas do swoich krewnych. Tam nam okręceno buty szmatami nasączonymi naftą, bo wtedy psy gubiły ślad. Podprowadzono nas pod las. Powiedzieli, że od strony północy na drzewach jest mech. Mamy iść na zachód. No i poszliśmy. Nad ranem wyszliśmy z lasu. Niewielkie wzniesienie, zaskie już przygotowane, drut kolczasty, a w dole stacja z napisem Ostrów Mazowiecka po polsku i po niemiecku, więc byliśmy już po tej drugiej stronie. Tam znowu do kolejarzy, którzy nas nakarmili, powiedzieli, że jak nas zobaczą w tym pięknych naszych strojach pachnących Niemcy to wywożą nas z powrotem do „przyjaciół”. No więc kolejarz dowiózł nas kilka stacji dalej, kupił bilety i odprawił nas do Warszawy. Wyszliśmy w Warszawie Wschodniej. W tramwaju tato wytłumaczył konduktorowi, że nie mamy pieniędzy, zresztą tak wyglądaliśmy, że było wiadomo, że ich nie mamy. Dojechaliśmy do stryjostwa. Stryj był jednym z zastępców prezydenta Starzyńskiego i odpowiadał za Warszawę Północną. Zadzwoniliśmy do drzwi. Ktoś podszedł do wizjera ale nie otworzył. Pukamy znowu. Drzwi się otwierają i staje w nich stryj. Jak się okazało pierwszą osobą przy drzwiach była babcia, która nas nie poznała, bo wyglądaliśmy po prostu jak nędzarze. Bez powitania po kolei zdejmowaliśmy z siebie rzeczy do poszew na kołdry. Ubrania niemal same mogły pojsć na śmietnik. Stryjenka już szykowała kąpiel. To było pierwsze właściwie od kilku miesięcy porządne mycie. Po kilku dniach rodzina się poskładała i od stóp do głów nas ubrała, bo nie mieliśmy nic i tak się zaczęło życie w Warszawie. Tato poszedł do pracy jako robotnik w Ogrodzie Saskim. Spotkał tam zresztą kilku dziennikarzy z katowickiego radia.

Rozumiem, że po wojnie ojciec podjął decyzję, że wraca do Katowic odbudowywać radio?

Nasze drogi się rozdzieliły. My po przejściu obo-



Wręczanie radia. Edmund Odorkiewicz drugi od prawej

zu w Pruszkowie znaleźliśmy się w Końskich. Tam mój brat chodził na dworzec kolejowy, wywołując nazwiska rodziny, licząc na to, że ktoś usłyszy i będzie wiedział coś o losach naszych bliskich. Pewnego dnia przyniósł wiadomość, że ojciec nie żyje. Płakaliśmy. Aby nas utrzymać mama pracowała przy zbiorach kukurydzy. RGO [Rada Główna Opiekuńcza – PS] dawała obiady i jakoś przeżyliśmy. Natomiast ojciec był dwukrotnie ranny w czasie powstania we wrześniu. Po ostrzale w brzuch leżał nieprzytomny przy barykadzie w Alejach Jerozolimskich. Po ustaniu ostrzału został przeniesiony do szpitala na Hożą. Szpital był dopiero ewakuowany w połowie października, a drugi obóz przejściowy (oprócz Pruszkowa) był w Ożarowie. Stamtąd znowu ich ewakuowano, ale pociąg zatrzymał się w lesie i ojcu udało się uciec. Zwykle stawał tylko w szczyrim polu, by można było załatwić potrzeby fizjologiczne. W trakcie ucieczki otworzyły mu się rany i trafił do szpitala w Tomaszowie. Później pojechał do swojego stryjecznego brata do Piotrkowa. Jego nie było. Dopiero w 1990 roku dowiedzieliśmy się, że zginął w Miednoje. Stryjenka tam go podkurowała, a miał rozkaz zgłosić się do Komendy Głównej w Częstochowie. Kiedy poczuł się lepiej, wszedł do pociągu i zawsze mówił, że nie wie dłaczego, już siedząc, wychylił się przez okno i wtedy usłyszał okrzyk: „Panie Edmundzie! Pan żyje!? Pani Helena jest z dziećmi w Końskich”. Ojciec wyskoczył z pociągu. Pojechał do Koluszek, a stamtąd do Końskich. Wysiadł z pociągu i zobaczył syna. Stał. Nie mógł głosu wydobyć. Brat przyprowadził ojca do domu i tak się spotkaliśmy. Kiedy Końskie zostało wyzwolone w połowie stycznia 1945 roku, tato wybrał się piechotą do Warszawy. Przeszedł przez łód na Wiśle, bo zima była ostra. Dotarł na Pragę do siedziby delegatury Rządu Tymczasowego i tam dowiedział się, że dyrekcja Polskiego Radia jest w Lublinie. Pojechał do Lublina pociągiem. Tam, kiedy dowiedzieli się, że jest z Katowic, ktoś mówi: „Zaraz będzie leciał samolot do Krakowa”. No więc podwieźli tatę na lotnisko. Wylądował w Krakowie, a stamtąd koleją przyjechał do Katowic. Tu już kilku pracowników kręciło się w Radio. Ucieszyli się bardzo, że tatę zobaczyli i zaczęły się porządki.

Jak to się mówi trzeba było podnieść radiostację „z gruzów”?

Tak, było bardzo dużo poniszczzonego sprzętu, bo Niemcy opuszczając Katowice też niszczyli co mogli, co w czasie wojny odbudowali. Wkrótce, bo 6 marca została nadana pierwsza audycja.

Kiedy dołączyliście do ojca?

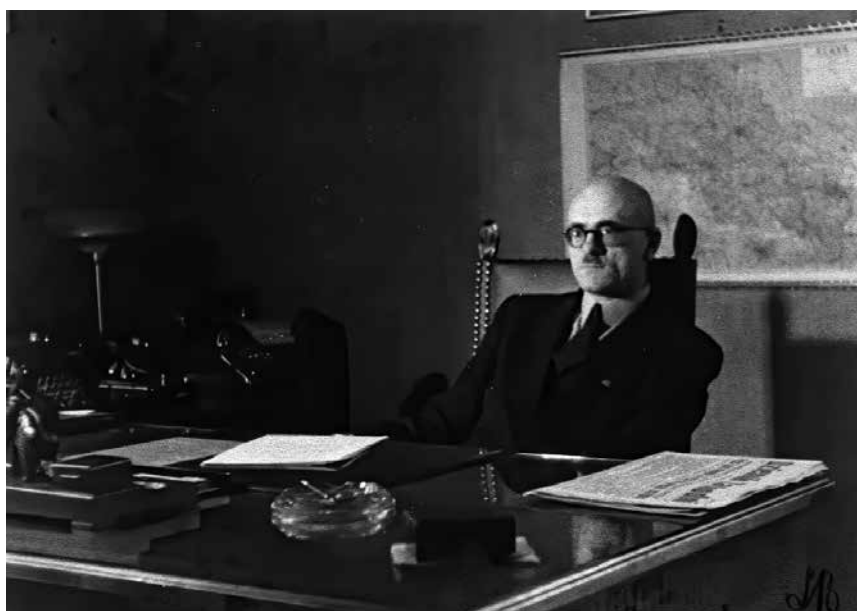
To było jakoś tak 20 marca. Przyjechaliśmy najpierw do Radia, bo przecież nie było żadnej możliwości kontaktu, ani telefonów, ani niczego. Pamiętam, że ja i brat już od 1 kwietnia poszliśmy do szkoły.

Wszyscy zaczęli wracać?

Wszyscy po kolei zaczęli powoli wracać do Radia. Profesor Ligoń wrócił w wrześniu 1946 roku, kiedy tato już w Radio nie pracował, bo 30 kwietnia tegoż roku było jego pożegnanie – mam tutaj fotografię – ale kiedy Ligoń wrócił, tato został zaproszony do radia, żeby go przywitać.

Wspominał te chwile?

Jak to bywało po takich ciężkich chwilach opowiadał chociaż w skrócie, co się przeżyło. Wielka radość. Potem Ligoń został w radio, a tato pojechał się i wyszedł.



Edmund Odokiewicz w swoim gabinecie

Czyli pierwszy powojenny dyrektor Dyrekcji Okręgowej Polskiego Radia w Katowicach powiatał ostatniego przedwojennego dyrektora tej rozgłośni. Ciągłość została zachowana. Przypomnę, że Ligoń też nie dostał wtedy etatu w radiu.

To znaczy, on prowadził potem swoje audycje: *Przy sobocie po robocie*, *Wczoraj była niedzielka* czy *U Karliczka brzmi pieśniczka*, potem *Radiowa Czelodka*. Myślę, że on był bardzo popularny na Śląsku. Gdyby się Ślązacy dowiedzieli, że Ligoń wrócił, a nie byłoby jego audycji to wybuchłaby wielka awantura.

Z jakich przyczyn ojciec został odwołany z funkcji dyrektora?

Z przyczyn politycznych. Chyba to było w lutym czy w marcu, kiedy NKWD podstępnie aresztowało m. in. dowódców Polski Podziemnej. Gen. Sierow zaprosił wszystkich na spotkanie i tam wszyscy zostali aresztowani. Potem w Moskwie był „proces szesnastu”. Wtedy płk. „Radosław” rozkazał ujawnić się. Tato się ujawnił i takie były konsekwencje tego ujawnienia. Poza tym jeszcze się sprzeciwiał transmisji audycji przez kołchozniki, to były takie megafony. Tato powiedział, że absolutnie mają być radia. Nawet przygotowałam takie zdjęcie, gdzie tato komuś daje radio. Dyrektor Radia rozdawał radia! Kto chciał je mieć, musiał przyjść do rozgłośni. Drugim powodem był więc ten sprzeciw, a poza tym była taka audycja dla chorych. Prowadził ją ks. Michał Rękas ze Lwowa, który tam stworzył Apostolstwo Chorych. To wkrótce przez władze komunistyczne zostało zakazane. Ojciec miał trochę takich grzechów na sumieniu.

Jednak ojciec pozostał wierny dziennikarstwu?

Do końca życia został wierny dziennikarstwu. Zainteresował się bardzo historią. Potem publikował różne artykuły. Są książki: *Śląsk a powstanie styczniowe*, *Śląsk w organizacji powstańczej w latach 1862–1864*, *Uchodźczy z Opolszczyzny po powstaniach i plebiscycie*, *Kryptonim „dorsze”*. Jeszcze wcześniej był dyrektorem „Estrady”, parę miesięcy, a potem go zwolniono. Kiedy Hadyńska zaczęła tworzyć „Śląsk”, to został dyrektorem

administracyjnym, tak że Koszęcin, w którym zespół ma do dzisiaj swoją siedzibę, to właśnie tato wynalazł. Tam były pewne rzeczy, które mu się nie podobały, więc się zwolnił. W międzyczasie zachorował na gruźlicę stopy. Najpierw się leczył. Przeszedł na rentę i przestał pracować zawodowo, a zajął się pisaniem i współpracował z Instytutem Śląskim. Do końca był aktywny. Proszę sobie wyobrazić, że tato zmarł w marcu, a w czerwcu przyszedł mój pacjent i dowiedziałam się, że jego żona miała z ojcem konsultacje do pracy doktorstkiej w styczniu. Wtedy już leżał.

Czy zostały jakieś szczególne pamiątki po ojcu?

Ten jeszcze przedwojenny obraz, który malował tato kolega z gimnazjum, Henryk Uziębło. To jeden z jego takich pierwszych, jeszcze studenckich obrazów. Przedstawia okolice Chelma Lubelskiego. On u mnie wisi i na niego patrzę i w tej chwili. Mam tato portret. Jego odznaczenia, listy, fotografie... takie właściwie najważniejsze rzeczy.

Została Pani lekarzem-kardiologiem, jest Pani aktywna w ruchu hospicyjnym. Czy radio pomaga ludziom w ciężkich chwilach? Jakie dziennikarstwo radio-owe lubi Pani najbardziej?

Ponieważ to jest hospicjum domowe – ja przyznaję, że od marca ubiegłego roku tylko dwukrotnie byłam u chorych, bo prezeska absolutnie mnie chroni, jako że jestem najstarszym członkiem tego hospicjum – kiedy byliśmy na wizytach, a chory czuł się trochę lepiej, a nawet czasem może i był z nim trudniejszy kontakt, ale było słyhać, że rodzina stawiała muzykę, koncerty, to działa zwykle kojąco.

Obecnie sucha Pani Radia Katowice?

Radia Katowice słucham rzadko, natomiast słucham transmitowanych na „Dwójce” koncertów z NOSPR-u, bo mam abonament. Nawet pani dyrektor dzwoniła z życzeniami do mnie, jako że tato z Witoldem Rowickim założyli Wielką Orkiestrę Symfoniczną Polskiego Radia w Katowicach. Ja jestem już chyba najstarszym jej słuchaczem, bo od razu rodzice mnie prowadzili do studia Polskiego Radia, bo tam grała orkiestra. Tak więc od początku chodziłam na koncerty i chodzę do dzisiaj, i nauczylam wnuka. **Bardzo serdecznie dziękuję za rozmowę.**

Powiedzieć o Romku, że był osobą barwną, to za mało. On po prostu był szczególny. Tacy ludzie są na wagę złota – podkreśla **Agnieszka Kijas** – pisarka, dziennikarka i autorka książek o tyskim Teatrze BELFEgoR i Kobiórskim Teatrze Kulturalnym (KaTeKa – w skrócie), z którymi związany był Romek.

Pamiętam spotkanie z Panią Anną Radziwiłł wiceministrem kultury, tuż po spektaklu Teatru BELFEgoR – „Folwark Zwierzęcy” G. Orwella. (1990 r.). Dla nas wszystkich to było wielkie wydarzenie. Pani Anna wyciągnęła z torebki papierosa. Był bez filtra. Romek wyszedł na chwilę i przyniósł długą szklaną firkę – do dziś się głowię, skąd ją zdobył. Potem sobie żartowaliśmy, że może dzięki temu „refleksowi” Romka, który wiecznie reagował z opóźnieniem, zdobyliśmy nagrodę Ministra Kultury i Sztuki za ten spektakl – dodaje tyszanin **Sławomir Żukowski** reżyser i założyciel Teatru BELFEgoR.

Pewnego dnia Romek przyszedł na przedstawienie „Upiorów” w tyskim Teatrze Małym lekko wstawiony. Potem, w garderobie dla kurażu (bo zawsze bardzo się tremował przed występem) coś tam jeszcze dołożył i grając rolę Hrabiego był dość mocno „gotowy”. Język mu się plątał, co chwila spadał mu cylinder z głowy, bywało, że się lekko zatoczył... Patrzyliśmy na to ze zgrozą, bojąc się, że publiczność zauważy niedyspozycję Muldka. Tymczasem po spektaklu, gdy wychodziłem z teatru, usłyszałem jak jedna z pań, które oglądały spektakl, mówi do drugiej: „Ale bezkonkurencyjny był Hrabia. Jak on genialnie zagrał pijanego!”. Nie ukrywam, że szlag mnie trochę trafił, że my wszyscy spinamy się maksymalnie, chcemy by wszystko dobrze wypadło, a największy splendor spada na Muldka, który tego dnia chyba nie za bardzo wiedział w jakiej sztuce gra... – opowiada **Wojciech Wiczorek** – redaktor naczelny tygodnika „Twoje Tychy”, dziennikarz, wieloletni aktor Teatru BELFEgoR, który współtworzył z Romkiem.

Taki był nasz Romek.

Film – i zamieszanie

Naprzeciw „Sikorki”, miejscowej znanej knajpy, Romek i przyjaciele stawiają łóżko. Po co? – pytają przyjezdni i mieszkańcy Kobióra. Nikt nie odpowiada. Tylko kręcąc film. *Bugimen* – się nazywa. Wtajemniczeni w twórczość teatralną wiedzą, że to filmowa adaptacja *Kartoteki kobiórskiej*, którą Romek wspólnie z KaTeKa wystawia na scenach – i która oparta jest na *Kartotece* Tadeusza Różewicza. *Bugimen* zawędruje na festiwal filmowy filmów amatorskich w Koninie, zagości w Warszawie, obejrzą go też na przeglądzie w Bieruniu. Rozsławi Kobiór na całą okolicę...

Realizacja tego ambitnego przedsięwzięcia scenicznego – jakim była *Kartoteka*... – w pewnym momencie tra-



Tajemnicza biografia technika dentylistycznego Muldka

GRZEGORZ SZTOLER

fia na poważny kryzys. Tak wspomina to sam Romek:

Główną rolę w naszej „Kartotece...” zagrał Rusłan Michnowicz, Białorusin mieszkający wówczas w Kobiórze i grający w zespole „Dzióło”, który właściwie uratował premierę tego spektaklu. Na dwa tygodnie przed premierą okazało się bowiem, że z grania bohatera „Kartoteki” rezygnuje zawodowy aktor. Padło na Rusłana, który po polsku mówił kiepsko. Dzień i noc uczyłem go języka i tekstu. No i tak zamiast po polsku nauczył się gadać po Śląsku. „Kartoteka kobiórska” okazała się sukcesem. Niedługo potem została pokazana w Teatrze Małym w Tychach, a widowni – dosłownie – zabrakło wolnych miejsc. Nasz teatr, amatorski przecież, na prawdziwej scenie, w prawdziwym teatrze, przed ponad 400 osobami. To dodało nam pewności siebie i skrzydeł.

Romek, w jednym z wywiadów: – Po „Bugimieniu” przyszedł czas na refleksję, przestałem być radnym powiatowym w Pszczynie, byłym byłem w pierwszej kadencji i pewne obserwacje i doświadczenia z tego okresu skłoniły mnie do napisania scenariusza sztuki „Sesja nadzwyczajna”. Sporo tam fragmentów z Kochanowskiego, ale i własnych przemyśleń...

Niedługo potem, w 2004 r., Romek zabiera się... za realizację teledysku do przeboju „Z głową w chmurach” ukochanego kobiórskiego zespołu „Dzióło”, w rytmach reggae... I to tak udanie, że tenże zostaje nominowany w kategorii „Inna Energia” na Yach Film Festiwal. Klimatyczny i typowo kobiórski-lasokowy – klimat luzu... Warto obejrzeć na youtube i wspólnie dzieło muzyków zespołu *Dzióło* i Romka. Teledysk promował ich płytę (*Nie*)Porozumienie.

To nie koniec filmowej przygody Romka i jego teatralnej trupy, bo przy okazji przygotowania jubileuszowej publikacji o kobiórskim teatrze dowiadujemy się (od samego Romka) o kolejnych przedsięwzięciach filmowych:

Następny był 18-minutowy film na bazie myśli filozoficznych Józefa Bocheńskiego. Był kręcony przez kilka lat, a zmontowany niedawno. Poza nim, ważnym dla Kobiórskiego Teatru Kulturalnego filmem jest także „Samotność”. Tekstem jest tu sonet Cypriana Kamila Norwida.

Na marginesie – zarówno „Lasok” jak i „Świniobici” są rejestrowane na żywo, Romek zamierza zwłaszcza „Lasoka” wypuścić na płycie DVD z osiągnięciami



mi kobiórskiego teatru, przeszkodą jest tzw. „niedoczas”, jak i rzecz prozaiczna, improwizacje aktorów, które sprawiają, że każdy spektakl (dotyczy to zwłaszcza tego drugiego) jest inny... a przez to ciekawszy. Jednak utrudnia to poważnie montaż – czyli przygotowanie jednolitej wersji z kilku przedstawień. Tego po prostu zrobić się nie da...

Romek jest kopalnią pomysłów – nie tylko filmowych czy teatralnych. Ale z pogranicza – bo jak inaczej to nazwać festiwal dziwadel? Redaktor Sylwia Plucińska z tyskiego oddziału „Dziennika Zachodniego” notuje spostrzeżenia [jest 2003 rok] – bo pyta o genezę samego pomysłodawcę – czyli Romka:

„Wczoraj w Smolarni na podsumowaniu I ogólnokobiórskiego konkursu pn. *Strach na wróble* spotkali się autorzy wszystkich prac. Było ich kilkanaście. Sam pomysłodawca oraz główny organizator Romuald Kłakus (szef Kobiórskiego Teatru Kulturalnego, aktor i reżyser) nie był w stanie precyzyjnie podać ich liczby. Były strachy pojedyncze i rodziny strachów. Jury miałyby ochotę wszystkie nagrodzić, ale jak konkurs, to konkurs. Wymyślono zatem kategorie „strach najśmieszniejszy” i „strach największy”. W tej pierwszej zwyciężył Stefan-jaskiniowiec, stworzony przez rodzinę Żebrowskich. Pan Janusz Żebrowski tak dalece wczuł się w klimat zabawy, że na czas „lustracji obiektu”, czyli Stefana, ucharakteryzował się na jego bliźniaka”.

Romek trafia w lokalne gusta (gusła?) krajanów. Festiwal *Strachów na wróble* się podoba, wieść o nim idzie w świat. Romek twierdzi zresztą, że nie ma jednego przepisu na stracha. Najważniejsze, żeby był straszny, albo strasznie... śmieszny. Wtedy spełnia swoją rolę.

Ba, nie tylko strachy mogą świetnie reklamować gminę, ale... i bałwany – czyli śnieg. Dosłownie na taki konkurs wpada Romek i wspólnie z domem kul-

tury organizuje konkurs na Igloo, czyli domek ze śniegu. – Nie musi to być budowla mieszkalna, może być buda dla psa, garaż albo pałac Królowej Śniegu. Oceniać będziemy pomysłowość i estetykę – zapowiada na łamach zaprzyjaźnionej z nim prasy.

Niesforna pociecha – KaTeKa

Jubileusz na 15-lecia KaTeKa, jaki przypada w niedzielę 28 maja 2017 roku – w miejscowym Domu Kultury – jest naprawdę huczny. Po spektaklu *Świniobici* kwiaty i wiwaty (a także okolicznościowe masarskie przysmaki), a potem spotkanie z autorką książki o kobiórskim teatrze. Książka nosi tytuł *Kobiórnieria – dzieje teatru z Kobióra*. Towarzyszy jej cały czas główny bohater wieczoru – Romek... Pewna redaktorka „Dziennika Zachodniego” dopisuje, że teatr z Kobióra tworzą amatorzy, osoby z pasją i chęcią, w ciągu tych 15 lat przewinięło się przez niego aż 200 aktorów. Jest tylko jeden aktor od samiuskiego początku w KaTeKa.

To Alojzy Brańczyk, który zagrał we wszystkich spektaklach – podkreśla Romek i nie ukrywa, że Alojza darzy specjalną estymą. I dodaje jeszcze, że kobiórski teatr zrealizował w ciągu tych ostatnich 15 lat aż 30 przedstawień (!) – dwa ostatnie, *Lasok* i *Świniobici* na podstawie sztuk G. Sztolera.

Romek zdradza jaki był początek jego scenicznej drogi:

– *Wszystko zaczęło się kiedy studiowałem zaocznie kulturoznawstwo. Na zaliczenie semestru, mieliśmy przygotować sztukę. Podjąłem się reżyserii spektaklu, w który zaangażowałem pozostałych studentów z pięciu grup. Wystawili „Kartotekę” na podstawie Tadeusza Różewicza. Wyszło nam. Dlatego pomyślałem, dlaczego by nie spróbować wystawić czegoś w Kobiórze. Znalazła się grupa chętnych osób i za niedługo zaprezentowano „Kobiórską Kartotekę”. Sztuka spotkała się z pozytywnym odbiorem. Spektakl w Teatrze Małym w Tychach, przyciągnął tylu widzów, że aż brakło miejsc siedzących.*

A rok wcześniej ma miejsce premiera książki o tyskim „Belfegorze”, którego Romek – obok uznanych tyskich aktorów Wojciecha Wieczorka i Sławomira Żukowskiego – jest głównym filarem. Przytoczmy co o Romku, jego roli w „Belfegorze”, mówi jego przyjaciel Sławek Żukowski, jeden z trzech tyskich teatralnych muszkieterów:

Bez Romka Kłakusa ten teatr byłby kulawy. Wojtek Wieczorek był lokomotywą, a Muldek paliwem napędowym. Bez nich ten „pociąg” tak daleko by nie zjechał. Obdarzony wyobraźnią plastyczną był zawsze dla mnie dużym wsparciem w fazach wstępnych scenariuszy. To z nim pierwszym konsultowałem swoje wizje. Był takim katalizatorem moich czasem szalonych pomysłów. Po raz ostatni na scenie

wystąpił na dwudziestolecie teatru, w epizodzie „Przepraszam, że umarłem”. Stan zdrowia nie pozwolił mu dalej kontynuować swojej pasji. Z tego co mówi, nie odsunął się zupełnie od teatru. Z różnym powodzeniem wystawia spektakle z młodzieżą w swoim rodzinnym Kobiórze.

Wojtek Wieczorek: – *Może warto wyjaśnić, skąd się wzięło imię Muldek, pod którym Kłakus funkcjonował w BELFEGORze. Po którejś z premier mój tata bardzo chwalił „pana Romana”, na co poinstruowałem go, że aktor, o którym mówi, ma na imię Romuald, a nie Roman. Na co mój tato: „Ale Romek to jest zdrobnienie od Romana!”. Kiedy tak wspólnie zastanawialiśmy się jak w takim razie brzmi zdrobnienie imienia Romuald, tato nagle wypalił: Muldek! I tak już do końca życia dla nas Romuald Kłakus był Muldkiem...*

Dekadent z ADHD

Romek przypomina niektórym dziecko z ADHD, które nigdy na miejscu nie może usiedzieć. Ma dziwne wrażenie, że musi zrobić więcej i więcej... Że czas ucieka mu między palcami, a sztuka ratuje go od cierpienia i obłędu... Wszystko chce robić naraz...

Nie umiem i nie chcę skupić się w życiu na jednym – przyznaje ze szczerością. – Zawsze robiłem wiele rzeczy na raz, dawałem sobie obowiązków, obciążałem się do granic wytrzymałości. Nigdy nie ośmieliłbym się z czegoś rezygnować. Życie samo likwiduje wokół nas rzeczy, zwalniając nas z takich czy innych zadań. Bałbym się sam usuwać cokolwiek z mojego życia, żeby się nie okazało, że akurat to, co pozostawiłem, życie postanowiło zlikwidować.

Piszą o nim „animator kultury”, ale chyba bardziej byłoby słuszne napisać: „wulkan kultury, zwłaszcza tej scenicznej”. Ale nie tylko – jak słyszę od Przyjaciół – Romek też maluje... Gotuje... To człowiek o wielu talentach.

Romek jest w zasadzie aktorem z zamiłowania, amatorem. Nie jest „zawodowcem” z wykształcenia, co podkreśla: – *Od lat jestem związany z teatrem, ale nigdy zawodowo. Co prawda chciałem zdawać do szkoły teatralnej, ale w końcu nawet papierów nie złożyłem. Nigdy nie pracowałem jako aktor i nigdy też w teatrze nie zarabiałem pieniędzy. Po liceum trafiłem do studium medycznego i ukończyłem je z tytułem technik dentystyczny. Mój znajomy z Teatru BELFEGOR Wojtek Wieczorek przedstawia mnie czasem jako najlepszego technika dentystycznego wśród aktorów i najlepszego aktora wśród techników dentystycznych.*

Co prawda określenie „technik dentystyczny” wzbudza lekki uśmiech – ale tak jest... Romek w tym zawodzie pracuje, z niego żyje...

Dlatego utarło się w prasie takie przedstawianie Romka:

Technik dentystryczny, działacz kultury. Od piętnastu lat związany z tyskim teatrem BELFEgoR Sławomira Żukowskiego: trzon zespołu aktorskiego, współtwórca niektórych spektakli. Jeden ze współzałożycieli Towarzystwa Miłośników Kobióra. Współtwórca Biuletynu Informacyjnego „Sęk”. Ostatnio założyciel Kobiórskiego Teatru Kulturalnego, który skupia około 20 osób. Premiera pierwszego przedstawienia przewidziana jest na 25 maja... Człowiek wszechstronny. Maluje obrazy, fotografuje...

Właśnie, maluje. Niewiele jego przyjaciół wie o tej pasji Romka. Ale chcę powiedzieć o innym obliczu Romka – jako pasjonata i animatora malarstwa. Oto tworzy w latach 90. niezależną galerię *Dekadent*, do której zaprasza różnych gości-artystów, niekoniecznie z pierwszych szeregów. Lata 90. raczej promują cwaniaków, ludzi z inwencją ekonomiczną, biznesową – ale nie ludzi kultury, tym zawsze jest pod górkę, niezależnie od klimatu ustrojowego. Więc galeria zwie się przekornie: *Galeria Sztuki, Kicz i Innej Twórczości Artystycznej „Dekadent”*. Przytoczę tu moją rozmowę z Romkiem, tu przedstawianym jako właściciel tej oryginalnej galerii, właśnie z przelomu lat 90/2000, która dotyczy sztuki i ujmuje postrzeganie Romka tych spraw:

Dekadent jest galerią „kiczu i sztuki”. Czym różni się kicz od sztuki?

Każdy musi odpowiedzieć sam na to pytanie. Nigdy nie mówię, że tym razem w galerii wystawiany jest kicz, a następnym sztuka – wielka lub trochę mniejsza. Koncentrując w jednym miejscu obrazy różnych artystów, daję możliwość odpowiedzi na to odbiorcom, którzy sami uznają je za sztukę lub kicz. Bo nad definicjami można dyskutować do końca świata.

A co jest dla pana sztuką?

To co budzi emocje, rodzi skojarzenia artystyczne, powoduje przeżycia, co porusza i się podoba. Może to być np. układ kolorów. Nie patrzę na nazwisko autora,

ale na obraz. Nieistotne kim jest autor – magistrem sztuki lub stolarzem, ważne że jego obraz porusza.

A czym jest dla pana kicz?

Trudno go określić. Z jednej strony kiczem nazywamy coś niezgodnego z przyjętymi przez większość krytyków normami. Kicz także porusza i wywołuje emocje. Zdarza się, że tworzą go artyści. To odbiorca ocenia, czy na ścianach galerii wiszą obrazy kiczowate, czy dzieła sztuki. Dlatego mieszam wystawy twórców profesjonalnych i nieprofesjonalnych, mało znanych artystów z tymi już znanymi, by dać możliwość ich porównania.

W kobiórskim Domu Kultury uruchamia się wystawę „*Artystyczne pasje Romualda Kłakusa*”. Trafiam na nią przypadkiem. Dochodzimy do wniosku, że trzeba ją rozpropagować. Ma być jeszcze czynna z miesiąc (do połowy lutego). A otwarto ją w listopadzie na Święto Niepodległości. Pewno Romek nie specjalnie chciałby celebrować patriotyczne rocznice, z teatralnej przekory – ale wystawa to wystawa...

Jej opis jest lapidarny: „Na wystawie można obejrzeć prace malarskie, fotografie, rzeźby, odlewy gipsowe, afisze spektakli teatralnych itp. Licznie reprezentowane są fotografie autorstwa Piotra Kaczmarczyka ukazujące różne momenty życia i twórczości zmarłego w tym roku Romualda Kłakusa. Zgromadziliśmy również wiele pamiątek związanych z Kobiórskim Teatrem Kulturalnym, w którym Romuald był wieloletnim reżyserem, aktorem a także autorem scenariuszy”.

Końcem stycznia, w drodze do Sosnowca (gdzie moja macierzysta redakcja DZ się przeniósła z Katowic), zajeżdżam do kobiórskiego Domu Kultury.

Na dole, gdzie wystawiano mojego *Lasoka i Świniobici*, zamknięte. Uroczą panią z sekretariatu wpuszcza mnie płataniną korytarzy, nieco wyżej, gdzie jest sala z wystawą o Romku, jego artystycznej duszy. U nas remont – usprawiedliwia się. Otwiera drzwi. Zdjęcia, zdjęcia – wszędzie Romek – jest go pełno. – Chce pan pokontemplować – domyśla się.

Przychodzi dyrektor Wojciech Paździor. I zaczyna się rozmowa o Romku, wystawie. Pozbieraliśmy pamiątki od rodziny, trochę obrazów, nie wszystkie, a zdjęcia dostarczył Piotrek Kaczmarczyk – wyjaśnia. Te zdjęcia to kawał historii. Poza tym portrety Romka. Romek schorowany sąsiaduje z Romkiem pełnym wigoru. Starszy obok młodszego. Zatrzęsienie tych portretów – a każdy chciałby coś powiedzieć, dopowiedzieć o Romku – który patrzy – i milczy. Jest Romek w swojej pracowni, w przytulnej, drewnianej Smolarni. To było jego królestwo. – Brakuje jedynie przetworów, przeróżnych dżemów, dżemików i tym podobnych, którymi obdarzał odwiedzających go przyjaciół – zauważam. Ale i tak zgromadzono zaskakująco dużo. Obrazy to osobny temat. Moją uwagę przykuwa maska – tak maska Romka – i to nie pośmiertna. Wykonał ją – kawalarz – sam. Jakby specjalnie na tą wystawę. Błyszczą się – a Romek jakby spał. Śpi... Jest jeszcze odlew jego palca... No to ci był (jest) oryginał. Co jeszcze można kontemplować? Wycinki prasowe, plakaty przedstawień i wieczorów kulturalnych – projektowane własnoręcznie przez Romka. By zacytować: 18 lutego 2005 roku miał miejsce *Wieczór z kulturą w sosie własnym – słodko kwaśnym*, na który złożył się spektakl teatralny *Sesja nadzwyczajna – czyli odprawa posłów nieczynnych. Przepraszam, greckich?*, a także teledysk zespołu *Dziolo* i recital bluesowy Adama Kulisza. Takich śladów jest więcej. Plakat z projekcji *Bugimena* 30 maja 2003 roku, z *Romea i Julii*, *Opowieści wigilijnej*... I wspomnianych, moich – *Lasoka* i *Świniobicia* Jest książka o *Kobiórnierii*. A nawet jubileuszowa ekotorba (na zakupy) z wizerunkiem świni – boć w 2017 wystawiano owe *Świniobici*, i napisem jubileuszowym *Kobiórski Teatr Kulturalny 2002–2017*. Dostrzegam Romka na liście do pszczyńskiej Rady Powiatu, na reprezentacyjnym plakacie Komitetu Wyborczego Wyborców SAMORZĄDNA ZIEMIA PSZCZYŃSKA. Oczywiście najbardziej oryginalny jest Romek, wszyscy pięknie wrychczeni w ancugach – on raczej na luzie i... w czapce. I podpis. Miejsce 5. Kłakus Romuald – technik dentystryczny, student kulturoznawstwa.

Dawno nie spotkałem Romka w takim zatrzęsieniu. On tu jest. Nie wiedziałem, że tyle ścieżek skupia, tyloma wędrował.

Król kobiórskiej cyganerii, niezapomniany **Muldek** – jak go zwaliśmy, my jego Przyjaciele – czyli **Romuald Kłakus**, aktor z Kobióra, odszedł 3 sierpnia 2020 roku, w wieku 62 lat. **Tęsknimy za Nim.....**

Tekst jest fragmentem powstającego wspomnienia o aktorze i reżyserze **Romualdzie Kłakusie**. Prezentowane zdjęcia udostępnił fotograf Piotr Kaczmarczyk z Kobióra, za co dziękuję, podobnie jak i Agnieszce Kijas – za pomoc.

fot. Piotr Kaczmarczyk





Instytut Myśli Polskiej
Wojciecha Korfantego

Granice państwa, granice Kościoła

MICHAŁ SIKORA

S tary francuskie porzekadło głosi: *qui a terre, a guerre* (kto ma ziemię, ma wojnę). Jego treść można odnieść do zasadniczego pytania – kto ma władzę, czy też – uściślając – kto jest jej reprezentantem i na czym bazuje jej usankcjonowanie.

Na styku państwa i kościoła ta kwestia będzie rozstrzygana z jednej strony w demokratycznej logice świeckiej praworządności, a z drugiej na uznaniu wyższości transcendentnego Absolutu, którego ziemską emanacją może być Kościół katolicki.

Zatem tworem państwowym i kościelnym rządzi ta sama wewnętrzna celowość normatywnego kierowania życiem społecznym.

W zaistniałym sporze o wybór – posilkując się terminologią hobbesowską – Suwerena, państwo byłoby ziemskim obszarem dominacji, a Kościół to władza ziemską z obietnicą zbawienia i wiecznego żywota. Czy miałyby to oznaczać zgodę na jego równorzędną pozycję wobec modelu świeckich rządów? Na to pytanie, rozpatrywane w optyce poświeceniowego modelu funkcjonowania społeczeństw przynależnych cywilizacji zachodniej, odpowiedź wydaje się z góry rozstrzygnięta.

Jednakże dla przedstawicieli myśli katolickiej odpowiedzi mogą być zgola inne, które stroniąc od zapędów integralistycznych i prozelityzmu, poszu-

kują ścieżek koncyliacyjnych, łączących sens świeckiej wspólnoty narodowej z tradycją Kościoła katolickiego w duchu *Vaticanium Secudnum* i etyki personalistycznej.

Jednym z takich poszukiwaczy porozumienia był Wojciech Korfanty.

Wojciechowi Korfantemu, jako gorliwemu katolikowi i chadəkowi, leżało na sercu dobro Polski, która szanuje dziedzictwo Kościoła katolickiego. Z niepokojem obserwował wzrastającą falę świeckości w życiu publicznym. Jej źródła upatrywał nie tylko w wierze w marksowską dialektykę historii, ale także w rozwoju obyczajowego i technicznego „nowinkarstwa”.

Aby dać odpór wobec sił, które – zdaniem Korfantego – pozbawiają człowieka busoli moralnej, podkopują poczucie patriotyzmu i wygaszają sentyment za instytucjami będącymi ostoją tradycji chrześcijańskiej, wydawca „Polonii” popełnia w 1927 r. artykuł: „Kościół a polityka”.

Przewodnym tematem zajmującym Korfantego we wspomnianym tekście jest sens utrzymania etyki w życiu publicznym nowoczesnego, praworządnego państwa. Ponieważ żywot nasz składa się – zgodnie ze słynnym podziałem Ervinga Goffmana – z ról publicznych oraz tych, które wykonujemy zakulisowo (prywatnie), potrzebujemy – konsta-

tuje Korfanty – stróża bacznie przyglądającego się społecznym poczynaniom, zabierającego głos, gdy życie społeczne i polityczne jest brukane złem. Takim strażnikiem naszej moralności jest Kościół katolicki, na którym ciąży obowiązek interesowania się również sprawami doczesnymi.

Wedle Korfantego instytucja Kościoła nie powinna zajmować się zadaniami, które są przypisane władzy cywilnej. Kiedy jednak działania polityczne zmierzają w aksjologicznie wątpliwym kierunku, obowiązkiem Kościoła jest wyrażenie się poprzez interwencje bądź glosy, by jego wierni nie uczestniczyli w nieprzyzwoitych rozgrywkach partyjnych lub działaniach, których niekoniecznie w pełni uświadomiony cel szkodzi państwu.

Korfanty przypomina, że rządzenie należy do władz świeckich. „Zasada o rozróżnieniu dwóch władz, świeckiej i duchowej, została postawiona – zauważa Korfanty – przez samego P. Jezusa, gdy żądał, że winno się oddawać cesarzowi co cesarskie, a Bogu co Boskie. Tej zasady kościół nigdy nie zapomniał i nigdy nie przekreślił. Zadaniem władzy politycznej jest zaprowadzenie i utrzymanie ładu i porządku wśród społeczeństw ludzkich, troska o ich dobro doczesne i zabiegi o wewnętrzną i zewnętrzną potęgę państwa”. Reszta spraw należy do duchowieństwa, przy czym Kościół nie może swej misji postrzegać jako wyręczania państwa. Stanowi to bowiem krótką drogę do instalowania teokracji. Stąd Korfanty nie zgadzał się na agresywny antyklerykalizm powołujący się na nadzbyt silny wpływ Kościoła w przeszłości. Kapłan katolicki zaś – przekonuje lider III Powstania Śląskiego – jak każdy obywatel może, a wręcz powinien mieć wyrobione przekonania polityczne i swobodnie korzystać z przysługujących mu praw obywatelskich. Współczesny Kościół nie jest, w optyce Korfantego, już tak potężną instytucją, jak niegdyś, a jego silna pozycja wiązała się nie z niską pobudką panowania, tylko z chęcią wspierania innych. Korfanty za przykłady takiej pozycji Kościoła wymienia upadek państwa rzymskiego, wskazując Kościół jako jedyną aurytety, który wówczas mógł zapanować nad ładem. Podobnie w czasach feudal-

fot. fotopolska.eu



Budowa Urzędu Wojewódzkiego w Katowicach

nych Kościoł czerpał z swych szerokich wpływów, by stawać w obronie uciśnionych chłopów. Dobroczynną posługą Kościoła była również dla Korfantego przestrzeń, którą ta instytucja czyniła w celu rozwoju kultury umysłowej. Dopiero współczesność – sądzi Korfanty – dopatrywała się w Kościele ciała obcego w państwowym organizmie, zagrożając jego niezależności.

Niemniej Kościół jest organizacją mającą w poszanowaniu prawa laickie i demokratyczne wybory, które doprowadzą, zauważa Korfanty, do wyłonienia się określonej formy rządu.

Swoje tezy Korfanty wzmacniał cytacjami z encyklik i listów papieży. Wpiew przywołuje enuncjacje Leona XIII, które można podsumować następująco: państwo i Kościół posiadają odrębne suwerenności i kompetencje, które pozostają nienaruszone pod warunkiem, że władza respektuje chrześcijański model życia, czyli taki, który zapewnia obywatelom wolność, równość i szacunek. Kościół nie może podważać zaufania do władzy, ani wysługiwać się partiami politycznymi, co zawsze prowadzi do zinstrumentalizowania religii. Wierni natomiast nie powinni stronić od życia publicznego i uczestniczenia w jego administracji.

Zdaniem Piusa X sporym niebezpieczeństwem dla Kościoła katolickiego jest wiązanie się z jakąkolwiek władzą.

Podobnie myśli Benedykt XV wołujący biskupów do przypomnienia wiernym, żeby w pokorze znosili rozstrzygnięcia na szczeblu kierowniczym władzy, ponieważ te posunięcia mają wpływ na życie obywateli.

Jakie korzyści dla obywateli wynikają ze współistnienia władzy świeckiej i kościelnej?

O ile władze państwowe są zmienne, to Kościół niezmiennie podlega pio-



Wojciech Korfanty wśród duchownych (lata 30. XX w.). Korfanty - czwarty od prawej w górnym rzędzie. Ze zbiorów Archiwum Archidiecezjalnego w Katowicach, sygn.: 54/4130

trowym zasadom. Jego ziemską posługą kwitnie jeśli – zastrzega Korfanty – nie poddaje się nastrojom chwili, nie uczestniczy w rewolucjach, trwa w swoich naukach i „(...) godzi się z nastrojami społecznymi i z urządzeniami, które sobie ludzie nadają, z żadnym z nich się nie wiążąc. (...) A więc Kościół Katolicki nie jest niczyją własnością! Nie jest kościołem ani panów, ani ludu, nie wiąże swych losów ani z królami, ani z cesarzami, nie jest ani za monarchią, ani za republiką, ani za cesarstwem. Kościół katolicki wiecznie złączony jest tylko z Chrystusem Panem i duszami ludzi, odkupionych św. Krwią Jego. Kościół służy wszystkim nieoświeconym, którzy szukają światła, wszystkim słabym i ułomnym, którzy uciekają się do niego o pomoc, i służy tylko sprawiedliwości, prawdziwemu braterstwu ludzi, porządkowi społecznemu i pokojowi na ziemi?”

Paradoksalnie Kościół katolicki, co podkreśla Wojciech Korfanty, choć niezmiennie apolityczny i zorientowany ku przyszłości, powinien z polityką swojej epoki korespondować albo, mówiąc wprost, politykę uprawiać.

Winno się tak dziać jeśli dochodzi do odstępstw od kościelnej wykładni etyki, co właściwie sprzeniewierza się literze boskiego prawa, w której wszelka władza czerpie swe źródło. Teologia polityczna, którą Korfanty nakreśla, jest zatem nieprzerwanym poczuciem obowiązku, jaki Kościół bierze na siebie w surowym rozliczaniu władzy świeckiej z jej postępowania, przyznając sobie prawo do zdecydowanego wyrażania opinii w przypadku, gdy czuje się przez władzę świecką marginalizowany, atakowany, gdy swoboda Kościoła jest krępowana, bądź gdy ziemską władza ustanawia prawo godzące w prawo boskie. Polityka kościelna jest ciągle reaktywna – odpowiada na zaczepki, zaniechania lub – w jej przeświadczeniu – rażące błędy, których ofiarą będą wierni. Jakież mogą być to błędy?

Korfanty wskazuje na uchwalanie prawa szkodzącego tradycyjnie funkcjonującej rodzinie, odmawiającego duchowieństwu wychowywania i edukacji dzieci i młodzieży oraz podającym w wątpliwość boskie pochodzenie i posłannictwo Kościoła. Istnieje jeszcze jedna powinność Kościoła, którą Korfanty wspomina pod koniec swej rozprawy, a która jest nie mniej ważna. Chodzi o czujność moralną jaką Kościół od zarania ma wzbudzać wśród rządzących. Dlatego: „(...) od przestrzegania zasad moralności chrześcijańskiej w życiu publicznym zależy przyszłość narodów”. A nieco dalej kwituje Korfanty: „Rządom tylko o tyle przyznaje się rację bytu, o ile oddają usługi dobru powszechnemu”.

fot. fotopolska.eu



Budowa Archikatedry w Katowicach

Społeczeństwo Lwowa wobec powstań i plebiscytu na Górnym Śląsku (czerwiec 1919 – czerwiec 1921)

ANTONI WILGUSIEWICZ

Bieżący rok, w którym przypadają setne rocznice tak ważnych nie tylko dla Śląska wydarzeń, jak plebiscyt górnośląski i III powstanie śląskie, jest okazją do pokazania – czy też przypomnienia – różnych problemów z nimi związanych, z których część budzi kontrowersje, nie tylko o charakterze strictly historycznym.

W okresie międzywojennym głośny był spór o charakter III powstania między Wojciechem Korfantym i Michałem Grażyńskim reprezentującymi dwa zwalczające się obozy polityczne. Powstała wówczas znana broszura autorstwa Korfanteo *Marzenia i zdarzenia*, stanowiąca odpowiedź na oficjalną, sanacyjną interpretację III powstania, lansowaną przez Grażyńskiego i przewodzącego Związek Powstańców Śląskich.

Innego typu spory o charakter powstań toczą się dziś, a dotyczą one tak skrajnych ich interpretacji, jak z jednej strony – obca ingerencja w wewnętrzne sprawy państwa niemieckiego, a z drugiej – chęć na wskroś polskiego ludu śląskiego wydobycia się z wielowiekowej niewoli.

Jednym z najważniejszych punktów tego sporu jest rola państwa i społeczeństwa polskiego w organizacji i przebiegu powstań, a zwłaszcza naczaj-

wiejszego z nich, trzeciego. W tym miejscu chcę omówić stosunek społeczeństwa Lwowa do spraw górnośląskich w okresie powstań i plebiscytu, rozpoczynając od decyzji wersalskich w tej sprawie w połowie 1919 roku do zakończenia III powstania, a więc mniej więcej do połowy 1921 roku.

W tym celu sięgnąłem do najobszerniejszego dzieła dokumentującego codzienne życie miasta i sprawy jego mieszkańców w latach II RP, a mianowicie pracy Agnieszki Biedrzyckiej pt.: *Kalendarium Lwowa 1918-1939*, Kraków 2012. Takie ujęcie tematu jest oczywiście jednostronne, nie ukazuje działalności lwowian na miejscu zdarzeń czyli terenie plebiscytowym (jak choćby wizyta piłkarzy lwowskich na Śląsku czy później udział lwowian, zwłaszcza kadetów lwowskich, w walkach powstańczych), ale pozwala umiejscowić sprawy śląskie w nurcie życia ówczesnego Lwowa, bardzo obfitym w dramatyczne wydarzenia, jak choćby zagrożenie zdobyciem miasta przez bolszewików latem 1920 roku. Natomiast osoby szczegółowo zainteresowane tematem powinny sięgnąć do publikacji Barbary Maresz, pracownika naukowego Biblioteki Śląskiej, pod tytułem *Lwowskie echa powstań śląskich i plebiscytu*, w: „Książnica Śląska”, t. 31, 2020. Autorka w oparciu o szczegółową kwerendę prasy lwowskiej przedstawia wszystkie wydarzenia związane ze „sprawą śląską” we Lwowie, a wlicza ich 132 – od 22 kwietnia 1919 do 7 sierpnia 1921.

Reakcją na postanowienia wersalskie w sprawie zarządzenia plebiscytu na Górnym Śląsku i wywołanym nimi I Powstanie była Rezolucja Rady Miejskiej Lwowa, w której domagano się od władz państwowych natychmiastowego udzielenia pomocy powstańcom, jednocześnie wyrażając nadzieję, że traktat wersalski zostanie zmieniony, a Śląsk Opolski przyznany Polsce bez plebiscytu (21 sierpnia 1919 r.). W ślad za rezolucją w dniu 25 sierpnia na dziedzińcu ratusza odbył się wiec obywatelski, na którym powtórzono powyższe żądania. Wyrazem poparcia dla walki Górnoszlązaków była też przeprowadzona w dniu 29 sierpnia zbiórka uliczna oraz przekazanie przez Radę Miejską w dniu 4 września na pomoc dla Górnego Śląska sumy 50 tysięcy koron. Podsumowania prac polskiej delegacji na konferencji wersalskiej dokonał w odczycie publicznym przedstawionym

lwowianom w dniu 30 października jej aktywny uczestnik, wybitny lwowski geograf Eugeniusz Romer. Był on autorem między innymi *Pamiętnika paryskiego (1918-1919)*, w którym szczegółowo zrelacjonował polskie wysiłki dyplomatyczne na rzecz jak najkorzystniejszego ukształtowania granic Odrodzonej Polski.

W następnym, 1920 roku, w dniu 1 lutego odprawiono w katedrze lwowskiej nabożeństwo dziękczynne z okazji rewindykacji Kresów Zachodnich, a działający we Lwowie Komitet Obrony Kresów Zachodnich wystawił w sali Kasyna i Koła Literacko-Artystycznego szopkę noworoczną pomyślaną jako „środek agitacyjny” na potrzeby plebiscytu na Górnym Śląsku. W ramach popularyzacji sprawy Kresów Zachodnich w tejże sali wygłoszono wykłady, z których pierwszy dotyczył „Śląska i Warmii w przeszłości”. Zagadnienie to przedstawił 4 maja wybitny historyk średniowiecza, prezes Polskiego Towarzystwa Historycznego, profesor Stanisław Zakrzewski. 30 maja z kolei otwarto w Kasynie wystawę kartograficzną, przygotowaną przez Eugeniusza Romera, ilustrującą walkę o granice państwa polskiego, a więc i o Śląsk.

Cały czas aktywny był Komitet Obrony Kresów Zachodnich; 24 maja zorganizował w sali Sokoła-Macierzy wiec górnośląski, któremu towarzyszyła zbiórka uliczna. Aktywni na tym polu byli też akademicy lwowscy; 27 maja uchwalili oni rezolucję wzywającą młodzież do wzięcia udziału w akcji plebiscytowej. Nie były to apele głośne, o czym świadczy liczny udział studentów zarówno Uniwersytetu, jak i Politechniki w akcji plebiscytowej, a potem III powstaniu; wystarczy wymienić takie nazwiska, jak Roman Lutman czy Olga Zarzycka, a także poległy pod Górą św. Anny student Politechniki Stanisław Oleksin, kawaler Orderu Virtuti Militari. Kalendarium odnotowuje, że już 21 czerwca na obszar plebiscytowy wyruszyła grupa 50 studentów Politechniki pod komendą Jana Nawrockiego.

We Lwowie 13 czerwca zmarł Jan Niemiec, pochodzący ze Śląska Cieszyńskiego wybitny pedagog, prowadzący we Lwowie własną szkołę. Wielki patriota Lwowa, ale też Śląska; jak podaje Stanisław Nicieja, jego ostatnią wolą było przekazanie przez uczestników ceremonii pogrzebowej kwot przeznaczonych na wieńce i kwiaty na cele polskiej akcji plebiscytowej na Górnym Śląsku.

Społeczeństwo Lwowa cały czas reagowało na wydarzenia związane z Kresami Zachodnimi; 29 czerwca odbył się wiec przeciwko nadużyciom władz nie-





Olga Zarzycka-Ręgorowicz, w komisariacie plebiscytowym w Bytomiu zatrudniona w wydziale prasowym, redaktorka „Powstańca”, agitatorka, autorka odezw, artykułów, felietonów i wierszy propagandowych

mieckich na tych terenach (chodziło tu także o Warmię i Mazury). Sprawy te na pewien czas musiały jednak zejść na drugi plan wobec nadchodzącego zagrożenia bolszewickiego, które pochłonęło całą uwagę i aktywność zarówno władz, jak i społeczeństwa miasta; nawet wtedy jednak znaleziono czas na mecze piłkarskie Lwów- Górny Śląsk, rozegrane 17 i 18 lipca (wygrana Lwówian 4:1 i 5:1). Mecze te można traktować jako rewanż za wizytę piłkarzy lwowskich w czerwcu na Górnym Śląsku: był to wyjazd piłkarzy lwowskich klubów Pogoń i Czarni pod kierownictwem znanego działacza sportowego, Rudolfa Wacka. Szczegółowy opis tej wizyty i jej efektów propagandowych, wysoko ocenionych przez Polski Komisariat Plebiscytowy na czele z Wojciechem Korfantym, jest zawarty w książce Rudolfa Wacka *Wspomnienia sportowe*, napisanej przez niego już po wojnie, w Bytomiu, i wydanej przez Wydawnictwo Świętego Krzyża w Opolu w 1947 roku (niestety, od tej pory nie wznawianej, a wielka szkoda!).

Jesień 1920 roku przyniosła pewne uspokojenie sytuacji zarówno na froncie polsko-bolszewickim poprzez udaną obronę Lwowa i wygraną Bitwę Warszawską, jak i na Śląsku, po II powstaniu, które przyniosło między innymi powołanie mieszanej polsko-niemieckiej policji plebiscytowej. Już jednak początek 1921 roku oznaczał – wobec zbliżającego się plebiscytu – ponowne zwiększenie aktywności także społeczeństwa lwowskiego, zainteresowanego pomyslnym dla Polski jego wynikiem. Miał wówczas miejsce Tydzień Górnośląski, podczas którego we wszystkich kościołach Lwowa odprawiono nabożeństwa błagalne w intencji pomyslnego wyniku plebiscytu. W ratunku z kolei władze miasta zwołały wiec górnośląski pod tym samym hasłem, a 16 stycznia miała miejsce kolejna zbiórka uliczna na pomoc akcji plebiscytowej.

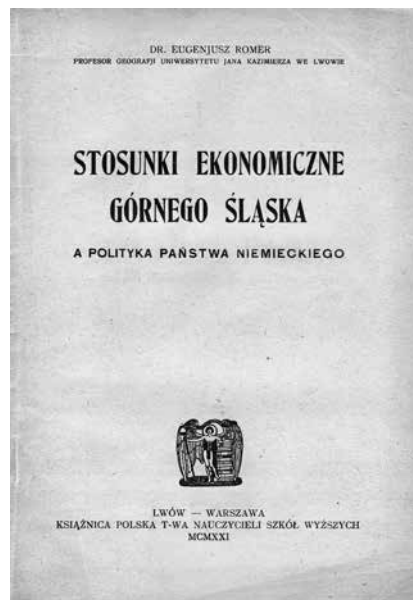
Prowadzono akcję informacyjną na temat Górnego Śląska; 3 lutego gen. Franciszek Latinik wygłosił odczyt dla oficerów, a 6 lutego Eugeniusz

Romer omówił temat *Ruina Górnego Śląska pod rządami pruskimi*. Dbano wciąż o finansowe wsparcie dla Śląska; Komitet Obrony Kresów Zachodnich zorganizował loterię plebiscytową, a na szczególne podkreślenie zasługuje inicjatywa lwowskich kelnerów, którzy całodzienny zarobek z dnia 21 lutego postanowili przeznaczyć na wsparcie polskiej akcji plebiscytowej. Zgromadzenia obywatelskie w sprawie Górnego Śląska odbywały się zarówno w przestrzeni otwartej, np. na Placu Mariackim, a więc pod pomnikiem Adama Mickiewicza, jak też zamkniętej, łącznie z reprezentacyjnym Teatrem Wielkim, a nawet w szkołach z polskim językiem wykładowym. Goszczono także grupę Ślązaków z Małopolski Wschodniej, którzy udawali się na teren plebiscytowy celem wzięcia udziału w głosowaniu.

Dni 20 i 21 marca, jak donosiła prasa, upłynęły w gorączkowym oczekiwaniu na wynik plebiscytu. W wyniku pierwszych wiadomości, pomyslnych dla strony polskiej, mieszkańcy tłumnie wylegli na ulice, by manifestować swą radość. Ulicami Lwowa przeciągały oddziały wojskowe na czele z orkiestrą, a wszyscy udawali się pod pomnik Mickiewicza. Obchody te łączyły się z dwoma innymi ważnymi dla Polski wydarzeniami – uchwaleniem konstytucji, zwanej marcową i zawarciem pokoju z Rosją (tzw. pokój ryski). Wydarzenia te uczciła Rada Miejska na uroczystym posiedzeniu (23 marca) oraz Kościół, podczas nabożeństwa dziękczynnego w Katedrze (27 marca).

Po początkowej euforii zaczęło się oczekiwanie na decyzje w sprawie terenu plebiscytowego. Mimo sumarycznej przegranej strony polskiej żądano uwzględnienia głosów tej znacznej części Ślązaków, którzy opowiedzieli się za Polską; 4 kwietnia zgromadzenie odbyło się pod pomnikiem Mickiewicza, po czym zebrani przeszli przez całe ścisłe centrum miasta na Plac Bernardyński. Dalsze wydarzenia odbywały się już w związku z wybuchem III powstania. Głos zabierała zarówno Rada Miejska, jak też różne grupy społeczne, tradycyjnie studenci i uczniowie szkół średnich, ale też na przykład kolejarze (8 maja – w tym też dniu z Korpusu Kadetów uciekła grupa 47 uczniów celem wzięcia udziału w powstaniu). Nadal też gromadzono środki pieniężne na pomoc, tym razem już dla walczących na Śląsku powstańców. 11 i 12 czerwca władze zarówno miejskie, jak też akademickie, w sposób bardzo zdecydowany zabrały publicznie głos w sprawie Górnego Śląska, żądając od władz państwowych zarówno pomocy politycznej – nie wykluczając wojskowej, jak też finansowej. Wyprawiono także na teren walk 30-osobową czołwarkę sanitarną w celu niesienia pomocy rannym powstańcom. Kończące się powstanie wsparli także przedstawiciele arystokracji i to w bardzo oryginalny sposób. Otóż w wyniku strajku kelnerów w hotelu George ich rolę na dzień 19 czerwca przejęli arystokraci, którzy do kwoty uzyskanej z napiwków dołożyli drugie tyle i całą sumę przekazali „komitetowi górnośląskiemu”.

Jakie miejsce zajmowały sprawy Górnego Śląska w życiu Lwowa lat 1919-1921? Biorąc pod uwagę, że był to zarówno dla Lwowa, jak i dla całej Polski, czas bardzo trudny pod każdym względem – na pewno ważne. Zarówno władze miejskie, akademickie, kościelne, jak i przedstawiciele społeczeństwa – nie tylko studenci, którzy zaangażowali się najbardziej, dali świadectwo swoje



go patriotyzmu, w którym sprawa polskiego Śląska zajmowała ważne miejsce. Poparcie dla walki polskich Ślązaków miało wymiar nie tylko werbalny, ale i ofiary krwi, której symbolem jest dziś potomek słynnego rodu Chodkiewiczów, 17-letni kadet lwowski poległy pod Górą św. Anny. Warto też zwrócić uwagę na pomoc materialną, udzielaną mimo powszechnej powojennej biedy podczas zbiórek ulicznych przez mieszkańców Lwowa. Z czego wynikała taka postawa? Niewątpliwie dużą rolę odegrało tu osobiste doświadczenie z listopada 1918 roku, kiedy to mieszkańcy Lwowa – w dużej części kobiety i dzieci – stanęli do walki o przynależność swego miasta i regionu do wskrzeszonego Państwa Polskiego. Narodziła się wówczas solidarność Kresów Wschodnich i Zachodnich, trwająca przez cały okres międzywojenny. Wyrażała się ona między innymi w licznych wzajemnych wizytach, zwłaszcza z okazji świąt państwowych czy rocznic historycznych. Tak np. w dniu 11 listopada 1934 roku słynna już wówczas Wesoła Lwowska Fala nadała okolicznościowy dialog Szczepka i Tońka na temat Śląska i wzajemnych związków lwowsko-śląskich. Wykonano także utwór Trojak śląsko-lwowski autorstwa Wiktora Budzyńskiego, który może być puentą tego artykułu.

Trojak śląsko-lwowski

Chłopak.

Hej, śląska dziewczyno – usłysz nas, usłysz nas,
I szybko, a ino – zatańcz raz, zatańcz raz –
śląskiego trojaka – daj buziaka w tańcu mi;
Pokochoz lwowiaka za trzy dni, za trzy dni!

Dziewczyna.

Hej śląski chłopaku – usłysz nas, usłysz nas!
Hej, śląski junaku – zatańcz raz, zatańcz raz!
Prosi cię lwowianka – dam buziaka w tańcu ci,
Pokochoz Ślązaka za trzy dni, za trzy dni.

Chłopak.

Lwowska ziemia z ziemią Śląską,
Łączą dzisiaj synów swych.
Chociaż nicią taką wąską,
nie masz dla nich dróg dziś złych.
Wolnej Polski wielkie święto –
opromieni bratnią myśl:
Lwowska ziemia – ziemi śląskiej
swoje serce składa dziś.

Płyta, którą trzeba mieć

PIOTR GRELLA-MOŻEJKO

Zjawisko nieprzyjemnie określane słowem „głupota” ma najczęściej źródło w niewiedzy i mnożących się bez liku mrzonkach. Na przykład osoby, które zlorzeczą na artystów liczących w potrzebie na pomoc państwowej administracji (dotyczy to również kulturalno-artystycznych mediów), zapominają, iż finansowanie sztuki przez prywatnych darczyńców czy oficjalne instytucje ma bardzo długą i pouczającą tradycję.

Artysta dlatego zostaje artystą, że ma do tego skłonności, upodobania, predyspozycje, talent. Robienie z takiego człowieka ekonomisty, kelnera albo listonosza ma tyleż sensu, co zmuszanie szewca do komponowania symfonii lub prawnika do malowania pejzaży. Ostatnio słyszałem co prawda o uzdolnionym fotografiku, który jest także, jak to barwnie określono, „bandziorem” (jakże interesujące połączenie!), wszak nie wątpię, iż choć są takie dziwne przypadki, one tylko potwierdzają regułę. Gdybym ja naraz został hydraulikiem straciłbym pracę (i głowę) przed końcem pierwszego dnia w firmie.

Zresztą wśród samych artystów, w ich ogniskach domowych, mogą mieć miejsce podobne nieporozumienia, nawet tragedie powodowane różnicami zdań między rodzicami a ich latoroślą. Chyba wszyscy z nas, którzy znają niezwykle *Benvenuto Celliniego żywot własny spisany przez niego samego* (a czyta się tę rzecz jednym tchem!) śmiali się do łez czytając fragment, w którym Benvenuto pomstuje na ojca, opętanego obsesjami wyuczenia syna na muzyka i zmuszania go do gry na flecie. W rezultacie Benvenuto znenawidził muzykę, zwłaszcza ten Bogu ducha winny flet.

Artyści, jak wszyscy inni, mają prawo do pracy w zawodzie wybranym i wyuczonym. Bez zamówień oraz innych form wsparcia materialnego ludzie tacy jak Leonardo, Michał Anioł, Mozart, Beethoven zmarliby z głodu; zapewniam Państwa, że i nasz Chopin nie musiał dorabiać rozdawnictwem ulotek zachęcających do odwiedzania pewnych zakładów usługowych.

Sztuka stanowi o bogactwie narodów zaś kultura definiuje narodową tożsamość oraz samoświadomość obywateli. Nawet w ubogich krajach Afryki i Azji widzi-

my przykłady troskliwego pielęgnowania przez rządy rodzimych kultur i tych, którzy je współtworzą. Jak powiedział niegdyś Marszałek i są to słowa żywe po wieczność: „Naród, który traci pamięć przestaje być Narodem – staje się jedynie zbiorom ludźmi, czasowo zajmujących dane terytorium”. Tę pamięć zapewniają kultura i sztuka. Od początków cywilizacji z pozytywnej (tudzież propagandowej!) roli sztuki zdawali sobie sprawę władcy, arystokracja, elity kapłańskie, następnie majątni kupcy i mieszczenie. Słynny portret Arnolfinich autorstwa Jana van Eycka powstał bez wątplenia na zamówienie tegoż kupieckiego małżeństwa. Przeszłość daje nam tysiące jednakowych i jednoznacznych przykładów. W kulturze Zachodu największy wkład w rozwój sztuki za pośrednictwem wsparcia artystów odgrywał kościół rzymskokatolicki, potem kościoły i środowiska protestanckie (nie zapomnijmy, że autorem najwspanialszej katolickiej muzycznej mszy, nb. przedłożonej królowi Polski, był luteranin). Nie wolno o tym zapominać dzisiaj, w krytycznym momencie podważania tradycyjnych wartości – i gwałtownej na to reakcji. Dzięki zamówieniom instytucji sakralnych mógł na przykład żyć godziwie – po prostu godziwie – sekowany przez komunistów śp. Henryk Mikołaj Górecki jeszcze przed zdobyciem światowej sławy.

Wspieranie artystów jest jak najbardziej uzasadnione, ba, jest *conditio sine qua non* utrzymywania w zdrowiu każdego społeczeństwa; to ledwie jedna, acz najważniejsza, forma zapewniania kulturze ciągłości rozwoju, uszlachetnienia duszy narodu i wzmacniania gospodarki, jako że zyski ze sprzedaży wytworów sztuki oraz dóbr kultury sięgają często niebotycznych kwot. Zyskują na tym państwo i jego mieszkańcy.

Napisałem to wszystko, bowiem właśnie zapoznałem się z płytą kompaktową, którą jak myślę trzeba koniecznie mieć. To dwupłytowy album *Cantus Fidei. In organis traditus* zawierający muzykę kompozytorów prawie zapomnianych, braci Karola i Adama Hławiczków. Album „spełnił się” dzięki stypendium twórcemu Miasta Cieszyna przyznanemu znakomitej organistce Ewelinie Bachul, o której już na łamach „Śląska” pisałem. Jak mi wia-



fol. Tomasz Baran

domo, Ewelina poświęciła mnóstwo czasu przygotowując ten projekt od stron naukowej, dydaktycznej i praktycznej. Wdług mnie to publikacja bezcenna, jako że artystka udostępniła nam za jednym zamachem muzykę dwóch indywidualności, która inaczej pozostałaby nieznaną, a której jakość i waga sprzeciwiają się zapomnieniu. Wypada więc tutaj podkreślić wkład i pogratulować regionalnej administracji Powiatu Cieszyńskiego, wydawcy albumu, za podjęcie miłego ryzyka utrwalenia w nagraniu twórczości kompozytorów, bez których dzieł byłibyśmy o tyle ubożsi.

Dobrze się słucha tej muzyki, przepełnionej duchem wiary i ufności Słowu, świetnie skomentowanej w tekstach Ryszarda Gabrysia i Juliana Gembalskiego. W przeciwieństwie do wielu znanych mi polskich płyt nieżle jest angielskie tłumaczenie Magdaleny Fierli.

Hławiczkowie reprezentują pobachowską tradycję luterzańską. Same tytuły i gatunki dają pogląd na wzniosły charakter kryjącej się za nimi narracji: fantazja chorałowa *Pan Bóg jest moją siłą*, preludium i fuga *Hejnał wszyscy zaśpiewajmy* (utwory Karola, 1894–1976), fantazja *Głóście radośnie*, czy preludium *Bronże Panie nas na wieki* (to kompozycje Adama, 1908–1995). W obu przypadkach dźwiękowość obraca się stylistycznie w kręgu Romantyzmu francuskich symfonicznych organowych z wyraźnymi echemi barokowej estetyki Lipskiego Kantora. To jest dobra, przystępna muzyka sakralna, której zaletą jest, iż nie udaje, że znaczy więcej niż w swojej istocie znaczy. Skromność kompozytorska pociąga mnie tutaj niezmiernie.

Sztuka interpretacyjna Eweliny Bachul nie wymaga komentarzy – to artystka najwyższej klasy. Liczę na jej kolejne zamierzenia, może tym razem ogniskujące się na przekroju współczesnej śląskiej twórczości organowej.

Park Militarno-Histeryczny „Reduta” otworzył się dla zwiedzających po raz pierwszy w czerwcu 2013 roku. Nie tylko najmłodszy mogą tu przeżyć prawdziwą przygodę, wejść do czołgu, odbyć przejażdżkę wozem opancerzonym lub zajrzeć do kabiny samolotu oraz posłuchać ryku zabytkowych silników. Na początku atrakcją ekspozycji był autentyczny czołg średni T-34/85 „Ordon”, który wrócił jednak do Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, skąd był wypożyczony. Teraz zobaczymy tu m. in. czołg pływający PT-76, czołg T-55, transportery TOPAS i SKOT oraz samolot myśliwski MiG 21, a wkrótce także raketowy zestaw obrony przeciwlotniczej. Od lutego na przekór pandemii – ale w reżimie sanitarnym – znowu możemy to miejsce bezpiecznie odwiedzać.

Park przedmiotów ocalonych

Park Militarno-Histeryczny „Reduta” przy Muzeum Miejskim „Szttygarka” w Dąbrowie Górniczej powstał i rozwija się dzięki pasjonatom militariów, muzealnikom, pracownikom wielu firm dąbrowskich, a także wolontariuszom. Jest to plenerowa ekspozycja mająca na celu ukazywać historię techniki militarnej, poprzez prezentację zabytków związanych z wojskowością – przede wszystkim pojazdów bojowych z różnych epok, ale także armat, wyrzutni rakietowych czy nawet lekkich schronów bojowych z okresu II wojny światowej. Pierwszym eksponatem, jaki pojawił się na ekspozycji był radziecki czołg z lat II wojny światowej – radziecki T-34, jedna z tych maszyn, o których mówi się, że wygrały wojnę. To właśnie identyczny wóz „odgrywał” rolę popularnego „Rudego” w serialu „Cztery pancerni i pies”. Dąbrowski eksponat pochodził ze zbiorów Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, ale to właśnie w naszym regionie udało się przywrócić go do dawnej okazałości. Został wyremontowany w dąbrowskim przed-



fol. arch.

Reduta znów otwarta!

Zaczęło się od legendarnego czołgu T-34

AGNIESZKA ZIELIŃSKA

siębiorstwie „Damel” i przywrócony do stanu jezdznego – co oznacza, iż jako w pełni sprawny wóz mógł poruszać się o własnych siłach. Dzięki temu szybko stał się atrakcją pikników militarnych w całym regionie, a konkurs na nadanie mu imienia cieszył się wielkim zainteresowaniem i to zwłaszcza wśród młodych ludzi. Po rozstrzygnięciu konkursu czołg otrzymał nazwę indywidualną „Ordon” na cześć Hen-

ryka Jana Milтона ps. „Ordon”, dowódcy oddziału AK, który zginął zamordowany wraz z partyzantami w 1943 roku, w Strzemieszycach w czasie niemieckiej akcji pacyfikacyjnej. Należy też dodać, iż sama nazwa militarnego parku nawiązuje do wiersza „Reduta Ordona” Adama Mickiewicza.

Niestety, po sześćdziesięciu latach gościnie na zagłębiowskiej ziemi, czołg w 2019 roku wraca do muzeum w Warszawie. Na dąbrowskiej ekspozycji towarzyszyły mu dwa działa ZIS-2 i ZIS-3, także z Muzeum Wojska Polskiego, które też zostały zwrócone. Jednak w praktyce w tamtym momencie tworzenie dąbrowskiej kolekcji pancernej było już na zaawansowanym etapie. Kolejnymi nabytkami muzeum „Szttygarka” są trzy bunkry niemieckie z linii obronnej B2-Stellung, która miała za zadanie bronić Zagłębia Dąbrowskiego od wschodu przed Armią Czerwoną. Są to lekkie betonowe stanowiska strzeleckie dla dwóch żołnierzy, wciąż jeszcze spotykane na peryferyjnych obszarach Sosnowca czy Dąbrowy Górniczej, i bardzo często niszczone w związku z rozbudową infrastruktury miejskiej czy ciągów komunikacyjnych. Społecznicy i pracownicy muzeum uratowali je przed zniszczeniem i przewieźli do muzeum. Tutaj te lekkie schrony są eksponowane do dziś.

Wcześniej, w 2013 roku dzięki współpracy z zakładem „Cutiron” w Dąbrowie Górniczej do zbiorów dołączył czołg pływający PT-76, czołg T-55A oraz haubica 122 mm, transportery TOPAS i SKOT i sowiecki moździerz pułkowy kal. 120 mm. Był on masowo stosowany przez Armię Czerwoną w okresie II wojny światowej i choć jego konstrukcja sięgała roku 1938, jeszcze długo po wojnie uzbrojenie to znajdowało się na stanie jednostek Wojska Polskiego.

fol. arch.





Część tych eksponatów, dziś cieszących oko gości odwiedzających muzeum, o mały włos skończyłaby w piecu hutniczym. Taki los mógł spotkać samolot myśliwski MiG-21 i pożarniczą wersję transportera SKOT, która wcześniej była eksploatowana w jednostce OSP Tuczna. Gdyby tu nie trafiły, zostałyby przetopione jako złom dla potrzeb dawnej Huty Katowice. W parku militarnym odzyskały świetność, a muzealnicy dali im nowe życie.

Integralną częścią parku został też młot parowy z Huty „Bankowa”. Pochodzi z 1919 roku. Eksponat ten przypomina o przemysłowej historii regionu, rozwoju tutejszych kopalni i zakładów metalurgicznych. Jego historia spleta się z przeszłością militarną, ponieważ huta w okresie II wojny światowej produkowała wiele elementów ciężkiego uzbrojenia dla armii niemieckiej. Co ciekawe – pomimo upływu lat urządzenie to znajdowało się na wyposażeniu zakładu do lat 90. XX wieku. Gdyby nie trafiło do muzeum jego los także byłby przesądzony.

Tu wszystko ma swoją historię

Każde z eksponowanych w parku „Reduta” urządzeń ma własną przeszłość, choć ze względu na gabaryty najbardziej okazałe są MiG-21M i czołg T-55. Samolot o numerze seryjnym 96A1811 należał do zakupionej przez Polskę partii 36 egzemplarzy wersji M, które w Wojskach Lotniczych ze względu na zakupioną niewielką ilość, były eksploatowane wszystkie razem w jednej jednostce. Początkowo był nią 41 pułk lotnictwa myśliwskiego, następnie trafiły do 9 pułku lotnictwa myśliwskiego. Gdy w 1988 roku zapada decyzja o likwidacji 9. pułku – samoloty zostają przekazane do nowej bazy – tym razem był nią 2 pułk lotnictwa myśliwskiego z Goleniowa, jednak wraz z postępującą redukcją armii po 1989 roku także i ten oddział został jednak rozformowany. Starzejące się egzemplarze, w tym „1811” wycofano z eksploatacji, a pozostałe przekazano do jednostek w Mińsku Mazowieckim, Łasku i we Wrocławiu. Ostatni lot MiG-21M miał miejsce w sierpniu 1999 roku, potem sukcesywnie samoloty te były skreślane z ewidencji wojskowej i kasowane.

Kolejny interesujący zabytek ze styku techniki i wojskowości, eksponowany w Dąbrowie Górniczej, to czołg T-55A, czyli zmodernizowany model T-54. Jego głównym uzbrojeniem jest armata D-10T kal. 100 mm stabilizowana w dwóch płaszczyznach. Był produkowany w ZSRR, a także na licencji w Czechosłowacji i w Polsce, gdzie jego produkcja ma miejsce w latach 1968-81. Czołg T-55 jest jedną z najlepszych konstrukcji w swojej klasie. W latach 80. XX wieku wykorzystywały go siły zbrojne 38 państw. Z uzbrojenia polskiej armii zostaje wycofany dopiero w 2002 roku.

Czołg pływający PT-76 to kolejny eksponat Parku „Reduta”. Wóz ten został przyjęty na uzbrojenie Armii Radzieckiej 6 sierpnia 1951 roku. Wojsko Polskie używało go w Jednostkach Obrony Wybrzeża, a także w pododdziałach rozpoznawczych wojsk zmechanizowanych i pancernych. Pierwsze dostawy tego sprzętu trafiły do polskich oddziałów w 1957 roku, a do 1989 roku w służbie pozostawało jeszcze 30 sztuk, które kolejno były wycofywane z linii.

Na ekspozycji jest też haubica 122 mm wz. 1938 (M-30), która podobnie jak moździerz kal. 120 mm jest produkcji radzieckiej, modele tej broni były na tyle udane, że były na wyposażeniu armii na całym świecie do niedawna. Natomiast prezentowane w Dąbrowie transportery znajdowały się na wyposażeniu armii czechosłowackiej, a po rozpadzie komunistycznej Czechosłowacji i likwidacji Układu Warszawskiego one także jako niepotrzebna broń mogły skończyć na złomowisku.

Zadania na dziś

Opiekunem parku i zgromadzonych w nim atrakcji jest Maciej Żywicki. W ubiegłym roku, „Reduta”, mimo trudnych warunków pandemii, była gwiazdą śląskiej „Industriady”. Pojawiły się też kolejne eksponaty.

– W październiku 2020 r. trafiła do nas z Muzeum Lotnictwa Polskiego w Krakowie wyrzutnia rakiet klasy ziemia-powietrze S-75 „Dźwina”. System rakietowy stanowił wyposażenie wojsk Układu Warszawskiego – wyjaśnia Arkadiusz Rybak, dyrektor Muzeum Miejskiego „Szturgarka” w Dąbrowie Górniczej. – W warunkach bojowych był dość skutecznie używany przeciwko samolotom USA w wojnie wietnamskiej oraz przez państwa arabskie przeciwko samolotom Izraela. Zestaw jest w trakcie konserwacji. Zostanie też uzupełniony o kolejne elementy związane z obroną przeciwlotniczą. Z Krakowa wypożyczono też wojskowy pojazd ciężarowy. Mamy też dalsze plany rozwoju instytucji, bo cieszy się wielkim zainteresowaniem zwiedzających, zarówno najmłodszych, jak i dorosłych miłośników militariów.

Jak przyznaje dyrektor Arkadiusz Rybak, obecnie pracownicy muzeum przygotowują niespodziankę dla zwiedzających. W trakcie remontu jest kolejny pojazd pancerny, który muzealnicy chcą jesienią tego roku zaprezentować publiczności.

Na przełomie 2020 i 2021 roku park militarny był zamknięty dla zwiedzających z powodów technicznych. 4 lutego ponownie otwarto go dla zwiedzających. Wstęp jest darmowy. ■





fol. arch.



fol. arch.



Eleonora Jozsko, *Konie ze snów*

Napędzają mnie konie

z ELEONORĄ JOSZKO rozmawia ANDRZEJ JARCZEWSKI

Prezentujemy obrazy i rysunki osoby, która łączy w sobie odległe pasje i krajobrazy. Eleonora Joszko, gliwiczanka, jest dziś doktorem nauk humanistycznych (językoznawstwo), a od najmłodszych lat – miłośniczką koni. A ponieważ w hodowli najwyższe cenione są konie krwi angielskiej i arabskiej, również języki angielski i arabski łączą się w jej wykształceniu i pracy tłumaczki. Konie stanowią także główny motyw jej twórczości artystycznej – obrazów, rysunków i fotografii. Próbuje dowiedzieć się więcej.

Wybór filologii angielskiej jest dość popularny wśród maturzystek polskich, ale język arabski? Czyżby konie miały tu coś do powiedzenia?

Otóż nie. Intensywną naukę języka arabskiego oraz historii i kultury Bliskiego Wschodu obejmował nowatorski program naszych studiów w Instytucie Języka Angielskiego UŚ. Dopiero po doktoracie postanowiłam zbadać obecność jeździeckiej kultury materialnej w Biblii i Koranie, czego efektem był artykuł opublikowany przez Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy w Częstochowie.

Rozumiem, czyli język koni dopiero po habilitacji... Najpierw obrazy.

Język koni każdy jeździec musi poznać od początku. Odwiedziłam już wiele ośrodków hodowlanych i jeździeckich, a obecnie dzierżawię kłacz. W sztuce szczególnie lubię twórczość malarzy koni, takich jak rodzina Kossaków, Ludwik Maciąg, George Stubbs i wielu innych. Moi ulubieni fotografowie koni to m.in. Marian Gadzański, Wojciech Kwiatkowski i Edyta Trojańska-Koch. Zwłaszcza prace Wojciecha Kwiatkow-

skiego są bardzo oryginalne, gdyż przypominają obrazy.

Ale studiów artystycznych pani nie podjęła.

Nigdy nie pragnęłam takiej edukacji, choć bardzo ją szanuję. Tworzę za pomocą technik, które sama wybrałam (kredki, ołówki akwarelowe, farby plakatowe, pastele suche i olejne, kreda, ołówek, kolaj). Ostatnio pomalowałam nawet pudełko ze sklejki. Staram się jednak być własnym surowym krytykiem: szereg obrazów podarłam (wkrótce po namalowaniu lub później), a odrzuconych zdjęć nie potrafię zliczyć. Chętnie poznaję też opinie oglądających moje prace, gdyż ciekawi mnie, jaki ślad te wytwory mojej wyobraźni zostawiają w innych. Kilka sugestii przerodziło się już w nowe obrazy.

Pani twórczość na Facebooku: konie, konie i gdzie indziej... krowy.

Krów niewiele. A konie są zwykle przetworzone przez moje skojarzenia, wyobrażenia i refleksje, aż do surrealizmu i abstrakcji; niektórym towarzyszą ornamenty inspirowane kulturą orientu. Uważam, że z miłością do koni trzeba się urodzić, a potem to wyjdzie – prędzej czy później – nawet u mieszczaucha. To zachwyt stworzeniem dany nam z góry. Instruktor, u którego pobierałam kiedyś lekcje jazdy, pierwszy raz wsiadł na konia, mając ponad 30 lat – i przepadł od razu. U mnie zaczęło się wcześniej: na pewnym starym zdjęciu widać moją mamę i śp. babcię, która podtrzymuje swoją niespełna roczną wnuczkę nad siodłem srokatego kucyka na gliwickim Rynku. Kilka lat później ten sam kucyk znów był na Rynku, a ja z nim. Potem pojawiły się prośby o wycieczkę „do stadniny” i tak nastąpił początek regularnych weekendowych wypraw do znanego klubu jeździeckiego w Zbrosławicach.

Wróćmy do językoznawstwa. Angielski koń a sprawa polska...

Moja praca magisterska była angielsko-polskim leksykonem ras koni, zaś rozprawa doktorska dotyczyła terminologii jeździeckiej w językach angielskim i polskim. Od dziesięciu lat w miesięczniku *Konie i Rumaki* ukazuje się moja rubryka „Angielski dla miłośników koni”, czyli polsko-angielski słowniczek w odcinkach. Napisałam też szereg artykułów o tematyce jeździeckiej i przeprowadziłam wywiady, m.in. z Johnem Lopezem – amerykańskim rzeźbiarzem wycarowującym konie i inne zwierzęta ze... złomu. Kilka moich tekstów wydrukowały życzliwe łamy „Śląska”. Poza tym zawsze z radością tłumaczę teksty dotyczą-



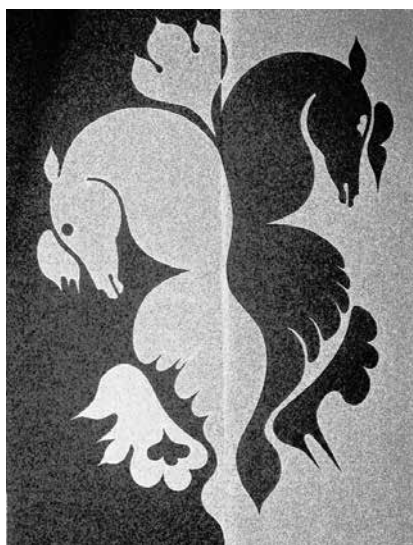
ce koni. Wszystko to składa się na moją osobistą misję popularyzacji koni i pracy na rzecz języka jeździeckiego.

Galeria internetowa musi wystarczyć w dobie pandemii, a co było wcześniej?

Mam za sobą trzy wystawy indywidualne w Gliwicach oraz udział w wystawie zbiorowej na I Przeglądzie *Nowa Awangarda* (Szyb Wilson, Katowice 2017). Moje obrazy były sprzedawane na aukcjach charytatywnych i jeździeckich, kilka ozdabia instytucje publiczne, a kilka zostało podarowanych, m.in. byłemu dyrektorowi Stadniny Koni Michałów, czy koniuszemu Stadniny Koni Janów Podlaski.

Nie tylko jeździectwem żyje tłumaczka i malarka...

Oczywiście. Współpracowałam z Gliwickim Stowarzyszeniem Muzycznym „Rytm” przy projektach graficznych i śpiewałam jako sopran w chrześcijańskim zespole w Gliwicach. Wspominam to wszystko dobrze, lecz to na razie przeszłość – być może także dlatego, że nie było tam koni. Od dwóch lat wytrwale (mimo pandemicznych przerw) uczę się pływać – przede wszystkim po to, by pokonać strach i zadbać o zdrowie. Jest jednak pewien dodatkowy powód: pływać trzeba umieć, żeby móc plawić... konie. ■





JAN MIODEK

Dzierż się, patrz tam jako!

Cieszynianin Zbigniew Machej swój piękny szkic o Jerzym Pilchu zakończył przed paroma miesiącami w „Gazecie Wyborczej” pożegnalną formułą: „Dzierż się, Jurek, szczęśliwej podróży”. Kiedy zaś widzę lub słyszę jakąś formę związaną z czasownikiem *dzierżyć*, „trzymać”, opatrzonym w każdym współczesnym słowniku kwalifikatorem dawności, książkowości, przypomina mi się list emerytowanej nauczycielki, lwowianki z Bytomia, wspominającej wzruszenie, jakie ją ogarnęło na pierwszej lekcji języka polskiego w jednej z wiosek na Opolszczyźnie, kiedy uczeń któregoś z najmłodszych klas, opisując pokazany mu obrazek, powiedział: „Pies dzierży w pysku kość”. „Jechałam tam tuż po wojnie pełna obaw językowych, a już na pierwszej lekcji usłyszałam...staropolszczyznę” – napisała moja Korespondentka.

W podobnych kategoriach historycznojęzykowych oraz uczuciowych odebrałem i ja owo „dzierż się, Jurek” z tekstu Zbigniewa Macheja, a wszyscy moi znajomi wiedzą, że z tychże językowych powodów, choć nie tylko, darzę od lat ziemię cieszyńską niezmienną i przeogromną sympatią.

Czasownik *dzierżyć* (czeski *držet*, rosyjski *držat*) to kontynuans prasłowiańskiej postaci *držati* – od praindoeuropejskiej *dheregh*, „trzymać, trzymać się mocno; mocny, trwały” (praindoeuropejski rdzeń *dhere* „trzymać”, na którym oparta jest litewska forma *dereti*, „być przydatnym, użytecznym” czy staroindyjska *dharayati*, „trzymać, nosi, zawiera” – Wiesław Boryś: *Słownik etymologiczny języka polskiego*, Kraków 2005, str. 142).

Jest on obficie reprezentowany w tekstach staropolskich: „Mamy dzierżeć wiarę chrześcijańską” (Kazania gnieźnieńskie z końca w. XIV), „Lud dzierżący miecze” (Biblia królowej Zofii z r. 1455), „Dzierż to, co masz” (Mikołaj Rej 1505–1569), „Tej to nauki się dzierżeli” (Kazanie na dzień Wszystkich świętych z poł. XV w.), „Będzie się dzierżał żony swojej” (Biblia Leopolda z r. 1561). Zwrot *dzierżeć*

mało o czymś z kolei oznaczał tyle, co „wątpić w coś” („Wiedziałem, że Rzymianie o tem dzierżają mało” – Proteus abo odmieniec z r. 1564), *dzierżeć o kimś* – „mniemać, sądzić, utrzymywać o kimś” („Ludzie mądrzy tak o tym dawno dzierżeli” – Erazma z Rotterdamu księgi, które zowią język, z łacińskiego na polski wyłożone, Kraków 1542, „Ci filozofowie, co wiele dzierżają o sobie” – Wit Korczowski XVI w.), *dzierżeć rej* – „wieść prym” („Rej między innymi dzierżeć” – Erazm Glicznier Oo. 1535-ok. 1600), a *dzierżeć za kogoś* – „uważać za coś” („Za takiego mian, chowan i dzirżan” – Skarg o oszczerstwo z poł. XV w.).

Do tej samej rodziny wyrazowej należały w dawnej polszczyźnie i takie formy, jak: *dzierżadło* „uchwyt, pętla, ucho” („I uczynił jest dzierżadło modrej barwy na kraju opony jednej” – Biblia królowej Zofii z r. 1455), *dzierżek* „posiadacz” („Wolę być zawsze dzierżkiem niż czekajem” – Wespazjan Kochowski 1633–170) czy *dzierżenie* „mienie, majątek, posiadłość” („I dał jest skot jich i dzierżenie jich ogniowi” – Psalterz floriański z XIV/XV w.), „wielkie mniemanie o sobie, zarozumiałość” („Wchodzą w dziwną dumę a w dzierżenie o sobie” – Łukasz Górnicki 1527–1603), a także *dzierżawa* w znaczeniu „panowanie” („Bogu sława i dzierżawa na wieki” – Szymon Budny ok. 1536-ok.1596, „Jezus się rozdził za dzierżawy Heroda” – Kancjonał gdański z r. 1628), „posiadanie” („Ku prawu i ku dzirżawie jimiienia jej” – z materiału Słownika staropolskiego do XV w.) oraz *dzierżawca* „posiadacz, władca” („Jan Wielepolski dzierżawca” – z materiału Słownika staropolskiego do XV w., „Podnoszę rękę moję na Boga, dzierżawcę nieba i ziemię” – Jakub Wujek 1541–1597).

Współczesne leksykony zawierają hasła: *dzierżak* – „regionalna nazwa dłuższego kija cepów trzymana w rękę przy młóceniu”, *dzierżawa* – „używanie lub użytkowanie rzeczy albo prawa majątkowego oparte na umowie, za określoną opłatą w pieniądzu lub naturze; dzierżawienie”, „czynsz, opłata dzierżaw-

na”, *dzierżawca, dzierżawczyni* – „osoba, która na podstawie umowy dzierżawy użytkuje jakąś rzecz lub prawo majątkowe”, *dzierżawić* – „oddawać coś w dzierżawę”, „wziąć coś w dzierżawę”, *dzierżawny* – „dotyczący dzierżawy, odnoszący się do dzierżawy”, *dzierżawczy* – w językoznawstwie „oznaczający posiadanie, przynależność (np. zaimki dzierżawcze *mój, twój*, nazwy miejscowe dzierżawcze typu *Janów, Wojciechów* o pierwotny znaczeniu „własność Jana, Wojciecha”), *dzierżymorda* – bohater sztuki Gogola, pot. „człowiek tyraniujący podwładnych, zachowujący się w stosunku do nich despotycznie”.

Podstawa *dzierżyć, dzierżeć* obecna jest również w nazwiskach typu *Dzierża, Dzierzo, Dzierżak, Dzierżan, Dzierżawa, Dzierżek, Dzierżel, Dzierżko, Dzierżoń, Dzierżych, Dzierżyk*.

Wracając zaś do obecnego w szkicu Zbigniewa Macheja *dzierż się*, trzeba powiedzieć, że jego standardowym, ogólnopolskim wariantem jest *trzymaj się (trzymajmy się, trzymajcie się)* – w morfologicznej wersji śląskiej przyjmujące postacie *trzym sie, trzymicie sie* (z charakterystycznym „i” po „rz”, informującym o pierwotnym miękkiem „rz”, kontynuancie prymarnego „r miękkiego”). Z kolei *trzym go, trzymicie go* na śląskich boiskach znaczy tyle, co „kryj, go, kryjcie go”.

Wyłącznie śląskim wariantem natomiast owego pożegnalnego rozkaznika jest charakterystyczne *patrz tam jako*, którego siła uczuciowa ujawniła się w całej pełni w ostatnich słowach przemowy Jana Sarny na pogrzebie Zbigniewa Religi: „Zajrz tu do Ciebie od czasu do czasu. Opowiem, co ze sztucznym sercem, jak grał Górnik... Jak biorą ryby – nie powiem, bo wiesz, że się na tym nie znam. Myślałem, jakich wielkich słów użyć, by pożegnać takiego giganta jak Ty. I wiesz co? Powiem Ci po naszymu, po śląsku: patrz tam jako, Zbyszek, patrz tam jako!” (Dariusz Kortko, Judyta Watoła: *Religia. Biografia najsłynniejszego polskiego kardiochirurga*, Warszawa 2014, str. 307). ■



MIĘDZY CISZĄ A HAŁASEM

MARIAN GRZEGORZ GERLICH

Erwin Sówka. Od lokalności ku uniwersalności?!

Twórczość tego artysty jest powszechnie kojarzona przede wszystkim z Jego malarskimi prezentacjami realnego i zarazem mitycznego mikroświata konkretnej górnośląskiej przestrzeni. Znamy także i inne poszukiwania tematyczne twórcy. Te intelektualne, geograficzne, duchowe, artystyczne, którym towarzyszyły fascynacje, ale i dylematy oraz rozterki. Każdorazowo te nowe zadziwienia następowały spokojnie lub wybuchały nagle niczym gejzer. Zawsze też te podróże „w nieznanie” były bogate, wieloznaczne, pełne intrygujących skojarzeń i kontekstów. Przywołajmy z tego zakresu poszukiwań te dawne obrazy – często mniej znane – jak „Matka nad Nilem z dzieciątkiem przy lwie” z 1982 roku, „Czerwonoskóra Madonna w dolinach Kosmosu” (około 1984 roku) i bardziej znane, jak „Gniazdo” z 1987 roku czy „Kryszna” z 1992 roku. Jednak zawsze następował powrót do prądźródła, do sielskiej i intrygującej śląskości. W jednej z naszych rozmów z lata 2009 roku, powiedział: *Różne sprawy – som już teraz nie wiem jak to powiedzieć, czy nazwać – co mnie zajmowały, to zawsze we mnie był ino Śląsk, tyń mój Nikisz (...). Był, znikoń, przychodził nazod i potem już przy mnie zostoł. Tak bydzie do końca.* Jakże więc znamienne jest to, że ostatni niedokończony obraz artysty ukazuje właśnie tę przestrzeń. A ze słynnego niegdys zakładu fryzjerskiego Lubowieckiego wychodzi młoda para. Ostatni ukłon dla ponad 60-letniego związku z ukochaną żoną? Na pewno. A zatem w perspektywie bogatego, „nieokiełzanego” – jak to określał prof. Aleksander Jackowski – dorobku Sówki koncentrujemy się tylko na nikiszowieckich inspiracjach. Czyli na owym śląskim, plebejsko-ludowym mikroświecie. Ustabilizowanym, ale też ustawicznie pulsującym życiem, bujną „antropologią codzienności”, wypełnioną znojną pracą górników, ale też miłością, dylematami i ko-

niecznością wyborów. To była banalna powszedniość. Artysta koncentrował się też na odświętności: świętach i ludyczności. O tym wszystkim zawsze mówił barwnie, zajmująco. To było też pretekstem do uogólnień: o życiu „na Nikiszu”, życiu zawartym między lokalnymi „miejscami znaczącymi” czyli wieżą zegarową, rynkiem, grubą, kościołem św. Anny. Tak oto ujawniało się intelektualne, filozoficzne, estetyczne i muzyczne – wszak artysta słyszał ciszę i gwar – Sówkowe *da capo al fine*. To zawierają obrazy Mistrza. Czyli tym samym jesteśmy zaproszeni do owej oryginalnej – nie tylko ze względu na zabudowę i swoisty *folkways* – przestrzeni górnośląskiej, konkretnej dzielnicy Katowic, wreszcie specyficznej osady górniczej. Właśnie ten skrawek ziemi był dla twórcy pretekstem, ale i osobistym zobowiązaniem do niezwykle artystycznej wypowiedzi, rezultatu konkretnego namysłu i artystycznej, niezwykle bogatej wyobraźni. Artysta zapełniał obrazy postaciami realnymi, górnikami, kobietami i dziećmi, po prostu „ludźmi stąd”. Nosicielei konkretnej tożsamości, specyficznego zadziwienia nad *orbis interior* i *orbis exterior*. Ukazując konkretną przestrzeń przywoływał też archetypy, symbole, lokalny kanon kulturowy. Posługiwał się cytatami z lokalnych wierzeń, legend, z ludowej ontologii, z lokalnego systemu aksjonormatywnego. Zakochany w usankcjonowanych tradycjach zachowaniach, odwoływał się do śląskich zwyczajów, obrzędów, obyczajów. Wreszcie była też inspiracja religijna, bogata sfera sacrum. To pozwalało często odwoływać się do patronki „górniczego stanu” św. Barbary, owej „dobrej mamulki”. Tym samym była to swoista dokumentacja lokalności, która jednak była też wezwaniem do jej przekroczenia i wejścia w sferę uniwersalną. Jednak to wszystko miało swój głęboki sens humanistyczny. Zawsze jest też obecne odwołanie do Dobra ustawicznie

narazonego na ataki Zła. Ale Dobro jest dominujące. To widzimy nie tylko z perspektywy lokalności. Najlepiej zatem odwołać się do intelektualnej propozycji; którą sformułował francuski antropolog Claude Levi-Strauss mówiąc o „spojrzeniu z oddali”. Nie tylko geograficznego, ale kulturowego, mentalnego, czy także estetycznego. To daje szansę na uniwersalne spojrzenie. Także na wizję Nikiszowca. Wtedy już nie zamykamy się w wąskich opłótkach lokalności, regionalności, ale korzystamy z innych doświadczeń. Sówka mówił *Moja wyobraźnia to jest to najlepsze co mam i przez to umia malować rzeczywistość*. I dodawał, że inni – czyli nie Ślązacy – mają szansę do swojego odbioru i przemyśleń. W tym momencie nasuwa mi się wspomnienie z prezentacji śląskiego malarstwa naiwnego w świątyni polskości poza naszymi granicami, czyli w Muzeum Polskim w Raperswille. Po moim wykładzie, gdzie nie zaliczałem Sówki do nurtu art. brut, niemiecki krytyk sztuki dowodził, że „Nikiszowiec może być wszędzie”, a Sówkę uznawał za wybitnego twórcę europejskiego formatu. I na zakończenie odwołałem się do innej wypowiedzi. Otóż premier Mateusz Morawiecki w dniu pogrzebu Sówki mówił we wspomnianym kościele św. Anny, że... *pan Erwin był wielkim mistrzem i pozostanie z nami jako wielki mistrz, ponieważ potrafił tworzyć sztukę prostą, a zarazem głęboką. Sztukę, która poruszała do głębi, szła w poprzek wielu trendom (...). Pan Erwin Sówka stworzył coś niebywale oryginalnego, a zarazem pięknego. Jesteśmy mu za to wdzięczni, a ta wdzięczność pozostanie w nas na przyszłe pokolenia.*

Był mistrzem i dobrym człowiekiem, prawdziwie dobrym, pełnym tolerancji i odwagi. Zakochany w pracy. I w swojej żonie Irmgardzie oraz w rodzinie. Jakby nie przystawało do współczesności. Ale pozostanie wzorem. Za to wszystko, Erwinie, dziękujemy. ■

Tadeusz Sobolewski, „DZIENNIK”

MARIAN SWORZEŃ

Rozpocznę encyklopedycznie... Tadeusz Sobolewski, rocznik 1947, absolwent polonistyki, redaktor „Filmu” i „Kina”, dziennikarz „Gazety Wyborczej”, krytyk filmowy. Autor książek wspomnieniowych: „Dziecko Peerelu”, „Malowanie na Targowej” i „Stare grzechy”, książki o filmach „Za duży blask” i rozmowy z Mają Komorowską „Pytania, które się nie kończą”. Jego felietony ukazały się w zbiorze „Kino swoimi słowami”. Wydał książkę biograficzną poświęconą Białoszewskiemu zatytułowaną „Człowiek Miron”. Razem z Grażyną Torbicką prowadził program telewizyjny „Kocham kino”. Do tej listy dodam od siebie – trzymając się poetyki tytułu – jeszcze dwa zdania. Mam książkę Virgilio Leviego „Z dalekiego kraju” – zamieszczono w niej fragmenty zapisków Sobolewskiego powstałych przy kręceniu filmu o Janie Pawle II. Z dedykacji Tadeusza wybieram słowa: „posyłam kawałek siebie sprzed lat”. No właśnie, „kawałek siebie”...

Książka Sobolewskiego to nie zapiski filmowca, to dziennik męczyzny, syna, męża, ojca, zięcia, brata, przyjaciela, kolegi. Także obywatela, warszawianina, widza, czytelnika, przechodnia, sąsiada, pasażera autobusu. Również turysty, przy okazji zagranicznych festiwali (Cannes, Wenecja), ale nie tylko (USA, Anglia, Szwecja), i wczasowicza podczas rodzinnych wyjazdów do Zawoji i Lubomierza. Jako zawodowy znawca filmu i dziennikarz, zaznajomiony z wieloma twórcami (Barański, Kieślowski, Kon-

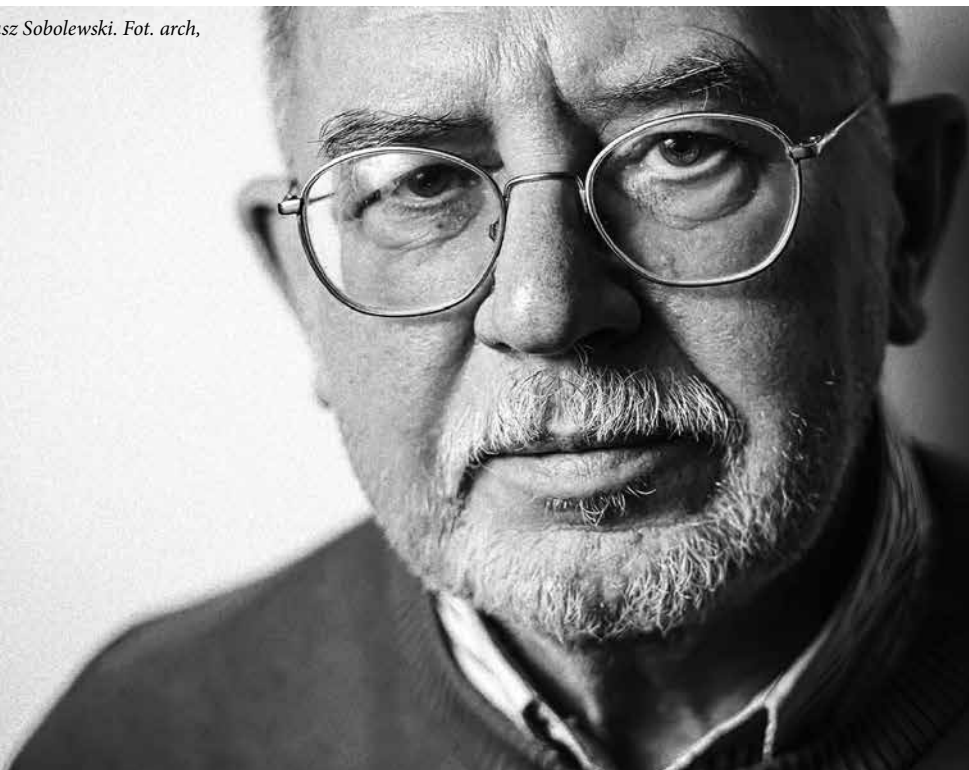
wicki, Kutz, Marczewski, Wajda, Zanussi) rozmawiał z nimi wielokrotnie, zachowując w dzienniku swoje spostrzeżenia, niezależnie od wywiadów słanych do druku. Pisał też – prócz reżyserów już wymienionych – o odbiorze filmów Felliniego, Bergmana, Rohmera, Tarkowskiego, Weira, Hasa, Titkowa, Łozińskiego, Zmarz-Koczanowicz, Krauzego.

Czasowa rozpiętość dziennika – od 30.4.1982 r. do 1.1.2000 r. – odnosi się wyłącznie do dat zapisków, ale ich materia nieustannie te granice przekracza, bowiem Sobolewski wielokrotnie powraca do spraw z okresu wcześniejszego (dzieciństwo, liceum, studia, pierwsza praca w Filmotece), a na koniec dodaje opis wyprawy do Indii ze stycznia 2005 r. Autor stwierdza we wstępie, że „dziennik pozwala odwrócić bieg czasu”, że „pisze się go z nadzieją na przyszłość, a potem okazuje się, że ta przyszłość już była”. Te słowa pozwalają uchwycić sens wszelkiego pisania „dla siebie” – jego cechą nie jest wcale skrytość, ale upływ czasu, odmierzany stawianiem kolejnych liter.

Kontynuując ogólny opis książki dodam, że nie ma w niej indeksu osobowego, co – jak mi wiadomo – stało się za zgodą autora. Nie jest to brak, ale zaleta, gdyż zachęca do lektury całości. Gdyby wymienić tematy, są one – jak w życiu – prawie wszystkie. Od pytania o Boga po rozmowy w kolejce. Z polityki: codzienność stanu wojennego, swoistość bytowania w PRL („PRL nie był

moją sprawą, tylko środowiskiem, w którym żyłem, naczyniem w którym rosnę”), przełom roku 1989, spory w obozie solidarnościowym, wybory prezydenta, ... *usque ad* koniec roku 1999. Z rodzinnych historii: przed – i powojenne skomplikowane losy rodziców Tadeusza i jego żony, Anny, początkowe lata wspólnego życia młodych Sobolewskich przypadające na dekadę Gierka, narodziny córek, ich dorastanie, domowe zwyczaje, problemy, przeprowadzki. Ze spraw ważnych: ojczyzniane spory („Ludzie w Polsce zabijają się słowami”), stosunek do Kościoła (zmienny, ale daleki od kruchty, „wojującej religijności” i „katołicyzmu obrażonego na wolność”), pytania o wolność w PRL i po jej upadku (w roku 1993 zapisał słowa przyjaciółki: „Bo tamta wolność była w nas, a państwo było nie nasze. A teraz jest nasze i nie ma wyjścia”), relacje z Żydami – w przeszłości i teraz. Ze spojrzenia na dziennikarskie obowiązki – mamy wszystko, od opisów zwykłego ślęczenia nad tekstem po wewnątrzredakcyjne historyjki od objęcia fotela szefa pisma do opuszczenia go z uczuciem ulgi („Redakcja «Kina» miała być moją chlubą, a jest męką”), obok deklaracji prywatnych („Słuchaj chcę nie społeczeństwu, ale czytelnikowi, który byłby podobny do mnie”) po generalne („Nie trzeba przyjmować obiegowej opinii publiczności, tylko odnaleźć w sobie widza”). Dla miłośników Białoszewskiego – wiele scen z Mironowego mieszkania, sło-

Tadeusz Sobolewski. Fot. arch.



wa przezeń wygłaszane, niezwykle związek między nim a matką Anny, będący kanwą do filmu „Parę osób, mały czas” w reżyserii Andrzeja Barańskiego. Są też liczne zapisy lektur, rozmów (przy stole, na spacerze, w windzie i przez telefon), także nastrojów i odczuć. Są wielkie zachwyty, bywają równie mocne potępienia. Są też zapisy kilku snów...

Mógłbym kontynuować listę dziennikowych tematów, ale od czego jest umiar... Osobom zainteresowanym polecam artykuł pióra Małgorzaty Dzewulskiej zatytułowany „Dzieje słabego ja” zamieszczony na stronie www internetowego pisma Dwutygodnik. Jest to obszerne, dokładne i psychologicznie pogłębione odczytanie dziennika Sobolewskiego. Dzewulska dostrzegła w jego strukturze „mocny epicki nurt opowieści”, zaś zestawiając dylematy autora z postawą Kiesłowskiego, którego twórczość Sobolewski znał, cenił i opisywał, wskazała na ich niemal braterstwo we „wstręcie do banału”. Na zakończenie stwierdziła: „Pisarz-krytyk, który zawodo rozlicza ludzi filmu z kontaktu z realem, prowadzi w „Dzienniku” dochodzenie, ryzykując własnym przykładem”. Przypuszczam, że autor nie był przeciwny takiemu odczytaniu.

Teraz już mogę przejść do rozbyśnięć wątków śląskich w książce Sobolewskiego. Jedną z przyczyn była przyjaźń Tadeusza ze starszym od niego o dwa lata Pawłem Targielem, filozofem i poetą, i jego żoną Anną, nawiązana jeszcze w Warszawie (oboje byli świadkami na jego ślubie) i niezmiennie kontynuowana po powrocie Targielów w roku 1977 do Mikołowa, rodzinnego miasta Pawła. Nie było roku, by Sobolewscy nie przybyli do nich na sylwestra – od roku 1982 również i mnie z żoną dane było uczestniczyć w tych spotkaniach. Ależ to były trwające do białego rana rozmowy, jakież zbawianie Polski i świata! Pięknie o tym napisał Tadeusz w mowie wysłanej z Indii, gdy w roku 2005 przyznano mu tytuł „Mikołowiana Roku”: „Mówi się dziś, że III Rzeczpospolita wyczerpała się, zmarnowała swoje szanse. A przecież Mikołów niczego nie zaprzepacił”. Częścią sylwestrowych przygotowań stało się również czekanie, aż Anna, żona Tadeusza, profesor Instytutu Badań Literackich, uśpi córeczkę – to o niej napisała książkę pt. „Cela”, wyjątkowe dzieło o wychowywaniu dziecka z zespołem Downa. Także pełne takty dopytywanie Tadeusza, czy już może skosztować makówek przyniesionych przez moją żonę. Z tamtych rozmów zrodziły się pomysły, na które przyszedł czas dopiero w wolnej Polsce: Instytut Mikołowski (którego Paweł został pierwszym dyrektorem), pismo „Arkadia” (w którym niemal zawsze były teksty obojga Sobolewskich), doroczne konferencje z cennymi uczestnikami z całej Polski. Tadeusz poznał Mikołów od podszewki, jego ulice i zakamarki, także wszystkich piszących związanych z miastem: Macieja Meleckiego, Krzysztofa Siwczyka, Annę Synoradzką,

Z DALEKIEGO KRAJU

Droгим
Терезі і Маріамоні,
посытам каваіаечек
сібе спред 1ат,
з паддубрачаніем іа Кспіаіте
спадвонегу Сылвэдра
Тадэу

T, 95
Wawna

Bartosza Wrone, a z filmowców – Adama Sikorę (wtedy u początku drogi, obecnie już uznanych twórców). Ocalił w dzienniku nieistniejącą obecnie kawiarenkę „Lady B”, cały akapit poświęcił Michałowi Dejasowi, mikołowskiemu malarzowi i rzeźbiarzowi („który kojarzy mi się z Hrabalem”).

Silesia pojawia się też w innych kontekstach. W roku 1988, pośród migawek codzienności politycznej, Sobolewski skrupulatnie zapisuje wybuch górniczych strajków w Jastrzębiu i piekarskiej „Andaluzji”. Pierwszym jego tekstem danym do „Gazety Wyborczej” na samym początku jej istnienia (czerwiec 1989 r.) był felieton o filmie „Górnicy,88” w reżyserii Andrzeja Piekutowskiego „pokazany półkonspiracyjnie na festiwalu krakowskim” z zapisem strajku w kopalni „Manifest Lipcowy”. Tym, który objął po Sobolewskim krzesło naczelnego „Kina” był Jan F. Lewandowski. W dzienniku czytamy: „W moim losie Lewandowski gra podobną rolę, jak Zamachowski w Białym Kiesłowskiego”. Czemuż to, pytamy, skoro po dymisji autor odczuł „zmęczenie i ulgę”? I pada odpowiedź: „Zastrzelił mnie na własne życzenie”. Reżyserem, z którym rozma-

wał wielokrotnie, był Kazimierz Kutz. Tak się złożyło, że gdy później spotkali się w Instytucie Mikołowskim na sesji o przyszłości Śląska, usłyszał od Kutza: „To pan znalazł sobie tutaj drugie miejsce?”. To zdanie, gdyby usunąć pytajnik, może być również stwierdzeniem.

Do tych, którzy sądzą, że żyjemy w czasach, gdy historia już się wyczerpała, Sobolewski zwraca się we wstępie „Dziennika”: „Jednak okazuje się, że «stare» wraca i wciąż żyjemy «na krawędzi», w przededniu jakiejś katastrofy, jakiegoś końca. A równocześnie, jakby nigdy nic, pijemy sobie herbatę”.

Jest więc sens w zapisywaniu własnych dziejów. To jeszcze jedno mocne „tak” dla bycia razem z innymi. ■

Tadeusz Sobolewski, *DZIENNIK. Jeszcze jedno zdanie*. WAB, Warszawa 2019, str. 533.

O Śląsku: 106, 140, 150, 154, 164, 169, 197, 209–211, 296, 310, 343, 348, 358, 360, 382, 386, 389, 472, 494, 516–517.

Moda obchodzenia święta zakochanych 14 lutego rozlała się szeroką falą po Europie. Wielu osobom wydaje się, że Walentynki są głównie brytyjskim i amerykańskim wymysłem, ale to nieprawda. Najważniejszym miejscem kultu świętego Walentego jest miasto Terni we Włoszech. Do tamtejszej bazyliki przybywają pary z całego świata, które ślubują sobie miłość na zawsze.

W Polsce wreszcie (warunkowo) otwarto 12 lutego teatry i filharmonie, więc natychmiast po decyzji rządu internet zalalała fala informacji o przygotowywanych koncertach, spektaklach, widowiskach itp. Wybór był olbrzymi. Niektóre instytucje zdecydowały się na organizację wydarzeń na żywo z udziałem publiczności, inne postanowiły działać hybrydowo, a kolejne sięgnęły do swoich archiwów, nie decydując się na przygotowywane naprzód eventy.

Dla niektórych osób zaskoczeniem był fakt, że Teatr Wielki w Łodzi wynajął telewizji publicznej swoją scenę na koncert, podczas którego w świątyni sztuki wystąpili między innymi Zenek Martyniuk i zespół Weekend. Nie pomogły inne gwiazdy, takie jak Eleni, Halina Frąckowiak, Kasia Moś czy Marek Kaliszuk. Niesmak pozostał. Nie mam nic przeciwko disco polo, dopóki nie wchodzi na salony. Martyniukowi to wcale nie przeszkadza. Bardzo podobało mu się także wtedy, gdy jego jubileusz 30-lecia pracy artystycznej był transmitowany przez telewizję z Opery i Filharmonii Podlaskiej. Tym razem ta białostocka instytucja zrealizowała galę dla Telewizji Polsat z udziałem swojej orkiestry i chóru, a także słynnych wykonawców, między innymi: Beaty Kozidrak (która już słabo śpiewa, ale nadal jest bardzo lubiana), wspaniałej Anny Wyszconi, zachwycającego Michała Szpaka, ciągle modnego Michała Wiśniewskiego, świetnie grającej Golec Orkiestry, a także Sławomira, reprezentującego gatunek muzyki zwany rock polo.

Do Fundacji ORFEO przysłano mi z Opery Śląskiej elegancki list z kolorowym covidowym zaproszeniem oraz dołączoną do niego instrukcją obsługi, jak przyłączyć się przy pomocy indywidualnego kodu dostępu do transmisji on-line „Napoju miłosnego” Donizettiego. Pamiętam, jak 2 października 2020 roku udało mi się uczestniczyć w tym wspaniałym spektaklu. Zasiadłem na widowni razem ze swoim 7-letnim synem Wojtkiem, który już wygrywa konkursy piosenki i bardzo lubi uczestniczyć w spektaklach operowych i baletowych oraz w koncertach. Już sam pomyśl przeniesienia miejsca akcji „Napoju miłosnego” do eleganckiego hotelu z początku XX wieku uważam za znakomity. Wielkim odkryciem stała się dla mnie Gabriela Gołaszewska, która wygrała Międzynarodowy Konkurs Sztuki Wokalnej im. Ady Sari w Nowym Sączu (gdzie dyrektorem jest słynna diva operowa Małgorzata Walewska) i została laureatką Teatralnej Nagrody Muzycznej im. Jana Kiepury jako najlepsza śpiewaczka operowa w Polsce. Bravo dla dyrektora Opery Śląskiej Łukasza Goika, że przyjął tę wybitnie uzdolnioną artystkę do zespołu teatru. Oprócz pięknego soprano o zachwycającej barwie, Gołaszewska ma jeszcze inne wielkie atuty: urodę, młodość i spory talent aktorski. Wcieliła się tu w Adinę, która w bytomskiej realizacji jest menedżerką hotelu.

Andrzej Lampert jako Nemorino został ubrany w strój bowa hotelowego, trochę zbyt rozroznionego, ale wciąż bardzo przystojnego i młodego. Ten wspaniały artysta zaczął karierę jako piosenkarz, a obecnie wywołuje ogromne wrażenie swoim pięknym, świetnie osadzonym tenorowym głosem. W ubiegłym roku otrzymał prestiżową Austriacką Nagrodę Teatru Muzycznego



Walentynki – od Martyniuka do napoju miłosnego i śmierci

KRZYSZTOF KORWIN-PIOTROWSKI

za partię Pasterza w „Królu Rogerze” Szymanowskiego w Operze w Grazu. Przed nim jeszcze wielka europejska kariera, więc cieszymy się, że na Śląsku można podziwiać dość często tego talent. Śpiewa również w Operze Śląskiej w „Romeo i Julii” Gounoda partię Romea, za którą otrzymał Złotą Maskę. Urodził się w Chorzwie, a studiował w Akademii Muzycznej w Katowicach, więc jego związki z regionem są silne.

Z wielką przyjemnością obejrzałem ponownie ten spektakl, tym razem on-line. Warto pochwalić ciekawą inscenizację Karoliny Sofulak, świetną scenografię Katarzyny Borkowskiej i dopieszczone w każdym szczególe kostiumy Ilony Binarsch. Orkiestra grała z finezją pod pewną ręką kierownika muzycznego Francka Chastrusse Colombiera. Świetnie brzmiał również chór, przygotowany idealnie przez Krystynę Krzyżanowską-Lobodę. To była fantastyczna propozycja na Walentynki. Zwierzałem libretto zostało ożywione przez artystów Opery Śląskiej, którzy wspaniale odnaleźli się w hotelowej scenarii, a przepiękna muzyka Donizettiego nadal urzeka jak prawie 200 lat temu. Okazuje się, że najlepszym eliksirem miłości jest szybciej bijące serce ukochanej osoby i namiętany pocałunek...

Również 14 lutego obejrzałem udostępniony przez Teatr Wielki – Operę Narodową spektakl „Tosca” Pucciniego. Nie była to transmisja, lecz rejestracja spektaklu. Tutaj także trafiałem na wspaniałą parę zakochanych: Ewę Vesin w partii tytułowej i Mickała Spadaccini jako Cavaradossiego. Spadaccini występował w wielu teatrach operowych we Włoszech, ale także w Semperoper w Dreźnie czy Teatro Colon w Buenos Aires. Zachwyca swoim tenorowym głosem o pięknej barwie, śpiewa mocno i pewnie. Jest młody, przystojny i całkiem dobry aktorsko. Na-

tomiast Vesin, oprócz wielkiego talentu wokalnego, pokazuje w tym spektaklu duży talent aktorski, niezwykłą urodę, zachowanie damy i siłę przeżycia. Ma duży temperament, który pokazuje zwłaszcza w znakomitej scenie z Krzysztofem Szumańskim jako Scarpia. To przełomowy moment tragicznej historii, kiedy kobieta, kochająca bezgranicznie Cavaradossiego, walczy sama z sobą. Wie, że jeśli odda się zniechęconemu Scarpii, to może uratować ukochanego przed śmiercią, a równocześnie czułaby wstęt do siebie, gdyby zgodziła się na seks z obrzydliwym tyranem. Kuszenie Toski i zabójstwo Scarpii jest jedną z najlepszych scen, jakie zobaczyłem w polskim teatrze. Natomiast finał, kiedy okazuje się, że Cavaradossi został naprawdę zastrzelony i przerażona Tosca wpada w obłąd, popelniając samobójstwo – to również pokaz mistrzostwa, wyciskający łzy. Orkiestra Opery Narodowej pod batutą maestro Tadeusza Kozłowskiego grała fantastycznie i oddawała pełnię dramatyzmu przedstawianej historii, ale także dawała oddech w momentach lżejszego napięcia. Nie zachwyciły mnie kostiumy Julii Kornackiej, jakby częściowo wzięte ze sklepu na rogu ulicy. Natomiast wspaniała była monumentalna dekoracja Barbary Hanickiej z wnętrzem kościoła, więzienia i murami Zamku Świętego Anioła w Rzymie. Akcja została przeniesiona z czasów Napoleona w lata 70. XX wieku, czyli okres terrorku Czerwonych Brygad. Żyjemy w epoce, w której widmo wojny domowej wisi ciągle w powietrzu w różnych krajach Europy.

A więc Walentynki w polskich teatrach operowych pokazały różne oblicza miłości, od zabawy w rytmie disco polo, poprzez wspaniałą inscenizację opery komicznej, po tragiczne przeżycia związane z zabójstwem i samobójczą śmiercią.

Siódmy ze stu

O statucie Śląskiego Towarzystwa Miłośników Książki i Grafiki

JAN MALICKI

To autentyczny „biały kruk”. Niewiele egzemplarzy dochowało się do naszych czasów. Przekonała się o tym Magdalena Skóra, prezes Towarzystwa, przygotowując jubileuszowy zjazd z okazji 60-lecia jego istnienia. I choć od tamtego czasu znów minęło ćwierć wieku, nie odnaleziono drugiego egzemplarza statutu. Pani Prezes, wydając w pół wieku po pierwszej edycji reprint już wówczas owianego legendą wydania, oparła się zatem na jedynym zapewne, a siódmym z kolei egzemplarzu ze stu wydrukowanych, należącym do Piotra Stasiaka, niezwykłego bibliofila. Z czasem dyrektora Biblioteki Uniwersytetu Śląskiego.

Egzemplarz ten udostępnił przy Marię Skalicką, równie ciekawą postać, przez lata gromadzącą i tworzącą bogatą kolekcję ekslibrisów, grafik i książek, ofiarowaną zresztą mieszkańcom Ustronia. Ów reprint – by domknąć rozważania wstępne – „drukowano na papierze ręcznie czerpanym z Łosin Wielkich; tłoczono z klisz w Artystycznej Oficynie Drukarskiej Aleksandra Spiry w Pszczynie”.

W tych kilku zaledwie zdaniach pojawiła się cała galeria osób, które w dziejach kultury literackiej Śląska pozostawiły swój autentyczny i niezatarty ślad. Bo też jest to Towarzystwo niezwykle, na swój sposób arystokratyczne w sensie przenośnym, dla którego estetyka książki staje się wartością niezastąpioną, nie tylko poprzez jej wartość treściową, ale i szatę graficzną, perfekcyjność edytorską i tradycyjną sztukę drukarską. Tę zawsze zapewnia pszczyńskie Muzeum Prasy Śląskiej, niezrównanego i niezastąpionego Aleksandra Spiry. Do owej plejady znakomitości dodajmy: Gustawa Morcinka, Jana Kuglina, typografa z Bogumina, Pawła Stellera, a z czasem – Wilhelma Szewczyka, Aleksandra Widerę, Fran-

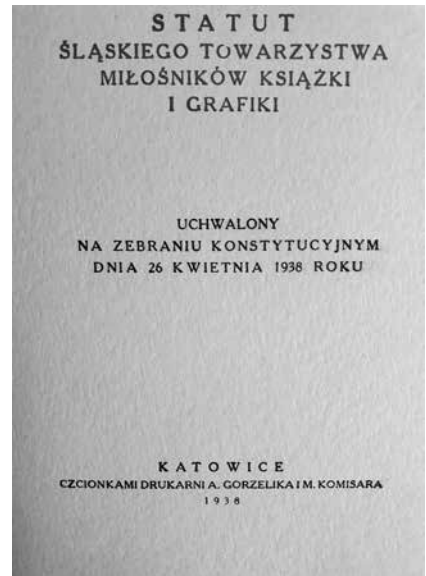
ciszka Germana, Józefa Mayera, Jana Zarembę.

Na Śląsku książka zawsze była czymś niezwykłym, podobnie jak i różnorodne grona ją czytających. Zachował się na przykład „Porządek Bractwa Literackiego pod tytułem Wniebowzięcia Przenaświętszej Panny Maryjej przy kościele farnym raciborskim roku 1334 za Ojca Ś. Jana papieża XXII założonego, a znowu od Ojca Ś. Pawła V roku 1608 potwierdzonego”; wydany zaś we Wrocławiu w 1792 roku. Imponuje owe przeszło cztero i półwiecze. Przekazywano sobie też z pokolenia na pokolenie opowieści o cudownych losach książek, unikających nieszczęść, często tych najokrutniejszych, unicestwiających je.

Niesamowite wrażenie na czytających robiła zapewne opowieść o feniksowych dziejach książki Jana Arndta (1555–1621), zatytułowanej „Rajski Ogródeczek pełen cnót chrześcijańskich”. Jedynej, nigdy i nigdzie nie spalonej, jak świadczy o tym epizod z 1714 roku. „Właśnie w tym 1714 roku – pisze osiemnastowieczny wydawca – wieś Leybigen niespodziewany pożar ognisty w popiół położył, zgorzała też; oraz fara ze wszystkim sprzętem i Pana M. Kunos Biblioteką, z której ani karta nie została, okrom Jana Arndta książeczka o Prawdziwym Krześcijaństwie, która się z popiołu dożyła i teraz w Halli w Siroctzenym Domu na wieczną pamiątkę zachowana bywa”.

Do owego ciągu miłośników ksiąg zaliczyć należy również bytomskie Górnośląskie Towarzystwo Literackie z końca XIX stulecia, przyjmujące rumuńską kolekcję poloniców, które z czasem znajdują się w zbiorach Towarzystwa Przyjaciół Nauk na Śląsku kierowanego przez lata przez ks. Emila Szramka, by ostatecznie znaleźć swoje miejsce w zasobach Biblioteki Śląskiej.

Jesteśmy zatem już w dwudziestolecie międzywojennym. Wtedy rozpoczynają się właściwie dzieje Towarzystwa Miłośników Książki i Grafiki. Czy był to rok 1937, kiedy to po wspaniałym wykładzie Tadeusza Pietrykowskiego, prawnika, przybyłego na Śląsk z Torunia, z czasem zamordowanego w Katyniu; czy rok 1938, jak twierdzi Ludwik Brożek, to w rzeczy samej rzecz drugorzędna. Statut „uchwalony na zebraniu konstytucyjnym dnia 26 kwietnia 1938 roku” stał się dokumentem obowiązującym. „Na zebraniu, zamykającym – pisze Magdalena Skóra – długi, bo roczny okres emancypacji ruchu bibliofilskiego, którego pasje ukryte były w środowisku Koła Związku Bibliotekarzy Polskich. A przecież interesy miłośników ksiąg i bibliotekarzy były wspólne; cele, jakie sobie stawiano, rozbieżne. Nic więc dziwnego, że właśnie w ramach Koła wykształciła się Sekcja Bibliofilów skupiająca grono niezwykłych postaci, takich jak: Tadeusz Pietrykowski, niekwestionowany lider, z cza-



sem jej przewodniczący, Ludwik Brożek – sekretarz Towarzystwa, Piotr Stasiak – skarbnik i następca Brożka po jego przejściu do Cieszyna, wreszcie panowie: Leon Harasiewicz, Paweł Pszczółka, Waław Olszewicz, Leon Fall, Karol Franek, Stefan Pluszczewski, Władysław Biernecki, Gabriel Miquel, Stanisław Majewski, Bolesław Krajewski, Paweł Steller, Alfred Jesionowski i Edward Grabowski”.

Wojna przeorała i tę sferę działalności. Dopiero w 1968 roku odrodziło się Towarzystwo. Głównie dzięki Romanowi Chrzastowskiemu. Wciąż jeszcze ważna była piękna książka, oryginalne edycje, kolekcje ulubionych autorów, ich autografy. Ważna jest też „gra rozmowna”, opowieści o zdobyczach, pytania, na które nie zawsze można znaleźć odpowiedź. No i swoisty rytuał spotkań. Każde zaś ze spotkań jest dokumentowane; wpisem, autografem, zdjęciem. Powstało już kilka pokaźnych tomów. I ta niespotykana gdziekolwiek indziej atmosfera stwarzana przez prezesa Krystiana Szczęsnego, Ryszarda Pietkiewicza, Kazimierza Skotnickiego, Wojciecha Janotę... Nas wszystkich.

Statut nie jest jedyną pozycją wydaną przez Towarzystwo. Ukazał się bowiem i katalog śląskich miłośników ksiąg: „Pawierowa magia” Tymona Terleckiego i okolicznościowy druk „Na pięćdziesięciolecie Sekcji Bibliofilskiej w Katowicach”. Kilkadziesiąt rozmaitych pozycji. Ale to już zupełnie inna opowieść. ■



Pożegnanie damy polskiej piosenki

ZBIGNIEW LUBOWSKI



W swoim repertuarze miała 1500 piosenek. Niektóre z nich – „Augustowskie noce”, „Brzydula i rudzielec”, „Do grającej szafy grosik wrzuć”, „Karuzela”, „Parasolki” czy „Serduszko puka w rytmie cha-cha” – przeszły do historii polskiej muzyki rozrywkowej. Maria KOTERBSKA, wybitna piosenkarka rodem z Bielska-Białej zmarła 18 stycznia w wieku 96 lat. Przez ponad pół wieku jej piosenki towarzyszyły kolejnym pokoleniom, znakomicie znosząc próbę czasu. Mijały mody, zmieniali się idole, a Koterbska trwała i cieszyła się niesłabnącą sympatią słuchaczy.

Przyszła na świat w Białej Krakowskiej, w rodzinie muzyków. Jej matka, Janina Mirowska, była pianistką, a ojciec, Władysław Koterbski – skrzypkiem i byłym dyrygentem lwowskiego chóru „Echo” (od roku 1918 uczył śpiewu w Seminarium Nauczycielskim w Białej). Maria była emocjonalnie związana z rodzinnym miastem nad Białą, które od 1951 roku – odnotujmy skrupulatnie – nosiło już nazwę Bielsko-Biała. Muzyki uczyła się w dzieciństwie pod kierunkiem matki. Uczęszczała do szkoły baletowej, współpracowała z teatrem amatorskim.

Estrada wygrała z farmacją

Na szersze wody wypłynęła po raz pierwszy w 1949 roku. Jako studentka farmacji, wzięła wówczas udział w koncercie na rzecz odbudowy Warszawy w Teatrze im. Stanisława Wyspiańskiego w Katowicach. Jej występ spotkał się z entuzjastyczną reakcją publiczności. Dla 25-letniej dziewczyny było to wydarzenie przełomowe. Porzuciła dotychczasowe studia i związała się na dobre ze światem estrady i piosenki.

W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ubiegłego wieku zyskała ogromny rozgłos i popularność w całym kraju. Teksty piosenek dla Koterbskiej pisali m.in. Wojciech Młynarski, Agnieszka Osiecka i Jeremi Przybora. Utwory w jej wykonaniu stały się prawie od razu wielkimi przebojami. Współtwórcą jej wspaniałych sukcesów był bez wątpienia Jerzy Harald, utalentowany kompozytor i aranżer, lider orkiestry, z którą nagrywała dla radia liczne piosenki.

Powiew świeżości

To on stworzył m.in. szlagierowy utwór „Brzydula i rudzielec” (1954) do słów Eugenii Wnukowskiej (*bo ja mam włosy rude, nie miedziane, nie kasztan, nie mahoń, tyl-*

ko rude, po prostu rude, jak lisia skórka latem). Ten przebój nuciła wówczas dosłownie cała Polska. Po przygnębiającym okresie stalinizmu był to prawdziwy powiew świeżości w życiu kulturalnym kraju. Dziś może się to wydawać zaskakujące, ale wtedy melodyjna piosenka o kolorze dziewczęcych włosów niosła ze sobą optymizm i nadzieję na lepsze czasy. W latach pięćdziesiątych Koterbska była stałą bywalczynią niedzielnych audycji Radia Katowice pt. „Melodie świata”. Cieszyły się one wtedy niezwykłą popularnością wśród słuchaczy, którzy z utęsknieniem czekali m.in. na cotygodniowe piosenki w jej wykonaniu.

– *Maria Koterbska to był dla mojego pokolenia głos, który rozjaśniał straszną nudę i szarość powojennych czasów socrealizmu. Była pierwszą w naszym kraju piosenkarką, swingującą po polsku. Śpiewała bardzo nowocześnie, po amerykańsku* – wspominał po latach Wojciech Młynarski.

Publiczność kochała jej nienaganną dykcję, czar i styl. Jej wszyscy biografowie podkreślali zgodnie, że na twarzy artystki zawsze gościł uśmiech.

– *Nikogo przy tym nie naśladowała, była potoczna, zwykła. Polegało to nie tylko na braku wystudiowanej pozy estradowej, ale przede wszystkim na sposobie interpretowania tekstu. To, co śpiewała, miało sens* – mówił o artystce Gustaw Holoubek.

– *Potrąfiła z dużym powodzeniem posługiwać się swoim głosem jeszcze wtedy, gdy inne polskie piosenkarki nawet nie znały w ogóle słowa JAZZ* – stwierdził dobitnie Dariusz Michalski w książce „Piosenka przypomni ci... Historia polskiej muzyki rozrywkowej”. Koterbska nie ukrywała zresztą źródeł swoich muzycznych inspiracji.

– *Swing był moim życiem, a Ella Fitzgerald i Frank Sinatra – chlebem powszednim*

– *zwierzyła się w jednym z wywiadów prasowych. Jej estradowy repertuar składał się jednak nie tylko z utworów o jazzowym (amerykańskim) rodowodzie, ale również z piosenek aktorskich. Była artystką wszechstronną.*

We wcieleniu teatralno-kabaretowym

W połowie lat pięćdziesiątych Maria Koterbska przez dwa sezony występowała w Teatrze Satyryków w Krakowie. Ten okres pracy na scenie teatralnej miał dla jej dalszej kariery duże znaczenie. Potem współtworzyła literacko-artystyczny Kabaret Wągabunda, z którym koncertowała przez 11 sezonów w różnych miejscach na kuli ziemskiej: od Nowego Targu do Nowego Jorku. Była artystką lubianą i cioną przez publiczność. Zawsze pełna energii i pogody ducha zachwycała swoim talentem wokalnym.

– *Była pierwszą, która odważyła się niegdyś przełamać dziarski styl odwórcy piosenek o murarzach i kolejarzach, lansując piosenki intymne, nieraz nawet pół-poetyckie lub satyryczne. Umiała podnieść zwykłą piosenkę do rangi sztuki* – napisał znany dziennikarz i prezenter radiowy, Lucjan Kydryński, w książce „Wierzę piosence”.

Artystka w koronie

Niemal z dnia na dzień okrzyknięto Marię Koterbską „królową polskiego swingu”. Sama nie przepadała jednak za tym określeniem.

– *Zawsze swingowałam, bo byłam zauroczona amerykańską muzyką i trwało to we mnie całe lata. Nie mogłam tego ani zmienić, ani ulepszyć, nie potrafiłam po prostu inaczej śpiewać. Szalenie zależało mi jednak na dykcji, którą tak wpoila mi mama, żeby nie uciekło żadne słowo, żadna końcówka* – opowiadała w zeszłym roku Katarzynie Górnej-Oremus, dziennikarce „Kroniki Beskidzkiej”.

Nigdy nie chciała zmienić swojego beskidzkiego adresu.

– *Spływały do niej lukratywne propozycje artystyczne z Zachodu, ale piosenkarka, przywiązana w równym stopniu do rodzinnego Bielska, jak do krajowej publiczności, nigdy owym ofertom nie uległa. Za tę wierność sobie i za oddanie polskim słuchaczom ci odwdzięczali się przez długie lata, żarliwie wielbiąc artystkę i jej szlagiery – czytamy w książce Emilii Padół pt. „Piosenkarki PRL-u”.*

Jak reagowała na swoją ogromną popularność wśród Polaków?

– *Śpiewam, gdy słyszę swoje utwory w radiu, a dzieje się to często. Nucę z radiem. Dziwię się tylko, że teraz orkiestra gra głośniejsze, niż śpiewam sam solista. Kiedyś wyglądało to inaczej. Kochałam to, co robiłam. Kochałam swój zawód. Gdy wychodziłam na scenę i widziałam uśmiechniętych ludzi, to czułam, że ogarniam ich wszystkich swoją czułością. Że ich wszystkich przytulałam. Ich życzliwość sprawiała, że zapominałam o stresie. Trema towarzyszyła mi od samego początku. Bałam się, że zapomnę tekstu, ale jestem też taka prywatnie. Bardzo emocjonalna i wszystko przeżywam – podkreślała w rozmowie z bielską dziennikarką.*

Z dużym wdziękiem

Artystka została zapamiętana jako wytworna gwiazda polskiej estrady.

– *Szeleściła spódnicą, pachniała mocnymi perfumami. Obowiązkowo czarna kreska na powiece i umalowane usta. Kiedy przychodziła do nas do domu, wstrzymywaliśmy oddech. Była WIELKĄ gwiazdą, niepowtarzalną kobietą i artystką. Niby brzydula i rudzielec, a tak naprawdę piękna, z klasą, wdziękiem i ognistymi włosami. Seksowna dama! – wspominała niedawno Agata Młynarska, której ojciec był jednym z bliskich współpracowników Marii Koterbskiej.*

Czy imponujące sukcesy artystyczne pio-



senkarki miały przełożenie na wymierne profity finansowe? Kulisy jej estradowej działalności próbował odsłonić Roman Frankl, jedyny syn artystki, który w 2008 roku wydał utrzymaną w konwencji szczyrych zwierzeń książkę pt. „Maria Koterbska – karuzela mojego życia”. Sporo jej fragmentów poświęcił biznesowej stronie kariery matki.

– *Ta książka to jednak nie tylko opowieść o sukcesach. Jest bardzo dyskretnie, ale jednak wpisana w dzieje PRL. Bez martyrologii, ale z ukazaniem niełatwego życia artystki. Popularność i sukcesy nie przynosiły finansowych kroci. Żeby żyć, wedle dzisiejszych kryteriów, raczej skromnie, trzeba było naprawdę ciężko pracować, jeżdżąc w koncertowe trasy – recenzował Andrzej Garlicki, publicysta „Polityki”.*

„Parasolki” na cmentarzu

W uznaniu cennych zasług dla narodowej kultury artystka została uhonorowana Złotym

Medalem GLORIA ARTIS i Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski. Bielski pogrzeb Marii Koterbskiej zgromadził prawdziwe tłumy bielszczan. Pod koniec ceremonii żałobnej doszło do wzruszającego zdarzenia. Grupa dzieci z utworzonej przed ośmioma laty Bielskiej Piwnicy Artystycznej im. Marii Koterbskiej zaśpiewała nieoczekiwanie piosenkę „Parasolki” – jeden z najbardziej znanych utworów z repertuaru zmarłej artystki.

Wprawiło to uczestników pogrzebu w niezwykły nastrój, który udzielił się również obecnej na cmentarzu rodzinie legendarnej piosenkarki. Roman Frankl podziękował spontanicznie śpiewającym dzieciom. Każde z nich położyło potem po jednej czerwonej róży na grobie artystki, co miało chyba rangę symbolu, dokumentującego artystyczną sztafetę pokoleń.

Jubileusz w teatrze

Pochodząca z 1960 roku piosenka była bez wątpienia jednym z najbardziej charakterystycznych utworów w bogatym dorobku artystki. Do melodii niezapomnianych „Parasolek” Jacek Cygan napisał przed laty okazjonalny tekst, który we wrześniu 2014 roku został chóralnie odśpiewany na scenie Teatru Polskiego w Bielsku-Białej, przez liczne grono artystów (Olga Bończyk, Jacek Cygan, Jacek Fedorowicz, Roman Frankl, Stefan Fried-



Artystka z autorem, 2014

mann, Robert Janowski, Czesław Majewski, Tomasz Lorek, Jerzy Połomski, Maria Szabłowska, Stanisław Tym), uczestniczących w imprezie z okazji 90. urodzin piosenkarki:

*Mario śpiewna, Mario rzewna,
Podbeskidzka Mario bielska,
Mario cudna, nigdy nudna,
dzięki Ci, Mario Koterbska!*

*Mario śpiewna, Mario rzewna,
na ten trudny czas balsamie,
dwustu lat, z miłością w sercach,
życzę Ci... Panowie, Panie!*

Zgromadzona w teatrze i przed teatrem publiczność (przebieg imprezy w roku 2014 można było śledzić na śródmiejskim telebimie ustawionym w plenerze) nagrodziła spontaniczną owacją chór artystów estrady i kabaretu, przybyłych specjalnie w tym dniu do Bielska z najdalszych zakątków kraju. Dziś wypada tylko wyrazić ogromny żal i smutek z powodu odejścia wspaniałej DAMY POLSKIEJ PIOSENKI.



Dzieci na bielskim cmentarzu

Przymiar zejść

Szara strefa drobnych przemieszczeń. Lunatyczny punkt wchłaniający pozostały,
Po przejściu deszczu, wyziew skłębionego z paku i trocinowych drzazg czasu
Bezokolicznikowych zjawień i przepadań, jakbyśmy mieścili się tylko w przerwach
Między pionowymi kreskami na linijce podziału, mierzalnym do pewnego
Momentu odcinku, w bezpardonowym zaniku, retorsji dołu, ów wirujący pod
Dłonią przymiar zejść. Klatka po klatce, sfera po zerze, cień jak mulisty chłupot,
Rygiel wybity klinem. Ostatki letniego lata zapowiadają już swoje odstąpienia
Od boi trzymającej tę flautę w rozpostarcu chłonnych zamachów, kiedy iskaliśmy
W sobie, bez możliwości znalezienia stałego zapłonu, blade iskry, żyjąc w

Tunelu nieprzerwanych odroczeń, więc możemy już teraz wracać w ponownie
Nieludne domknięcia, przy zbrudzonej mordze zbłąkań, która jest ostateczną sumą
Wszystkich zdobyczy, finalnych natrafień i wieńczących ich krepę szklitych
Powidoków. Zejścia są bowiem coraz prędsze. Obrys to kropka lub kwadrat.
Półobrót jest najbardziej możliwym rozwinięciem zwrotnych wersji tego samego,
Bez ustanku samo drążącego się ujęcia, kadru prącego na siebie miału. Wądoł
Tego stanu staje się przeto kaftanem bezpieczeństwa, w którym szamoce się bezładnie
Każdy ruch czy wyjąkany gest, bezgranicznie szerokim i długim, usztywniającym dopiero
W nadejściu niemocy ten chyży bezmiar mieszczący wszelkie sploty przebiegów

Okalających to skurczenie mięśni i zdrętwiały krok. Nagminne przenosiny i dalekie
Powroty rozszczepiają tylko wspomnienie obecnego, choć już minionego, stargania i Ocio-
sują grot zamka nieustannie chroboczącego w głowie. Kim jesteśmy, skoro nigdy nie Wie-
dzieliśmy, gdzie uwyraźni się przenośna meta, więc kim nie mogliśmy nigdy być, poza
Tą tarczą rozpadu, w rowie donikąd prowadzącej drogi, dalszych rozstępach zjawiającej
Się zgrozy, kukielkowych poczynaniach na zacierających się flankach upadków
I wykrojów każdorazowych uchybień, przewleczeń przez igielne ucha naszych martwych
Tusz, żywnych wciąż chybotliwym kręgiem prosa najbliższych zjawień. Rodzaj
Skończoności największych przejawów względnie ustabilizowanego przeżywania tych

Pomniejszych chwil, objawia swój zaczep w sinym podłożu znikliwości, po pustych
Korytarzach przechadza się zwitek cienia chmury, na odległość można dostrzec tylko
Siatki i druty, widne ogrodzenia potocznego snienia o trwaniu w nienaruszalnej krypcie
Swego braku, kolących ubytkach, jakie niesie każdy wypuszczony cel, wyrażających
Się bezpośrednio w złożoności wszelkiego złogu, kiedy dopalony knot okazuje się
Jedynym wertykalnym śladem na tej bezbrzeżnej płaskości, utrzymywanej w zaciekach
Zakalca tego tygodnia, sąsiednich miesięcy, których wszak nigdy nie było poza tym
Zaciskanym nawiasem miejsca, gdzie wkopano cię jak słupek. Otorbiony łuskami
Rdzy wychył. Dławiący piekącym zakosem szmat mrowia przebyty wpływ.
Odstrzelony splecheć kontującego progę. Obwód jarzma, który nie ginie w ścianach.

Roztrącenia

Rwane brzegi spadziście krętego koryta, szcerby dłuższe od skośnie
Krzyżujących się cieni na przedramieniu ujścia z tej dookolnej, rotującej morgi
Niemego wrzasku, kiedy przepada się jak głuchy postrzał w matrycy klepsydry,
By dowlec się pod boczne drzwi i uchylić nimi ostry kąt kolejnego przepadku.
Przełamanie tych okalających każdy ślad ram usztywniających pomór wszelkich
Treści o rabowanym z gwiazd świecie, jest krótkie jak spłonka wirująca nad
Kowadłem wrzenia momentu chybienia, naszych dowodów racji, trwalszych niż
Incydentalne skupienia w jeden gram doraźnych sięgnięć w spiralny bezmiar
Zbliżenia, lecz mrowiące rozpierzchnięcia jedynie temu przeczą, bo są wewnątrz
Tego zalesienia, przekazywanego stale roztrącenia. Widny łup jak rozmyty

Kondukt. Idziemy w nim jako żałobne pionki. Proch jest efektem roztarcia.
Z niego powstałeś, i w niego się przemieniłeś. Minus zero. Plus każdy inny.
Oto suma wzrastających potknięć w bezdennej przeponie skończoności losu.
Awatary zaświatów migają czerwonymi światłami znad miejskiej ciepłowni. Dokąd
Się jeszcze możemy o tej sfazowanej porze udać? Do zakalca nocnego okienka,
W zezowaty kanał reszty wydanej bez paragonu? Stadny odruch prowadzi w
Rankingu osiągnięcia punktu wyjścia, powroty są bowiem jedynym celem
Wypuszczających kolejne zwiadowcze boje uniesień, krzepliwą nadzieją na zmianę
Kursu, który miałby zwrócić skasowany tor. Głębia tego dna nie ma żadnych
Pomniejszych stacji, falisty zewłok tego stanu napędza czubek stożka aż po jego

Stałą w tym odmęcie wibrację, dualny zwój wzajemnych przeniknięć napręża się
Pionowo i między jego liniami napoczyna nas martwota próżni. Dobięgać dni.

Skrywane pasma wychodzą bezładnie ze ścian i na jednym z nich odbywa się Rozwłókniona transmisja z naszego wiecznego odchodzenia z pełnymi od kruszyw Dłoni, nieprzebraną odmianą rad, stale wypłukiwanym z krwi magnelem, Rozszerzonym spodem cynkowego wiadra, w którym chlupocze lit. Przybór Stasowanych krat. Prześwity szersze od przestępnego roku. Wyrażście unieruchomiony Przez wnyki zwidu samobieżny ciąg wejrzeń aż za kłodę lat, by odnaleźć kolejny Nachył w kierunku ożywczych nabyć, oddalenia następnych już strat, wykołu tego

Oka cyklonu wytłumionego przez smog. Początek płaskiej drabiny jest takim Samym szczeblem, jak jej ostatni. Między nimi zaś stwardniały od butwiejących już Pozostałych szczebli ugór, karkołomny tego pat. Graniasta koleina wyżłobiona przez Wszystek kół, jak fioletowo świecąca próchnem poręcz, jest dyszlem lotniejszym Niż strzępu wydech, w okopie, przyokiennym dryfie, na parapecie, kiedy Wyniósłszy twoje ubrania do kontenera, patrzę na otwartą, pustą po nich, walizkę, Którą zniosę jutro, by mogła ostatnim lotem przenieść twój zszarzały welon tam, i zastygam Pogięty jak pędliwy kabłąk, pośrodku smagnięć ukręcanym z piasku biczem. Żyzny Tego chłam. Trójdzielny wrak. Parzysty wir w wykuszu tych potraconych stron.

W końcu za złe

Szafy pełne martwych ubrań, miotająca się między nimi ćma, jeden Pokój zastępujący dwa pozostałe, wywleczone pustką na drugą, obumarłą Stronę, przez resztę dni, zawsze już ostatnich, przenikanie wszystkich Przedmiotów oraz sprzętów mechanicznym chaosem, uruchamianym Trybem zakątów majających zza parapetu, skulenie pod ścianą w sinicy Tej kubatury chroniącej doraźnie przed pobudliwym dnem. Nie chodzi się Spać, przeleżane godziny kumulują zewłok odczekanych następstw, grożących Dali, zepchniętych w narożnik migotliwych miejsc, w których próżnia Kopci aż po szyby okien skośnie wprawionych w dachy. Nie zagląda tutaj Żadna śmigła grań, twoje rzeczy usztywniają jeszcze pion, przechylenie Rośnie w amplitudzie cienia, nie ma innych odpowiedzi na głośnie odrętwienie,

Poza odpowiedzią sianą z pozostałych luk, niepokonywalnych przerw twego Przemieszczania się między połaciami osaczenia, płynnego śladu Mieszącego wszelkie manatki, wirusy i niedopałki, w samym środku nacięcia Skracanej chwili, kiedy wszystko, co zewnętrzne jest fantomowym zbiorem Zmechanizowanych pakuł, owych nachalnych wydalaczy prawd kołujących nad Wyrwami bieżących zjawień, zawsze pewnych w swym mikrym azymucie, Narowistych w potrzebie przenoszenia swych skłóceń na każdego, kto miał Im w końcu za złe, stąd jego ciemię worka na przegubie spartaczonych lat, Odłowionych z resztek nadżeranych rozkładem strat, gdyż larwa dalszego Podążania przez malignę śwatoobrazu gubi się na rozstaju przydechu danej Sekundy, bo nie ma mnie w żadnym innym rzucie spoczynku, przebrnąwszy

Przez sinusoidalne bruzdy, wciąż w oczekiwaniu na moment wyjścia poza kokon, Więc siedzi się obok torowiska, na placyku, przy palecie, która służy za stół. Jaki by nie był rojony, świat jest zawsze jednaki, nie do pomyślenia bardziej niż Rozwarta wynika, o tej porze naprężonej, ciasno zbitej w śluzówce jaźni, kiedy Dookoła panuje falisty przybój ciągnących swe ślepe losy z pustego bębna. Mogilna granica kresu. Szorstki przełyk wizjera. Nawiedzenia ruchomymi blokami Zwidzeń komunikują zarannie graniasty pat, skryty za gradowym węglem mulistego Odliczania. Resetuje się tylko noc. W pawlaczu mieści się cały dzień. Karmiona Kielbasianym jadem apatyczna masa, naprędce owijana na kij, zacieśnia swój Kolczasty krąg, wziera w szczelinę między skrytką drzwi a sufitem korytarza, I spopiela swym zianiem każdą inną rację, nieprzeżeganą rylcem urojenia. Będziemy w tej skamielinie trwać, towarzyszyć rozsychaniu się szpar i

Wypatrywać w tym przejścia na postradany już do końca świat, ażeby przeciąg Ziarnistych wezwań zdusił się sam, na rafie zniesień, cembrowanym wrzaskiem Wlocie, między drzewami, jak stojąca tam postać, mająca w miejscu twarzą Obłe bielmo, zaciskana na grdyce powroźną pętlą. Ćwiartka popołudnia stają się Przeto nie do przetrwania osadem, i zanim przemknie spiralna rysa, czoło Horyzontu będzie już zatkaną zatoką, zbliżone zakrzywieniem rosnącego zejścia, Po drugiej stronie, która odpycha wiosłem szarego zaniku każdą stopę skurczonej Formy przesilenia, wahlowej wobec ciągłego nastrajania się na zmiany nie Mające już w sobie żadnych zwrotów, zgrzytliwie schodzącej w kostyczny dół. Przewór jest niesekwencyjny. Narzędzia wymiany informacji obnażają płycizny Skrywane przez spiętrzone ego, umacniając, tym samym, egalitarny jatki jar. Nie doniesiesz więc niczego w środkowy punkt, zawsze optycznie tkwiący w Żłudnej połowie, zawsze w akordzie końcowym, ograniczony przez karbującą nicość.

Kim byli bardowie?

MICHAŁ SPURGIASZ

Każdy zainteresowany fantastyką, bądź średniowiecznymi powieściami historycznymi, chyba kojarzy postać barda – charyzmatycznego muzyka, który dziwnym trafem nie dość, że pokrzepia swoimi pieśniami towarzyszy, to często posiada też moce magiczne. Wypada zadać pytanie – jaka jest geneza samego współczesnego słowa „bard”? Dość często przejmujemy się, iż słowo „bard” wywodzi się z języka galijskiego, jednakże oryginalne brzmienie słowa nie jest znane, zostało utracone. Zachowała się jego wersja łacińska „bardus” oraz grecka βάρδοι (liczba mnoga), na podstawie których prowadzone są próby rekonstrukcji oryginalnego terminu galijskiego.

Bardowie w społeczeństwie celtyckim pełnili wielorakie funkcje. Zarówno byli historykami – znawcami przeszłości, którzy swoją pieśnią wspominali czyny dawnych władców, czy herosów kulturowych, jak i stanowili głosu ludu, oddając swoimi pieśniami satyrycznymi nastroje społeczne. O bardach i ich funkcji społecznej zachowała się garść zapisków pozostawionych przez Greków i Rzymian. Przywołanie części z zapisków w sposób jasny powinno zarysować sylwetkę barda oraz zakres jego funkcji społecznych:

1) Grecki autor znany jako Pseudo Scymnus poświęcił uwagę odnoszącą się do zgromadzeń celtyckich, a prawdopodobnie nie-wprost wskazującą na rolę barda w życiu społeczności: „z pomocą muzyki przeprowadzają swe rady, używają jej by ukoić tłum”.

2) Diodor Sycylijski: „Mają śpiewających poetów zwanych bardami, którzy grają na instrumencie podobnym greckiej lirze. Ci bardowie śpiewają pieśni pochwalne i satyryczne”.

3) Posejdonios z Rodos w jednym z zapośredniczonych przez Artemidora fragmentów, który dotyczył celtyckich bardów, posługuje się terminem παράσιτος (parásitos). Dziś ten termin zapewne większości współczesnych czytelników skojarzy się jednoznacznie ze słowem „pasożyt”, jednakże w czasach antycznych miał zdecydowanie odmienne znaczenie. Kon-

kretnie παράσιτος to ten, który żywi się przy cudzym stole, towarzysz posiłku: „Celtowie mają z sobą na wojnie i w czasie pokoju towarzyszy, których zwą παράσιτος. Ci ludzie recytują pochwały swym mecenasom przed zebraniami i każdemu ze słuchających po kolei. Są oni zwani bardami – poetami, którzy chwalą”.

4) Ammianus Marcellinus: „(...) i bardowie śpiewali o wielkich uczynkach sławnych mężczyzn wierszem epickim, przy akompaniamencie słodkich tonów liry”.

iż znaczenie i przypisywana moc osoby znającej pieśni o sławnych czynach rodu, czy dawnych władców w kulturze celtyckiej, były zdecydowanie większe niż dziś. Współcześnie posługujemy się pismem i technologią, by móc zachować historię i informację. Celtowie przed przybyciem Rzymian byli ludem niepiśmiennym. Historia, mity, legendy, wszystko to było przekazywane ustnie. Tym samym wieki temu w społeczeństwie celtyckim jedynym strażnikiem pamięci, tym co przypominał uczynki przodków i chronił chwalebna historię bohaterów przed zapomnieniem, był operujący pamięcią bard, stąd też można z dużą pewnością stwierdzić, iż były to postacie cieszące się powszechnym szacunkiem. W szczególności, iż źle potraktowany, a uzdolniony bard stawał się niebezpieczny. Zadbany budował pozytywny wizerunek władcy bądź wodza. Pozbawiony zapłaty tworzył pieśni satyryczne przedstawiające lokalnego możnowładcę jako jednego z największych nikczemników, jakich nosiła ziemia.

Można teraz postawić pytanie: jakie były pieśni bardów? Z zapisków historyków antyku wiemy, że te o charakterze pochwalnym bądź satyrycznym często były improwizowane, tworzone pod wpływem chwili i odpowiadające sytuacji.

Natomiast pieśni historyczne i genealogiczne opierały się na powtarzaniu zapamiętanego przekazu; przy czym dozwolona była duża doza ekspresji osobistej. Pieśni bardów miały również mieć charakter metaforyczny i być pełne różnorodnych aluzji. Pewną pozostałością – echem przeszłości, które daje nam przedsmak celtyckich pieśni, są zachowane galijskie tabliczki zlorzczone (np. tabliczka z Chamalières / tabliczka z Larzac). Zapisane rzymską kursywą, zawierają krótkie utwory wierszowane (tabliczka z Chamalières – doczekała się współczesnej folkowej wersji śpiewanej zespołu Eluveitie pod tytułem *Dessumiis Luge*). Na podstawie tabliczek można wywnioskować, iż aliteracja i powtórzenia były stosowane w obrębie poezji celtyckiej w celu wzmocnienia emocjonalnego przekazu utworu.



Celtycki Triskelion

Na podstawie powyższych przekazów bardowie jawią się jako: jednostki zdolne do bezpośredniego wpływu na emocje społeczności poprzez odpowiednio przygotowaną pieśń; przebywające w otoczeniu wojowników i władców, korzystające przy tym z ich mecenatu i odpłacające się za opiekę pieśniami pochwalnymi lub w przypadku niedoceniaenia kąśliwymi pieśniami satyrycznymi; towarzyszące wojownikom w trakcie wypraw wojennych; będące powiernikami historii i znawcami genealogii (pamięć o uczynkach sławnych mężczyzn). Dodatkowo wypada zauważyć, iż bardowie mieli posługiwać się instrumentem podobnym do greckiej liry (Crwth). Należy tu zaznaczyć,

Powyższy opis wpasowuje się w proponowaną w fantastyce wizję zagrzewającego do boju towarzysza poszukiwacza przygód – kronikarza, który przygotowuje dla potomnych pieśń o heroicznych czynach drużyny, jednakże ma się to nijak do przypisywanych bardom mocy magicznych.

Na terenie Irlandii istniał podział na bardów i filidów (*filí*). Filidowie stanowili wyższą klasę poetów, którzy swoją poezją mieli podejmować zagadnienia mityczne, historyczne, genealogiczne. Nie musieli pełnić funkcji tuby ludu, bądź też twórców pieśni pochwalnych. Była to intelektualna arystokracja Irlandii. Filidowie byli postrzegani jako świetni doradcy polityczni (znajomość genealogii rodów i stosunków między nimi), sędziowie rozstrzygający spory, a nawet w okresie poprzedzającym chrystianizację grupa ta pełniła również ograniczone funkcje rytualne. Z powyższym łączyło się przekonanie o świętym charakterze filidów. O ile barda można było źle potraktować i jedyne co tenże mógł zrobić to odwdziżyć się kąśliwą pieśnią, tak obraza któregośkolwiek z *filí* łączyła się z groźbą boskiej interwencji lub zemsty magicznej samego poety. Pieśni filidów przypisywano szeroki repertuar możliwości magicznych od sprowadzania plag i słabości (bądź nawet wywołania gwałtownego ropnego zapalenia twarzy) po nadawanie nadnaturalnej siły i zręczności herosom i królom. Tytuł *file* wymagał wielu lat studiów (w specjalnym kolegium), które polegały na pamięciowej nauce historii związanych z szeroko rozumianą tradycją irlandzką, od eposów opiewających herosów, po opowieści o bogach (zreformowane i schryścianizowane kolegia filidów utrzymały się w Irlandii aż do wieku XVII, a w Szkocji do wieku XVIII). Od około VI wieku wraz z postępującą chrystianizacją Irlandii przynależność do filidów stała się dziedziną i ściśle związana z konkretnymi irlandzkimi rodami (np. Ó Dálaigh, Ó hUiginn). Zmianie uległ też zakres przypisywanych im funkcji, ze świętych poetów w optyce Irlandczyków stali się znawcami litery i filozofami, bezpośrednio towarzyszyli irlandzkim władcom i arystokratom. Nawet w czasach elżbietańskich dalej cieszyli się bardzo wysokim statusem społecznym (Nawet w Szkocji, gdzie około XV wieku termin bard uległ erozji i zaczął być stosowany zamiennie z terminem minstrel) – dopuszczeni byli do stołu arystokratów Irlandzkich, a nawet spożywali z nimi te same potrawy. Anglicy spoglądali na ten zwyczaj z przerażeniem, przywołując go jako przykład „dzikości” Irlandii.

Słowo bard ponownie zyskało na popularności w wieku XVIII głównie poprzez działalność Jamesa Macphersona, który „odkrył” (a w rzeczywisto-



Bard. John Martin (1789–1854)

ści samodzielnie napisał) *Pieśni Osjana*. Tekst ten odbił się szerokim echem po całej romantycznej Europie. W *Pieśniach* zaczytywał się nawet Napoleon, wywarły one duży wpływ na Goethego, a pierwszy fragmentaryczny przekład na język polski przygotował Ignacy Krasicki w roku 1793. Bard przedstawiony w *Pieśniach* jawi się jako odważny towarzysz herosów. Jego pieśń, przygotowana z myślą o potomnych to droga do nieśmiertelności. Co więcej, ma zdolności nadnaturalne – gdy śpiewa pieśni o dawnych poległych bohaterach, to przywołuje ich dusze (*O let thy song rise, at times, in the praise of those that fell: that their thin ghosts may rejoice around thee*). Tym samym bard osjanistyczny to natchniony mediator między przeszłością, teraźniejszością i przyszłością. Z przeszłością łączą go duchy zmarłych, sam tkwi zakotwiczony

w teraźniejszości, a w przyszłość przenosi pamięć o współczesnych mu ludziach za pomocą pieśni.

Powyżej przedstawione wyobrażenia i historyczne przedstawienia przemieszały się ze sobą współcześnie, tworząc przy tym współczesne literackie wyobrażenie barda – charyzmatycznego szelmy.

Bardowie, zarówno jako postaci historyczne, jak i bohaterowie literacy, zdecydowanie rozpalają wyobrażenie. Realizują sobą wyobrażenie niezwykłej jednostki, które w świecie gdzie władza podzielona między kierującymi się siłą wojownikami a mądrymi kapłanami potrafili odnaleźć trzecią drogę opartą na sprycie, podstępnie i błyskotliwości. Co więcej, nawet dziś szczególnie charyzmatycznych, porywających muzyków czasem tytułuje się „bardem”.

Michał Spurgiasz, doktor kulturoznawstwa, historyk filozofii i religioznawca. Od 10 lat bada historię alchemii zachodniej, religię i kulturę Azji wschodniej oraz religie przedchrześcijańskiej Europy. Autor wielu wystąpień popularnonaukowych. Współpracował z Muzeum Śląskim. Obecnie Specjalista ds. historii Instytutu Myśli Polskiej im. W. Korfańskiego.

Architektura współczesna – дума czy obciach?

EDWARD WIECZOREK

Architektura współczesna wywołuje rozbieżne oceny i emocje, ale jedno jest pewne – nie można przejść obok niej obojętnie. Już starożytni stwierdzili, że o gustach i upodobaniach się nie dyskutuje. Przykład dysputy, wobec – zburzonego już – katowickiego dworca PKP pokazuje, jak różny jest odbiór architektury współczesnej i jak silne wywołuje emocje. I tak jest z każdą wyburzoną budowlą i z każdym budowanym obiektem – zwłaszcza użyteczności publicznej.

Nie tylko secesja, nie tylko moderna

Wśród wielu publikacji na temat architektonicznej atrakcyjności miast Górnośląskiego Okręgu Przemysłowego, czy – jak kto woli – Górnośląsko-Zagłębiowskiej Metropolii, dominują wątki XIX-wiecznego historyzmu i eklektyzmu, sporo pisze się o secesji i o modernie. Rzadko jednak zauważa się walory architektury współczesnej.

Na Śląsku próżno by szukać dzieł Santiago Calatravy, Daniela Liebeskinda, Franka Gehry'ego, Zahi Hadid i innych topowych architektów, co wcale nie znaczy, że jesteśmy jakąś architektoniczną pustynią. Bazując na znakomitych przykładach architektury dwudziestolecia międzywojennego i – nienajgorszych – socmodernizmu, współczesne pokolenie śląskich architektów stara się zbliżyć nas do europejskiej czołówki. Że im się to udaje, świadczą liczne nagrody, wyróżnienia i nominacje w prestiżowych rankingach.

Zmiany, jakie nastąpiły w Polsce po roku 1989, stworzyły ogromną szansę także dla polskiej architektury. Szerokie otwarcie na świat, swoboda podróżowania, studiowania, nowoczesne narzędzia projektowania, w końcu technologie i materiały zbliżyły nas w minionym dwudziestolecu w dziedzinie architektury i urbanistyki do czołówki europejskiej. W Polsce nastąpiła wielka naprawa architektury, a przoduje w tym środowisko śląskie. Jak twierdzi Andrzej Duda, architekt i wykładowca na Wydziale Architektury Politechniki Śląskiej, jest to w pewnym sensie sprawa tradycji architektonicznych na tym terenie, gdzie przez kilka stuleci dominował przemysł i gdzie twórcy architektury przemysłowej – eksperymentując z nowymi technologiami i materiałami – realizowali architekturę przystosowaną do wymogów produkcji. To technologie, funkcje i konstrukcja obiektów narzucała ich formę. Na tym opierała się idea funkcjonalizmu lat 20. XX wieku. Dziś ta architektura i jej niedostrzegane piękno jest źródłem

inspiracji i poszukiwań tutejszego środowiska twórców. Krytycy i teoretycy sztuki sformułowali nawet określenie „śląska szkoła architektury”, mając na myśli architekturę wpisującą się w miejscową tradycję, zwłaszcza międzywojenny funkcjonalizm (modernizm) i charakterystyczne czerwone ceglane elewacje.

Ikony współczesnej architektury

W 2005 r. Stowarzyszenie Architektów Polskich (SARP) zorganizowało wystawę POLSKA. IKONY ARCHITEKTURY. Pokazała ona 20 najbardziej charakterystycznych i znaczących obiektów architektonicznych, zrealizowanych po zmianach 1989 roku, będących swoistymi znakami w przestrzeni. Były to zarówno budynki, które powstały

na terenie naszego kraju, jak i te symbolizujące Polskę na arenie międzynarodowej (np. ambasady czy pawilony na EXPO). Wystawa gościła m.in. w Bernie, Düsseldorfie, Karlstadzie, Luksemburgu, Darmstadtzie, Belgradzie i Bukareszcie. Spośród 20 IKON, aż 4 znajdują się w województwie śląskim:

Bolko Loft (2003), zmodernizowana i zaadaptowana na potrzeby mieszkalno-biurowe (teraz już tylko mieszkalne) lampiarnia nieczynnych zakładów górniczo-hutniczych w Bytomiu, przy ul. Kruszcowej – pierwszy loft w Polsce. Jego autorzy to medusa group architects; architekt Przemysław Łukasik.

Dom z Ziemi Śląskiej (2002) na pograniczu Mysłowic-Wesołej i katowickiego Giszowca, autorstwa KWK Promes Architekci; architekci:



Kościół Jezusa Chrystusa Odkupiciela, Czechowice-Dziedzice

fol. Edward Wiczorek



Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka CINiBA

Robert Konieczny, Marlena Wolnik-Konieczny. To jeden z wielu projektów domów jednorodzinnych, w których specjalizuje się pracownia KWK Promes Roberta Koniecznego i za które uzyskał mnóstwo wyróżnień i nominacji (m.in. nagrody im. Miesa van der Rohe). Aula Kordeckiego na Jasnej Górze w Częstochowie (1998–2002), autorstwa Atelier 2 Kucza-Kuczyński, Miklaszewski sp. z o.o.; architekci Konrad Kucza-Kuczyński, Andrzej Miklaszewski, Piotr Kudelski z zespołem. Sala posiedzeń i konferencji, w podziemiach zabudowy jasnogórskiej, z olbrzymią przestrzenią, uzyskaną dzięki specjalnym żebrom konstrukcyjnym.

Kościół Jezusa Chrystusa Odkupiciela w Czechowicach-Dziedzicach (1998), autorstwa Stanisława Niemczyka z zespołem. Dla mnie osobiście – absolutny hit. Nazwałem go „czechowicką Sagra da Familia”, ze względu na różnorodność fasady, uzyskaną tylko dzięki użyciu różnych wątków cegieł. Także wewnątrz zachwyca, nawiązaniem do sztuki bizantyjskiej.

Od czasu tamtego rankingu w Polsce – w tym także w naszym regionie – powstało mnóstwo kolejnych realizacji, często wybitnych, i gdyby dziś powtórzyć wybór 20 IKON architektury, z pewnością dobór byłby inny.

Nowe widzenie architektury

Przełom XX i XXI wieku to pasmo sukcesów młodego pokolenia górnośląskich architektów, z ich neomodernistycznymi realizacjami, nawiązującymi do śląskiej tradycji. Coraz częściej śląscy architekci zwyciężają w prestiżowych konkursach w Polsce i za granicą. Dziś ton śląskiej architekturze nadaje pokolenie trzydziestokilkulatków, a takie nazwiska, jak Tomasz Studniarek, Małgorzata Pilinkiewicz, Robert Konieczny, Jan Kubec, Damian Radwański, Przemek Łukasik i Łukasz Zagała, Małgorzata Pizio-Domicz, Antoni Domicz, Bartłomiej Nawrocki, Marcin Jójko, Oskar Grąbczewski, Beata Goczoł, Tomasz Konior są już dobrze znane w całej Polsce. Jan Kubec jest

głównym projektantem Centrum Nauki Kopernik w Warszawie, Robert Konieczny już kilkakrotnie był nominowany i zwyciężał w prestiżowych rankingach architektonicznych, takich jak World Architecture Festival czy nagroda Miesa van der Rohe.

Katowice w czołówce

Budynkiem, który zrewolucjonizował architekturę Katowic przełomu XX i XXI wieku, stał się metaliczny gmach banku ING z 2000 r. przy ul. Chorzowskiej, porównywany wielokrotnie do Titanica.

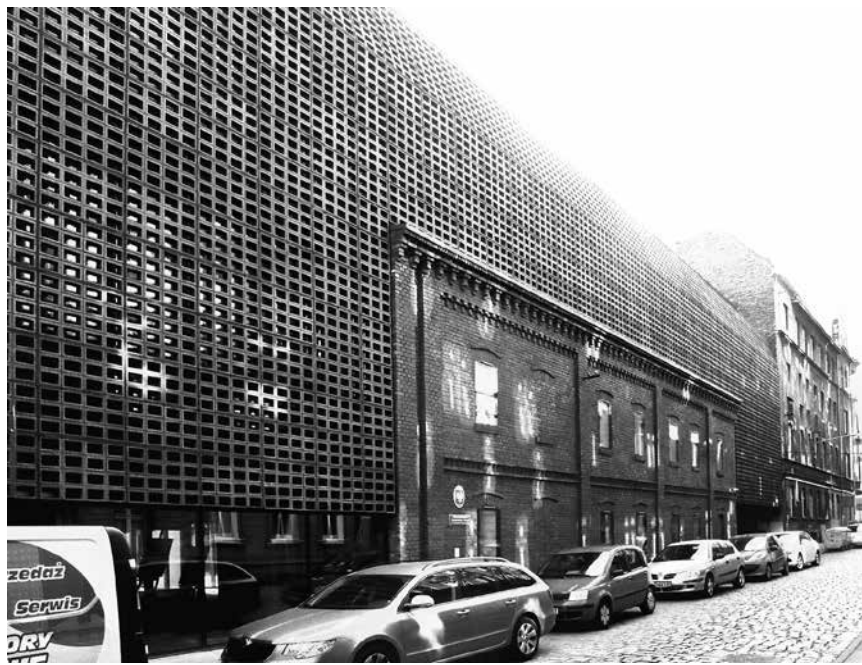
Projekt zrealizowali Denton Corker Marshall Studio i Marek Kubaczka. Podobne partnerstwo pracowni zagranicznej i polskiej widać też przy wieżowcu Altus z 2003 r., projektowanym przez niemieckie biuro Reichel & Staut i katowicką pracownię Arkat Dietera Palety. Swymi szklanymi elewacjami, ujętymi w kamienną siatkę, nawiązuje do najlepszych tradycji światowego modernizmu (np. Lever House Gordona Bundo

shafta czy Seagram Building Miesa van den Rohe w Nowym Jorku).

Kolejnym obiektem dostrzeżonym w skali ponadregionalnej było Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej „Symfonia” (2007), autorstwa Konior Studio, Tomasza Koniora i Krzysztofa Barysza, które dodatkowo Stowarzyszenie Architektów Polskich uznało Budynkiem Roku 2007. Ceglana nowoczesna „Symfonia” znakomicie związała się z sąsiednim neogotyckim gmachem Akademii Muzycznej (1898). Budynek uznany został także Najlepszą Realizacją roku 2007 w województwie śląskim i Najlepszą Przestrzenią Publiczną 2008 r.

W 2012 r. Grand Prix konkursu Stowarzyszenia Architektów Polskich Budynek Roku dostało Centrum Informacji Naukowej i Biblioteka Akademicka (wspólne dla Uniwersytetu Śląskiego i Uniwersytetu Ekonomicznego), autorstwa Dariusza Hermana, Piotra Śmirzewskiego i Wojciecha Subalskiego z pracowni HS99. Doceniono tu niezwykle prostą formę budynku, zarazem bogatą w architektoniczny detal.

Czerwona elewacja, stojąca na miejscu dawnego Torkatu, na trwale wpisała się w architektoniczny krajobraz miasta. Zainicjowany w roku 2012 ranking tygodnika „Polityka”, w którym wypowiada się zarówno jury (architekci, reżyserzy, dziennikarze), jak i czytelnicy, przyniósł laury także wspomnianemu Centrum (CINiBA) – i to obydwu gremiów. Nie zawsze tak jest. W 2015 r. nagrodę jury zdobył budynek Muzeum Tadeusza Kantora i siedziby Ośrodka Dokumentacji Sztuki Tadeusza Kantora „Cricoteka” z Krakowa, zaś Grand Prix czytelników – siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach. W 2015 r. bezapelacyjnie zwyciężyło katowickie Międzynarodowe Centrum Kongresowe, projektu pracowni JAMES Architekci, a w 2018 r. jury uhonorowało siedzibę Wydziału Radia i Telewizji Uniwersyte-



Siedziba Wydziału Radia i Telewizji Uniwersytetu Śląskiego, Katowice



Międzynarodowe Centrum Kongresowe, Katowice

tu Śląskiego przy ul. Pawła w Katowicach, zaprojektowaną przez polsko-hispańską ekipę: BAAS Arquitectura i Grupa 5 Architekti. Budynek doceniono za wkład w rewitalizację przestrzeni śródmiejskiej, która akurat w tym miejscu Katowic pozostawia wiele do życzenia. Projektanci umiejętnie wkomponowali go w starą, XIX-wieczną zabudowę i wykorzystali w jego elewacji fragment ceglanej fasady typowego śląskiego „familoka”.

Współczesna architektura Katowic to nie tylko budowle reprezentacyjne, siedziby urzędów i instytucji. To także domy mieszkalne wiele – i jednorodzinne. Właśnie katowickie Osiedle Książęce, autorstwa katowickiej pracowni AIR Jurkowski Architekci, zostało wyróżnione Nagrodą Roku 2010 SARP. Podobnie, jak wepchnięta między ulicę Dębową a Sportową dwubudynkowa plomba, autorstwa Biura Projektów Architektonicznych Jana Pallado i Aleksandra Skupina, która znalazła się wśród 25 najlepszych realizacji 2010 r. w rankingu World Architecture News.

Strefa Kultury w Katowicach

Czymś zupełnie wyjątkowym stała się Strefa Kultury w Katowicach. Tę przestrzeń publiczną na terenie dawnej kopalni węgla kamiennego „Katowice” („Ferdinandgrube”) tworzą trzy nowoczesne obiekty. W kolejności oddawania do użytku są to: Muzeum Śląskie (2014), siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia (2014) i Międzynarodowe Centrum Kongresowe (2015). Uzupełnieniem budowli są eleganckie alejki, place zabaw dla dzieci, amfiteatr oraz miejsce na pikniki.

Muzeum Śląskie proj. Riegler Riewe Architekten, zlokalizowane częściowo w rewitalizowanych obiektach po kopalni „Katowice”, zostało oddane do użytku w 2014 r. Jego symbolem są „szklane domy”, czyli świetliki, doprowadzające światło do podziemnych ekspozycji, bowiem wystawy stały i magazyny umieszczono na kilku kondygnacjach pod ziemią – jak na kopalnię

przystało. Architektura Muzeum Śląskiego została dostrzeżona przez środowisko architektów województwa śląskiego, które przyznało mu Grand Prix w konkursie Architektura Roku 2014 (organizowanym od 1993 r. przez Oddział Śląski SARP i Wojewodę Śląskiego).

Choć w innej estetyce i kolorystyce, siedziba Narodowej Orkiestry Symfonicznej Polskiego Radia w Katowicach doskonale współgra z industrialno-szklaną zabudową Muzeum Śląskiego. Budynek NOSPR zaprojektował zespół Tomasza Koniora, znanego śląskiego architekta, który miał już na koncie tego typu realizacje (m.in. dla Akademii Muzycznej w Katowicach zaprojektował Centrum Nauki i Edukacji Muzycznej „Symfonia”). Budynek łączy najwyższej jakości akustykę (japońska firma Nagata Acoustics) z piękną architekturą, nawiązującą do tradycyjnej architektury górnośląskich „familoków” z czerwonej cegły, z czerwonymi obramowaniami okien – jak np. na katowickim Nikiszowcu).

Strefę Kultury uzupełnia budynek Międzynarodowego Centrum Kongresowe, zaprojektowane (o czym już pisałem) przez warszawską pracownię JEMS Architekci (m.in. Lotnisko Chopina, kościół Opatrzności Bożej w Warszawie, Muzeum Historii Polski).

Duża bryła budynku została rozcięta szerokim, tarasowo schodzącym, zielonym kanionem, tzw. „Zieloną Doliną”, w której

powstało otwarcie na sąsiedni Spodek oraz piesze przejście. Zielone schodki stały się popularnym miejscem spotkań. W 2016 r. niezależne od siebie rankingi Stowarzyszenia Architektów Polskich oraz tygodnika „Polityka” (i jury, i czytelników) uznały go za najlepszy obiekt roku 2015.

Nie tylko Katowice: Żory i Brenna

Także poza Katowicami spotkamy przykłady nowoczesnej, ekspresyjnej architektury. Jednym z nich jest Muzeum Ognia w Żorach. Niewielkie muzeum stanęło przy drodze wjazdowej do miasta, które do tej pory nie kojarzyło się w Polsce z niczym fascynującym. Pomysł na zbudowanie tu niewielkiego, ale wyrazistego w formie muzeum miało nieco zmienić ten wizerunek i stać się znakiem rozpoznawczym i symbolem Żor. Dzięki dobremu projektowi biura OVO Grąbczewscy Architekci ten plan się udał. Powstał budynek ciekawy, fantazyjny, nieco nawet szalony, ale stylowy, nie ocierający się o efekciarstwo czy kicz. Lśniące elewacje z surowej miedzi i nieregularny układ bryły budynku mają jednoznacznie kojarzyć placówkę z ogniem, którego działywanie szczególnie dotkliwie dotknęło Żory (11 maja 1702 r. miasto doszczętnie spłonęło i od tego czasu rokrocznie na pamiętkę urządzone są procesje ogniowe).

Budynek Muzeum został nominowany w 2016 r. do nagrody im. Miesa van der Rohe, najważniejszego wyróżnienia Unii Europejskiej w dziedzinie architektury współczesnej, a w 2017 – do nagrody German Design Award 2018.

Na południu województwa, w Brennej, wśród zielonych wzgórz Beskidu Śląskiego tkwi Arka – dom własny arch. Roberta Koniecznego (Pracownia KWK Promes). Ma kształt niezwykły – położony na stoku góry sprawia wrażenie, jakby płynął po łące. Nietypową formę wymusiły częściowo warunki działki, jednak to przede wszystkim wyobraźnia architekta pozwoliła utrudnienia przerobić na walor i zamienić w niezwykłą, niespotykaną bryłę. Arka Koniecznego zdobyła tytuł najlepszego domu 2016 r. w prestiżowym konkursie organizowanym przez magazyn Wallpaper. Nawiasem mówiąc, inny projekt Roberta Koniecznego – Centrum Dialogu „Przełomy” w Szczecinie – otrzymało Grand Prix Nagrody Architektonicznej „Polityki” za 2016 r. ■

Sprostowanie

Redakcja miesięcznika społeczno kulturalnego „Śląsk” przeprosza Pana Edwarda Wieczorka za pomyłkę jako nieintencjonalnie wkradła się do artykułu opublikowanego w styczniowym wydaniu miesięcznika.

Autorem tekstu artykułu opublikowanego w numerze 1/304 w styczniu 2021 na str. 52- 55 miesięcznika „Śląsk” pod tytułem *Wąskotorówką przez Śląskie* jest Pan **Edward Wieczorek**.

Naszego Autora i cenionego Współpracownika oraz PT Czytelników bardzo serdecznie przeproszam.

Tadeusz Sierny
Redaktor Naczelny



„Dom z Ziemi Śląskiej”, Katowice



Arka – dom własny architekta R. Koniecznego, Brenna



Śląskie tajemnice cz. 35

Pałac w Daszowie

JULIA MONTEWSKA

O pałacu w Daszowie świat dawno zapomniał, zapomnieli również ci, którzy z racji piastowanych urzędów pamiętać powinni i obecnie obiekt ten żyje jedynie w umysłach pałacowych łazików, którzy przemierzają Polskę w wyszukiwaniu ginących rezydencjonalnych zabytków.

Pałacowy świat to uniwersum pełne wspomnień, niespełnionych fascynacji i magii, to dzieje rodów, a niekiedy całych pokoleń, zaklęte w kamieniu. Pałace to także wizytówka dawnych mistrzów, architektów, projektantów, którzy wznosząc te unikatowe dzieła prezentowali swój kunszt, dając jednocześnie upust swojej fantazji. Spoglądając na nie, można odnieść wrażenie, że ta ostatnia nie była niczym skrępowana, nie było kopiowania czy podpatrywania, a jedyne ograniczenia narzucała zasobność kieszeni fundatora danego obiektu i architektoniczne trendy panujące w danej epoce. Jakby na to nie spojrzeć – dwóch jednakowych obiektów nie spotkamy.

Być może pałac w Daszowie nie grzeszy wyszukaną formą, być może sama bryła obiektu nie rzuca na kolana – jednak szczypta baroku, jaką dodano około 1734 roku za sprawą wzniesionego od wschodniej strony ryzalitu nadała obiektowi niepowtarzalny charakter. Tak na dobrą sprawę to ten wolutowy ryzalit z całej budowli okazał się elementem ponadczasowym, dziś, gdy z daleko posuniętej agonii pałacowej bryły wystają jedynie nadgryzione zębem czasu kominy, a przez okienne oczodoły spogląda wścibska i wszędobylska roślinność, ryzalit góruje nad kikutami ścian. W XVI wieku Daszów należał do rodu Lassote. Prawdopodobnie ta rodzina zapoczątkowała budowę rezydencji w tym miejscu, niektóre źródła wskazują na to, że był to dwór obronny, jednakże spreczne przekazy mówią, że pierwotny renesansowy dwór ufundowała w Daszowie rodzina von Tschammer dopiero na początku XVII wieku. Georg Ernst von Tschammer pałac poddał znaczącej przebudowie w latach 1727–1729 jednak nad finalnym wyglądem budynku pracowano do 1735 roku, by w efekcie uzyskać założenie złożone na planie litery L, dwuskrzydłowe, dwu – i trzykondygnacyjne z wejściem głównym od wschodu, w parterowym ryzalicie

z kolumnowym portalem i szczytem z pilastrami i spływami. Budowle nakryto dachami dwuspadowymi z powiekami. W rękach rodziny Tschammerów pałac pozostawał do 1784, kolejnymi właścicielami byli von Lieres i von Adelstein; ci ostatni zbyli włości w Daszowie ekonomowi Carlowi Friedel. W 1886 majątek przeszedł w posiadanie królewskiego konsula hiszpańskiego Helma, jednak kroniki wskazują, że konsul niedługo cieszył się posiadłością i po kilku latach sprzedał majątek Gerhardowi Kiehn. Rok 1906 przyniósł nowego właściciela pałacu, obiekt nabył Harald Graf von Saurma, Freiherr von und zu der Jeltsch. W latach trzydziestych XX wieku przejęło go Śląskie Towarzystwo Ziemskie z Wrocławia (Schlesische Landgesellschaft Breslau).

Ostatni remont rezydencja przeszła w latach w latach 1898–1906. Proces degradacji obiektu nastąpił jeszcze przed wybuchem II wojny światowej i o ile ta nie odcisnęła na nim swoje go piętna i pozwoliła mu wyjść z pożogi wojennej bez większego szwanku, to w późniejszych latach brak pomysłu na zagospodarowanie doprowadził pałac do agonii. W 1946 roku budynek należał do Kuratorium Okręgu Szkolnego Wrocław i tylko w części obiektu utworzono szkołę, reszta jako niewykorzystana z dnia na dzień padała w ruinę. Rok przed wpisaniem pałacu do rejestru zabytków jego stan zachowania szacowano na 70 procent. Wpis nastąpił 5 października 1960 roku uwzględniając „pałac (nr 39), z lat 1547–63, 1729–35, 1898–1906, nr rej.: A/3720/771”. Był to jednak pusty gest, bo destrukcja i proces demolowania pałacu trwał nawet podczas istnienia w nim szkoły, w 1977 roku wypruty budynek zamknięto na głucho, co prawda obiekt posiadał jeszcze dach, ale Urząd Gminy Jemielno nie widział dla niego zastosowania. W wolnej Polsce lat 90. pomimo powiewu odnowy, zmian i nowych rodzących się z dnia na dzień możliwości rezydencja wciąż przechodziła kolejne etapy resekcji wszystkiego, co w jej wnętrznościach zostało. Sława wielkich rodów przebrzmiała, okrutny czas rzucił pałac na kolana, a XXI wiek zamiast ofiarować prywatnego właściciela okazał się katem zawalając stropy i oddając obiekt we władanie roślinności.



foto: Julia Montewska

To, co w tej chwili możemy zaobserwować jest już końcem, to finałowe odliczanie przed kolejnym aktem nim nie liczne ocalałe stropy piętra dotkną parteru. Ponadczasowy okazał się fantazyjny barokowy ryzalit, lektura obowiązkowa każdego pałacowego pstrykacza zdjęć – bo któż odwiedzający pałac nie zaczął sesji od niego? Ryzalit to też portal do innego zapomnianego świata, kamienne zaokrąglone granitowe schody od wieków były głównym szlakiem komunikacyjnym, łącznikiem pięknych pałacowych wnętrz ze światem zewnętrznym. Z tych ostatnich niewiele zostało, trochę przepięknej sztuki i niewielka ilość polichromii, która po latach ponownie wyłania się spod płatów odpadającej farby. Tylko wiatr zawodzący w wybitych oknach, zarwanych stropach i rozbitych na przestrzał ścianach, oznajmia, że to on obecnie jest panem na włościach w Daszowie, nucąc swą smutną melodię zagłada tam, gdzie już żaden śmiertelnik nie zajrzy, bo to, co chwytą w swe szpony czas, po latach staje się śmiertelnie niebezpieczne. ■

Julia Montewska — inicjatorka powstania fundacji ochrony zabytków dolnego śląska „Vestigium”, regionalistka, pasjonatka ruin, miłośniczka zabytków oraz architektury obronnej i przemysłowej Dolnego i Górnego Śląska, twórczyni internetowego portalu Łowcy Historii, publikuje w miesięczniku „Odkrywca”.

Krwawa Kaśka (fragment)

JULIUSZ WĄTROBA

Idę do Krwawej Kaśki z lekkim drżeniem serca, bo co jak i tym razem też jej ręka nagle a niespodziewanie zadrży? Ale chyba nie, bo przecież strzyże już dziesięciolecie, nabrała rutyny i wprawy, a poza tym ja nie jestem tak zacnym i wyjątkowym klientem, jak swego czasu nasz przewielebny. Nie mam też innego wyjścia, bo łeb mi zarósł siwymi kłakami, a choć przecież wygląd nie świadczy o człowieku, człowiek świadczy o wyglądzie. Nie chcę więc dłużej straszyć dzieci i wysłuchiwać marudzeń wiecznie niezadowolonej żony na temat tego, jaki to jestem beznadziejny, niezaradny, nieatrakcyjny i właśnie nieostrzyżony, jaki fletuch i gnój (naprawdę tak o mnie i do mnie mówi!), a tak dobrze jej się trafiało, że aż do dzisiaj się sobie dziwi, że wybrała na nieszczęście właśnie mnie. Ja, mówiąc szczerze, też jej się dziwię, i podziwiam, bo przecież mogła zostać żoną przystojnego właściciela szklarni, który takie piękne chryzantemy uprawiał, że tylko żal, iż Wszystkich Świętych jest jeden raz w roku. Mogła być żoną policjanta, który wprawdzie inteligencją nie grzeszył, ale za to pałą zgrabnie operował i nawet miał ukończony kurs samoobrony! Mogła zostać żoną bogatego stolarza, ale, że była nieco strachliwa, też zrezygnowała, bo stolarz, któremu się podobała, robił wyłącznie trumny... Została więc moją żoną. Aż mnie dziw bierze, że ta piękna i zaradna kobieta zdecydowała się na taką nędzną kreaturkę, wyglądającą jak wyrośnięty nieco krasnoludek i skrzyżowanie wkurwionego puchacza z małpką kapucynką. Ale cóż – ma się tę wartość dodaną w postaci bliżej nieokreślonych zalet, które sprawiają, że kobiety lgną do mnie jak muchy na lep... I sam się sobie dziwię, i nie pojmuję motywów tych kobiet młodszych i starszych, które gdyby mogły, to by na mnie wylazły. Dlatego nie dbam o swój wygląd, noszę siwą brodę i najgorsze szmaty z lumpeksu. Ale to nic nie daje... Co ja w sobie takiego mam?

Idę więc do Krwawej Kaśki, rozmyślając o tym i owym. Właśnie przechodzę obok niepozornego budyneczku, znowu do wynajęcia, w którym żaden biznes, nie wiedzieć czemu, dłużej nie zagrzewa miejsca. Czy jakaś czarownica zauroczyła ten położony w atrakcyjnym miejscu, w samym centrum wsi lokal, z którego najbliżej do knajpy i do sklepów rozmieszczonych w dawnych stajniach miejscowego pana, i do ośrodka zdrowia, i do kościoła...? Nawet pierwsze we wsi solarium zbankrutowało szybciej, podobnie jak „salon fryzjerski”, który miał być konkurencją dla Krwawej Kaśki, i to konkurencją na wyższym poziomie. Może zgubiło go ociekające pychą określenie „SALON FRYZJERSKI”, a jak wiadomo, pycha kroczy tuż przed upadkiem, co z lubością głoszą nasi niewiedzeni politycy, sami pełni pychy. Ów salon miał wymiary trzy na dwa metry, więc mógłby chociaż reklamować się jako „salonik”, albo „izdebka fryzjerska”, czy też „klitka do strzyżenia”, ale nie – u nas megalomania kwitnie i rozwija się wszędzie, jak piosenkowy rozmaryn. I w metropoliach, i na wszelakich zadupiach. Kosmetyki też się nie sprawdziły. Karma dla zwierząt także. Nawet mini skład trumien, wytwarzanych przez owego stolarza, który miał uszczęśliwić moją przyszłą żonę, splajtował, choć ksiądz proboszcz, z doszytym zgrabnie uchem, poświęcił go z honorami. A choć ludziska dalej systematycznie umierają, rodziny nieboszczyków, jak na złość, kupują ostatnie pudełka w mieście zamiast u siebie... Ale tak to już jest, w myśl strawestowanego delikatnie porzekadła: „cudze trumny chwalicie, swoich nie znacie, sami nie wiecie, w czym się kłaść macie...”. Podobno ostatnio znalazł się nowy chętny do wynajęcia chatenki i ma tu powstać „salon masa-

żu erotycznego”. Pewnie jednak też splajtuje, bo nasze chłopiska woła być masowane w domach, poza salonami i zupełnie gratisowo! A jeśli już na łonie natury, to najwyżej przez rozochocone kochanki, którym w głowie amory, a nie pieniądze!

Wlokę się do Krwawej Kaśki z nogi na nogę, jak zbity pies, albo wykastrowany kocur, co to jeszcze mleka się napije, ale mruzcąc już nie za bardzo chce, a o łowieniu myszy zapomniał... Właśnie przechodzę koło knajpy, o wdzięcznej nazwie „Bar pod Zamkiem”. Po drugiej stronie drogi znajduje się ów zamek, a właściwie dwór panów, właścicieli naszej wsi, który ani zamku, ani dworu na pierwszy rzut oka nie przypomina. Jest to prostokątny, piętrowy budynek – teraz się już rozlatująca zwolna rudera – ale gdy się wejdzie do środka, niemal gotyckie sklepienia, łuki, okna i metrowej grubości ściany świadczą niezbitcie o tym, że budynek liczy kilkadziesiąt lat. Ktoś wrażliwy może o tym usłyszeć w szumie liści czterowiekowej lipy, która stoi tuż obok głównego wyjścia i szczęśliwie przeciwstawiła się naporom wiatrów, burz i nawałnic wojennych oraz siekierom i piłom współczesnych troglodytów, którzy nie mieli litości i wycieli do pnia lipy tuż przy stawie, który został przemieniony w prozaiczny parking. Po wojnie był tu ośrodek zdrowia, gdzie kulejąca pielęgniarka Fónioczka wbijała mi w pupę pierwsze i kolejne zastrzyki, a robiła to tak niewprawnie, że do dziś na widok białego fartucha dostaję drgawek i urojony ból rozrywa grubą igłą moje grzeszne ciało. To było na parterze, bo na piętrze, na które wchodziło się po krętych drewnianych schodach, znajdowało się królestwo dentystry... Już nawet nie wspominam, jakiego sadysty...

Ładna ta nazwa: „Bar pod Zamkiem”, bo łączy tradycję ze współczesnością. Ktoś to zgrabnie wymyślił, ale nazwa się nie przyjęła, bo już pierwszy wieczór w nowo otwartym lokalu był burzliwy: zakończył się ogólną bijatyką, porozwalanymi łbami i roztrzaskanymi na tych łbach kuflami; powywalanymi stolikami z powyłamywanymi nogami, którymi to nogami (nie mylić z fikającymi nogami piszczących dziewczuch) rozochocone bractwo wymierzało sobie niesprawiedliwie sprawiedliwość. Istna sodomia z gomorią! Nie było innego wyjścia, jak tylko wezwać w trybie natychmiastowym milicję (wtedy jeszcze, miast współczesnej, wyswięconej i cnotliwej policji, to nie-dobrzy milicjanci pilnowali porządku), która długimi pałami zgrabnie i sprawnie przywróciła porządek w „Barze pod Zamkiem”, który od tamtej epokowej chwili nazywany jest, na wieczną pamiątkę, adekwatnie do wydarzeń mających tam miejsce „Barem pod pałą”, w skrócie „Pod pałą”. I nikt już nigdy nie użył pięknej nazwy „Bar pod Zamkiem”, bo mówiąc szczerze zamek, obok którego stoi nasz słynny już bar – jak wcześniej zauważyliśmy – też miał niewiele wspólnego z zamkiem, choć w mrocznej piwnicy zachowała się jeszcze ława, do wymierzania chłosty niesfornym chłopom, a tajemnicy i grozy dodawał zaczynający się tam tunel, który wiódł ponoć do oddalonej o kilometr leśnej kapliczki św. Wendelina. Przez ten tunel włodarze mogliby uciekać, gdyby miał się wydarzyć jakiś „zajazd na Rudzicę”. Ale wejście do tunelu zasypane, zamek się rozsypuje, a jego nędzne pozostałości zamieszkują miejscowi menele i nieudacznicy. Jest jednak światełko w zasypanym tunelu: podobno ktoś chce kupić zamek i go odrestaurować. Czyli może będzie nowy pan, który pójdzie w tan?

Zresztą nazwy w mojej wsi są w ogóle nie za bardzo udane. Na przykład piękną dolinę, gdzie lasy, łąki i stawy przodkowie nazwali, do dziś nie wiedzieć czemu, „Piekłem”! Może baby

były tam istnymi diabolicami? Może chłopcy za bardzo palili się do tych diabolic? Może... A przecież mogli na przykład nazwać ten urokliwy zakątek „Rajską Doliną”, albo „Przedsionkiem Raju”. To nie – jak na złość, (komu, się pytam?) – ochrztili zielone ustronie „Piekłem” zamiast jak wszyscy od pokoleń drzeć na dźwięk tego słowa. Najśmieszniej bywało, gdy pleban, już z dwoma odstającymi uszami, zapowiadając kolędę, grzmiał z ambony:

– We wtorek zaczynamy, nawet nie wiem jak to straszne słowo wypowiedzieć, w Piekło!

Pieklił się więc i nadywał straszliwie i jedynie świadomość, że kolęda, nawet ta w feralnym „Piekło” przyniesie niezmiernie wymierne konkrety w postaci obrzydliwej mamony, tłumiła i łagodziła zbożny, duszpasterski gniew.

Ludziska uśmiechały się pod wąsami, a barokowe aniołki zasłaniały wstydlive lipowe uszeta, słysząc to straszne słowo. Zresztą z aniołkami to też dziwna sprawa, bo, o ile z tymi puchatymi, pulchniutkimi, z widoczną nadwagą i przekarmionymi jest wszystko w porządku, to dojrzałe anioły, strzegące ołtarza są bardzo kontrowersyjne. Anioły jawiły mi się onegdaj jako idealne, bezpłciowe, boskie istoty, a te nasze, to typowe anieli-cie, z niewiściami biustami i to w dodatku bez staników! Brrr...

Wróćmy jednak do naszego Piekła. Zacny pleban już dłużej nie mógł zdzierżyć strasznej i iście piekielnej nazwy przepięknej dzielnicy spolegliwej parafii, w związku z czym wyszedł przed grzeszny, choć na szczęście jeszcze wierzący lud z propozycją nie do odrzucenia: by owo cudowne miejsce, nie zasługujące na tak piekielną nazwę, przechrzcić na „Dolinę św. Wendelina”, co to przycupnął w kapliczce znajdującej się tam nad cudownym źródłem. W źródle tym płynęła woda o tak cudownej skuteczności, że nawet przywróciła zdrowie jednemu Żydowi (jak zaświadcza prawdziwe kroniki parafialne), który się tam przypadkowo przyplątał. Ale nici wyszły z tej legislacyjnej, jakże słusznej, propozycji farorza, bo choć za-

mieszczono, na finezyjnie poskręcanym bukowym słupie, tabliczkę, głoszącą wszem i wobec, że tu jest „Dolina św. Wendelina”, ludziska, jak na złość, uparcie, na pytanie:

– Gdzie idziesz?

odpowiadali jednoznacznie i bez niedomówień:

– Do Piekła!

– A gdzie jest kapliczka, z tą cudowną wodą? – pytał rowerowy turysta.

– Jak to gdzie, o tam, w Piekło! – odpowiadało zaczepione nawet kilkuletnie dzieciątko tzn. chciałem powiedzieć diabłątko.

Bo też ludziska nadal ufali wiekowym, austriackim mapom wojskowym, gdzie jak byk stoi, że to „Piekło” a nie jakaś tam „Dolina św. Wendelina”. Zresztą święty nie miał akurat z tą nie świętą nazwą nic wspólnego, bo się tu przyszwendał, przez Niemcy z dalekiej Irlandii, gdzie ponoć był księciem, który porzucił ułudę tego świata pod postacią dobrobytu wszelakiego i przebrał się w łachmany, by pielgrzymować po świecie, głosząc Słowo Boże. Aż dotarł do nas i spoczął w rudzickim lesie, popijając wodę, która za Jego wstawiennictwem stała się cudowną.

A mówiąc szczerze i najpoważniej, to się zastanawiam, czy ludzie z „Piekła” nie idą bezpośrednio do nieba w nagrodę za to, że cały żywot na ziemi spędzili już awansem w „Piekło”?

Podążam po raz pierwszy do mojej, mam nadzieję, już stałej fryzjerki. Bo czas się na stare lata ustatkować, przynajmniej w temacie strzyżenia. I doszedłbym tam pewnie ze spokojem, a nawet godnością osobistą, gdyby nie te wiekowe drzewa... Już właściwie nie drzewa, a ich doczesne żalodne szczątki, leżące pokotem przy drodze, po masowej rzezi. Drzewa, wołające o pomstę do nieba, o jasny piorun, który winien walnąć w te ograniczone łby, od których zależało życie wymienionych roślin – niewinnych, spolegliwych, dających ptakom gniazda, pszczołom lipowy nektar, ludziom tlen i cień z tą jedyną ziele-



for arch.

„Zamek” w Rudzicy

nią, jak dalekie wspomnienie utraconego raj. Ale piorun nie walną w niczyj zakuty łeb! Niebo i tym razem nie było zbyt rychliwe i sprawiedliwe! Świeże pnie jeszcze zanoszą się żywicznymi łzami, zdeorientowane ptaki z rozpaczy wyrwywają piórka, szukając nadaremnie gniazd... Boli mnie, naprawdę, serce i taki mną zawładnął bezgraniczny smutek, który miesza się z najstraszniejszymi przekleństwami, rzucanymi bezsilnie w bezmózgowców, bez wyobraźni, bez sumienia, którzy sami sobie kręcą powrozy na grube szyje... I to nie tylko w mojej wsi, ale w każdym miejscu tego, coraz mniej pięknego, kraju, gdzie króluje duch nieszczyśnych włodarzy tego świata, czyniących sobie ziemię, nie, nie poddaną, ale wyrżniętą, wyjałowioną, biedną, pozbawioną tego piękna, którego żadna namiastka nie zastąpi... Ten Zły Duch królował jeszcze zanim się pojawili na chorej politycznej scenie osobnicy, którzy przyzwalają na to barbarzyństwo oraz jeszcze większe spustoszenie, którego nie przytuszują akcje sadzenia rachitycznych drzewek. Trzeba będzie czekać kilka pokoleń, by zaszumiały liśćmi, by z rozłożystych koron usłyszeć śpiew ptaków, brzęczenie owadów – jeśli przetrwają... I to wszystko, co jeszcze zostało, jest we władaniu Ministra, jak na ironię, Środowiska, który powinien się zwać Bezkarłym Ministrem Mordowania Środowiska. Wszak własnorośnie morduje zwierzątka, bo jest także, a jakże, myśliwym... Jakie to dziwne i smutne, że nie potrafimy zadbać o swoje największe bogactwo narodowe i musza to za nas robić urzędnicy z Komisji Europejskiej i Trybunału Sprawiedliwości... Jęcza więc i płaczą żywicznymi łzami drzewa, których już nie ma, a ja razem z nimi za nimi...

Już ledwo człapię, zdruzgotany widokiem zwłok lip, dębów, jesionów i akacji. O mało co, a zderzyłbym się z pogwizdującym wesoło byłym górnikiem Kleofasem (kto mu dał takie idiotyczne imię?), któremu pewnie tak wesoło, bo taki młody, zaledwie czterdziestka na karku, a już na górniczej emeryturze i jeszcze bezczelnie dorabiający na boku, czego nie mogą mu wybaczyć (tej wysokiej emerytury w tak młodym wieku i jeszcze dodatkowej pracy, za którą też bierze forszę, o zgrozo!, zajmując miejsce komuś, który nie miał tyle szczęścia i nie został górnikiem, pracującym jako elektryk na dole i czekającym z utęsknieniem, aż zdarzy się jakaś awaria, by ruszyć dupą i coś zrobić!).

– A cóżes taki zamyślony i markotny? – zaczepia.
– Lepiej się nie pytaj... Widziałeś te dziesiątki właśnie co wyciętych drzew?
– Widziałem – opowiada rzeczowo.
– No i co? – pytam.
– No i bardzo dobrze, bo się zaraz jaśniej zrobiło! I będzie bezpieczniej dla kierowców!

Ręce i inne członki, łącznie z głową, mi opadły. Ludzka głupota i krótkowzroczność nie ma granic! Ani moralności, ani przyzwoitości, ani żadnych innych... Tak, że mi się nawet nie chce iść do Kaśki z moim kosmatym łbem... Ale idę, bo muszę...

Już widzę domek, a nad drzwiami dumny napis, który to może sprawił, że Krwawa Kaśka już tyle lat funkcjonuje, mimo fatalnego falstartu z księgowym uchem, bo w tle i na pierwszym planie stoi: „FRYZJER DAMSKI I MĘSKI”. „A czemuż jeszcze nie NIJAKI i DZIECINNY?” – zastanawiam się pod wąsem i brodą, które też się proszą o radykalne koszenie. Nad napisem, na solidnej sklejce, namalowane olejną farbą, acz prymitywnie przez miejscowego Nikifora, nożyczki skrzyżowane z grzebieniem, a pod czerwonym napisem (by rzucił się w oczy z daleka potencjalnym klientom) jakby na podkreślenie „fryzjera damskiego i męskiego” domalowana rozłożona... brzytwa! To ostateczny atrybut wsiowego fryzjerstwa!

Kaśka prawdopodobnie siedziała przy oknie, bo jeszcze nie zdążyłem otworzyć wystylizowanej na barokową furtki z groźnym napisem: „Dobiegam do bramki w 5 s., a Ty?” i pyśkiem owczarka niemieckiego z wielkimi kłami, jak u wilczyńska w „Czerwonym Kapturku”, a już uśmiechnięta od ucha do ucha-cha-cha... wybiegła mi na spotkanie:

– Proszę bardzo, pięknie zapraszam... Już bym się prędzej śmierci spodziewała niż ciebie. Zdążyłam się zestarzeć, a ty dopiero pierwszy raz ześ się do mnie pofatygował – wita mnie serdecznie, wprawdzie nie chlebem i solą, ale też miło. Przyglądam jej się z bliska. Rzeczywiście, miała rację, bo postarzało się babsko, oj postarzało. Pomarszczona jak jabłko na przednówku, no i przytyło jej się, oj przytyło tak, że jest o „urodzie baleronu”, jak mój znajomy profesor literatury z Kołobrzegu mówi o paniach podobnych gabarytów i kształtów, które ma wątpliwą przyjemność podziwiać na nadbałtyckiej plaży. Na szczęście Kaśka jest kompletnie ubrana...

– Chodź, chodź dalej – zachęca serdecznie – już na ciebie czekam.

Wchodzę za właścicielką do suteryny, która pełni zaszczytną funkcję fryzjerskiego królestwa – co do tego nie ma najmniejszej wątpliwości: na ścianach kolorowe fotografie atrakcyjnych pań z fryzurami modnymi kilkadziesiąt lat temu, ale najważniejsze duże lustro, a przed tym lustrem krzesło, a obok tego głównego krzesła drugie, gdzie sadza się delikwentki, by im (jak przypuszczam) umyć przetłuszczone łebki w specjalnie wyprofilowanej umywalce z wcięciem na szyję.

W kącie półeczka z jakimiś niezbędnymi kosmetykami, a pod ścianą kilka archaicznych krzeseł, ławka i zabytkowy wieszak. Ot i wszystko. Choć właściwie nie wszystko. Bo najważniejsza, prócz tych wymienionych wyżej dodatków, jest specyficzna atmosfera i temperatura tego wyjątkowego przybytku, tworzona przez naszą Kaśkę...

– Siądź sobie Julku – zachęca, więc siadam wygodnie, myśląc naiwnie (jak się chwilę później okazało), że Krwawa Kaśka zajmie się natychmiast moim owłosieniem. Ale nic z tych rzeczy, bo domorośla fryzjerka obróciła fotel ze mną w stronę drugiego krzesła (tego, w które wsadzała babsztyle z brudnymi kłakami do umycia), przysuwając go dyskretnie w moją stronę. Zajęła w nim wygodnie miejsce i się zaczęło:

– Fajnie, że ześ przyszedł. Tyś przecież z moim Mańkym chodził to jednej klasy. Mówił mi, że z ciebie to był taki krasnoludek!

– No i wiele się nie zmieniłem...

– Tak, tak, tylko ześ posiwił, biedaku, i postarzał się...

– Tylko się nad mną tak nie rozczulaj, bo przecież jeszcze nie jest tak źle!

– Tak, tak, masz rację, bo jeszcze ruszasz nożyskami...

– I ty też.. I się nie wymądrzaj, bo ześ jest tylko o kilka lat młodsza – próbuję się jej odgryźć.

– Dobrze, już dobrze, nie musisz się denerwować, bo ja tylko tak, żeby jakoś zacząć. Ale sam powiedz, Julku, jak ten czas szybko leci?

– No leci, leci, ale co zrobić?

– Już coraz bliżej do Świętego Piotra... – tu się nabożnie przeżegnała.

– Tak, tak to jest, i człowiek się pobożniejszy robi, bo już grzeszyć się nie da...

– No to mamy czas, żeby się zdążyć poprawić, i do kościoła chodzić i w ciągu tygodnia, a nie tylko w niedzielę.

– No to mamy pretekst, bo rekolekcje się zaczęły...

– Wiem, wiem, byłam już dwa razy, ale ci powiem, że się mi ten ostatni rekolekcionista wcale nie podoba! I słyszałeś jak się nazywa: Piłat! A mógł się inaczej nazywać, bo nazwisko przecież można zmienić, tego Piłata na coś bardziej katolickiego, świętego. No bo jak to tak: o Panu Jezusie mówi Piłat? To się nie godzi! I może jeszcze ręce umywa? I takiego wpuścili do seminarium?! I sobie przyjeżdża przed Wielkim Tygodniem i mówi do nas, jak do jakiś głuptasów!

– Czemu jak do głuptasów?

– No to ześ, pokrako, nie był na nauce i ześ nie słyszał, jak opowiadał o tej kobiecie, co to niby była taka chora i wezwała go do siebie z Panem Jezusem, a jak przyszedł, to mu każała, żeby sobie jeszcze pół godziny zaczekał w sieni, bo musi skończyć oglądać najnowszy odcinek „Na wspólnej”. No i po-

wiedz mi, Julku, jak ty sobie myślisz: czy on, ten Piłat, to wymyślił, czy tak naprawdę było?

– Powiem ci Kaśka, że tak mogło być, bo to nie jest znowu nic takiego, a przecież wiesz, że dla wielu kobiet, te seriele są ważniejsze niż żywot wieczny! Zresztą moja babcia Jadwiżka też robiła podobne numery, ale wtedy jeszcze telewizorów, a tym bardziej głupkowatych seriali nie było. Ej... Gdyby to dzisiaj żyła moja babcia, to byłaby (za to ręczę moją jeszcze nie ostrzyżoną głową) jedną z najbogatszych Polek, bo głowę miała do interesów, że ho, ho! I miała tego świadomość. Sama, bez zbytej skromności, ale z wrodzonym poczuciem własnej wartości, powtarzała nieraz pukając się kościstym palcem wskazującym znacząco w czoło:

– Tej głowy bydzie szkoda zakopać!

Ale nie o tym chciałem mówić, tylko nawiązać do tego Piłata...

– Tego co to umył ręce i wydał Pana Jezusa grzesznym Żydom na ukrzyżowanie!?

– Nie, nie Kaśka, o tym Piłacie rekolekcjoniście, co musiał pocześć z Panem Jezusem i z sakramentem namaszczenia chorych aż się skończy serial...

– Acha, to tak mów, bo już zdążyłam zapomnieć...

– Bo ta mają babcia Jadwiżka, jak się źle poczuła (a mała wahanie nastrojów i samopoczucie niemożliwe), wyganiała dziadka Teofila na plebanie, żeby zaraz przyprowadził proboszcza z Panem Jezusem, bo ona chyba lada moment umrze. Rzucił zaraz dziadek wszystko, z fujarką, okaryną i organkami, na których miał właśnie ochotę pograć, i pędził siedem kilometrów do plebanii po księdza. A babcia w tym czasie przygotowała łóżko, siadała przy oknie i się patrzyła, czy ksiądz z Panem Jezusem, a właściwie to Pan Jezus z księdzem i z dziadkiem Teofilem nadchodzi. Gdy widziała, że zbliżają się do domu, zaraz się kładła w łóżku boleści, by w skromnych progach przyjąć tak znamiennych gości... A kiedy ksiądz załatał, co trzeba i oddalał się na bezpieczną odległość, babcia wyskakiwała z łóżka, jakby ją na sto koni pogonił, by na nowo zrzedzić i opieprzać dziadka za popełnione i nie popełnione winy... I trwał ten proceder przez kilkanaście ładnych lat, aż ksiądz nie wytrzymał i na kolejne żądanie symulantki nie przyszedł. Ale tym razem to nie był fałszywy alarm, bo babcia naprawdę, nie na niby, była w poważnym stanie. Dostała wylewu krwi do mózgu i już do samej śmierci, która nastąpiła niebawem, powtarzała tylko w kółko trzy słowa:

– Jezus, Maryja, Jozef...

– Cóż ją nachodziło, że była tako uciążliwa?

– Kiedyś się wygadała, że jak była jeszcze młoda, udała się do wróżki w mieście i ta wróżka jej przepowiedziała, że będzie żyła sześćdziesiąt lat i ani roku dłużej. Te słowa kobiety, żerującej na babskich naiwnościach, tak głęboko zapadły w pamięć babci Jadwigi, że jak zbliżała się do sześćdziesiątki, była już niespokojna, a gdy ową sześćdziesiątkę przekroczyła, każdy sygnał pod postacią bólu głowy, przeziębienia, gorączki, kataru czy rwania w kościach na zmianę pogody był dla niej sygnałem, że oto dobiega do końca jej żywot. I dlatego chciała się za każdym razem pogodzić z Panem Bogiem...

– Tak, tak... Tak to bywało... A teraz to już na nas kolejka... – Kaśka zamysliła się głęboko i dyskretnie wytarła łezkę, która zaszkliła się w podmalowanym oku, i szybko zmieniła temat:

– Ale co żeś ty się takim ważnym zrobił, jakbyś się urodził gdzieś w Warszawie, a nie w Rudzicy!

– Żebyś ty się stała tak ważną fryzjerką, jakbyś gdzieś w Paryżu miała swój „salon”, a nie, jakbyś była dziewczyną „stela”, z którą się przed wieloma laty na tych samych krowich placach ślizgałem! – tłumaczyłem się jak głupi osioł.

– No dobrze już, dobrze... Ale powiedz mi, co myślisz o tym PiS-ie, bo ja jestem za nimi! Przecież dali po 500 złotych, prawda? Mogli nie dać, a dali!

– Ale dali ci z tego, z czego ci wzięli! Z tych wszystkich podatków płaconych pięć razy za to samo!

– Tak mówisz? Ja już jestem całkiem oglupiała, bo jeden mówi tak, a drugi inaczej... A gdzie jest prawda, kto to wie... Lepiej

dajmy temu spokój, bo tam na górze są mądrzejsi od nas...

Kaśka robi przeskok czasowy i tematyczny. Jest dosyć chaotyczna i logiki w kolejności roztrząsanych tematów nie ma żadnej.

– Ale ci powiem, Julek, że mam teraz więcej spokoju...

– To polykasz tabletki nasenne albo pijesz melisę, czy może twój Maniek przestał popijać i się wydzierać jak podrzutek w kukurydzy!?

– Ale gdzież tam! Mam więcej spokoju, jak ten Cumek, wiesz który, co się tak płatał po wsi, zamarznął na amen. Już tu się nie będzie rozglądał koło domu. Powiem ci, że aż się bałam, gdy zaglądał przez płot, jak diabeł do Betlejem. Bo to wiesz, co takiemu może strzelić do łba? A jakby mnie udusił albo, co jeszcze gorsze, zgwałcił!?

– No, sama powiedz jak to jest. Tyle lat łąził po wsi, a i w mieście też go nieraz widziałem z jego potarganą torbą, przycupniętego w galerii, na schodkach przed kościołem albo jak grzebał w koszach... To jest jakieś dziwne: 59 lat przeżył i nie zamarznął, a zamarznął teraz, kiedy idzie ku wiosnie i już nie ma takich mrozów...

– Tak, tak, nigdy nie wiadomo, jaki kto będzie miał koniec. A on podobno, tak mi mówiła sąsiadka, siedział gdy były te mrozy w noclegowni w Skoczowie, ale że się mu tam znudziło, bo musiał być trzeźwy, uciekł od nich do walącej się chałupy po lasem, gdzie już ani dachu nie było, ani okien i wiatr hulał po pokojach. Tam zamarznął na amen... Ale nasz proboszcz był w porządku. Zrobił mu normalny pogrzeb, na którym było 16 osób...

– Ty też byłaś?

– Nie, nie, ja nie byłam. Przecież nie jestem aż tak ciekawska, żeby zaraz na pogrzeb lecieć!

– To skąd wiesz, że było szesnastu pogrzebnych?

– Bo się grzecznościowo zapytałam Maryny, która była. Ona jest tak ciekawska, że ten pogrzeb by się bez niej nie odbył!

Zamysliła się chwilę, ale zaraz wróciła, by kontynuować opowieść o nieszczęsnym włóczędze:

– Ale z nim to były numery! Słyszałeś o tym?

– O czym?

– No o tym Cumku. Ale jestem głupia! Jak żeś mógł słyszeć, kiedy jeszcze nikomu o tym nie mówiłam!

– Ale o czym?

– To ci powiem, teraz kiedy już umarł to chyba mogę, bo sama to widziałam. Poszłam kiedyś, tak w ciągu tygodnia, w drodze do sklepu, do kościoła, żeby chwilę się pomodlić. Modłę się, modłę, aż tu naraz słyszę, że ktoś drzwi otwiera i też wchodzi do kościoła, ale nie idzie dalej, tylko stoi pod dzwonnicy. Za chwilę słyszę jakieś podejrzanе szelesty czy diabli wiedzą co... Strach mnie obleciał, przeżegnałam się trzy razy i myślę: co tu robić? Ale przecież jest biały dzień, duchy nie straszą, więc myślę: nie ma się co bać! Wyklepałam jeszcze ze trzy zdrowaśki i się zabieram! Jeszcze wyszeptalam „Jezusiczkule Nazareński pomóż mi” i idę...

– Mów, Kaśka, prędko co to było, bo jestem coraz bardziej ciekawy!

– Jak ci powiem, to sobie zaraz na tyłku usiądziesz: wyobraź sobie, że pod dzwonnicy, stał голуśki, jak go Pan Bóg stworzył, pokraca, bo się rozebrał i te potargane i brudne łachmany porzucił tak, że leżały, gdzie popadnie, a Cumek, bo to był on, jakby nigdy nic, mył się w wodzie święconej z kropielnicy! No i co byś na to powiedział? No co?

– To dziwne, że o tym nie wiedziałem. Przecież to musiało być głośne!

– Ale nie było, bo nie mogłam o tym nikomu ani słówka pisać!

– A w to to ci akurat nie uwierzę! Ty żeś słówka nie pisała? Chyba by cię poskręcało i rozerwało! Ty byś nie poleciała zaraz z ciepłym na wieść? Nie kłam mnie Kaśka, bo, jak cię szanuję, tak ci tym razem nie uwierzę! ■

Fragment powieści przygotowanej do druku w Wydawnictwie Naukowym „Śląsk”.

Manuskrypt odnaleziony w Moskwie

Pierwodruk drugiego *Raptularza* Juliusza Słowackiego

JERZY PASZEK

Święty Mikołaj, ponoć wszystkowied i wszystkowied, dostrzegł we mnie zapewne talenty (nie ukrywającego skarbu pod korcem) tekstologa, gdyż pod wigilijną choinką znalazłem wzorcową, trójtomową edycję krytyczną *Raptularza wschodniego*, czyli zaginionego w roku 1944 notesu czy pugilarasu wojażera Juliusza Słowackiego, należącego wówczas do cymeliów Biblioteki Ordynacji Krasieńskich. Rękopis *Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu* szczęśliwie wyszukał w Rosyjskiej Bibliotece Państwowej w Moskwie historyk Henryk Głębocki, informujący o tym w artykule *Zaginiony raptularz Juliusza Słowackiego (1836–1837) – odnaleziony po 70 latach w zbiorach rosyjskich* („Pamiętnik Literacki” 2011, z. 2, s. 143–164).

Trylogia edytorska składa się z fotograficznej reprodukcji manuskryptu *Podróży* oraz grafik i rysunków w nie tak obszernym tomiku pierwszym (152 s. + 8 nlb.); w tomie drugim mamy transliterację i transkrypcję poematu i innych wierszowanych fragmentów, a nawet notatek o leksyce arabskiej; w tomie trzecim zawarto najróżnorodniejsze komentarze, dotyczące *Raptularza wschodniego*, zawierające uwagi na tematy wiary i polityki, zapisków, rysunków i rachunków, podróży po Grecji i Egipcie (wspinanie się poety na piramidę Cheopsa!), a także pobytu w Ziemi Świętej i na Libanie, ogólnego doświadczenia Wschodu. Dwa obszerne tomy (II – 648 s., III – 502 s.) zredagowali: Maria Kalinowska, Elżbieta Kiślak i Zbigniew Przychodniak. Książki wydrukowano w 2019 roku w Warszawie, a sponsorami i współwydawcami były aż cztery instytucje: Wydział „Artes Liberales” Uniwersytetu Warszawskiego, Wydawnictwo DiG, Centrum Polsko-Rosyjskiego Dialogu i Porozumienia, Uniwersytet Mikołaja Kopernika w Toruniu (cytując omawianą triadę, używam skrótu RW i sygnatury odpowiedniego tomu).

Nie jest omawiana trylogia pierwszą edycją podróżniczych zapisków, rysunków i rachunków Słowackiego. Oto w roku 1996 ukazał się *Raptularz 1843–1849* w opracowaniu Marka Troszyńskiego w Wydawnictwie Topos (s. 340 w dwu kolumnach o rozmiarach stronicowych!). Ten pokazny tom nie przynosi tekstu jakiegos dłuższego utworu, gdyż poeta daje tu tylko pierwsze rzuty ostatnich swoich dzieł, m.in. takich,

jak: *Beniowski* (urywki z epizodów tworzonych po opublikowaniu w roku 1841 początkowych pięciu pieśni), *Genezis z Ducha*, *Król-Duch* (odmienne opracowania rapsodów I–IV), *Przez furie jestem targan ja*, *Orfeusz...*, *Przy kościółku...* Troszyński, drukując obok siebie podobiznę rękopisu i transkrypcję tego tekstu, nie dba o zabieg transliteracji, czyli o – jak powiada *Słownik terminów literackich* (Wrocław 2000, s. 589) – „całkowite zachowanie pisowni, przestankowania i układu graficznego tekstu według przekazu obranego za podstawę wydania”. Tak więc *Raptularz wschodni*, który w t. II przynosi transliterację *Podróży* (RW II, 111–243), dodaje również na s. 273–403 transkrypcję, czyli np. wersy pieśni V: „O moja głupia muzu zapominasz / Uszanowania winnego xięgarzom” (RW II, 151, transliteracja) brzmią w transkrypcji tak: „O moja głupia muzu, zapominasz / Uszanowania winnego księgarzom!” (RW II, 310).

Można powiedzieć, iż podobizna *Raptularza 1843–1849* przeznaczona jest bardziej dla znawców literatury i filologów aniżeli trylogia z przełomu roku 2019 i 2020. Tak też i było z moim egzemplarzem nr 124 (bo wszystkie księgi Wydawnictwa Topos, spośród zaledwie dwustu, były odręcznie ponumerowane!), który doszedł do mnie z rąk prof. Zofii Stefanowskiej za uprzejmym pośrednictwem prof. Marka Piechoty, a więc bez udziału sfer nadziejskich (Mikołajowych). Oba wyczyny edytorskie posłużyły się anachroniczną tytułaturą (Słowacki tu nie zawinił!), gdyż odwołały się do średniowiecznej łacińskiej nazwy „raptularius”, oznaczającej coś, co byłóchwytaniem wydarzenia na gorąco i co Linde w swoim słynnym dykcjonarzu opisuje pod hasłem *Raptularz*: „księga prędkich konotatek, od napisania z pierwszego [s]pustu” (cyt. za: RW II, 83; tekst M. Troszyńskiego: „*Raptularz wschodni*” wśród *notatników Juliusza Słowackiego*; nb. u Troszyńskiego jest forma „konnotatek”, czego nie widzę w moim egzemplarzu reprintu dzieła Lindego; tom drugi *Słownika języka polskiego* zawiera hasło *Konotatka*).

Aby mieć przyjemność z lektury omawianego poematu, należy – moim zdaniem – skorzystać z przewodnika, jakim jest tom Ryszarda Przybylskiego pt. *Podróż*

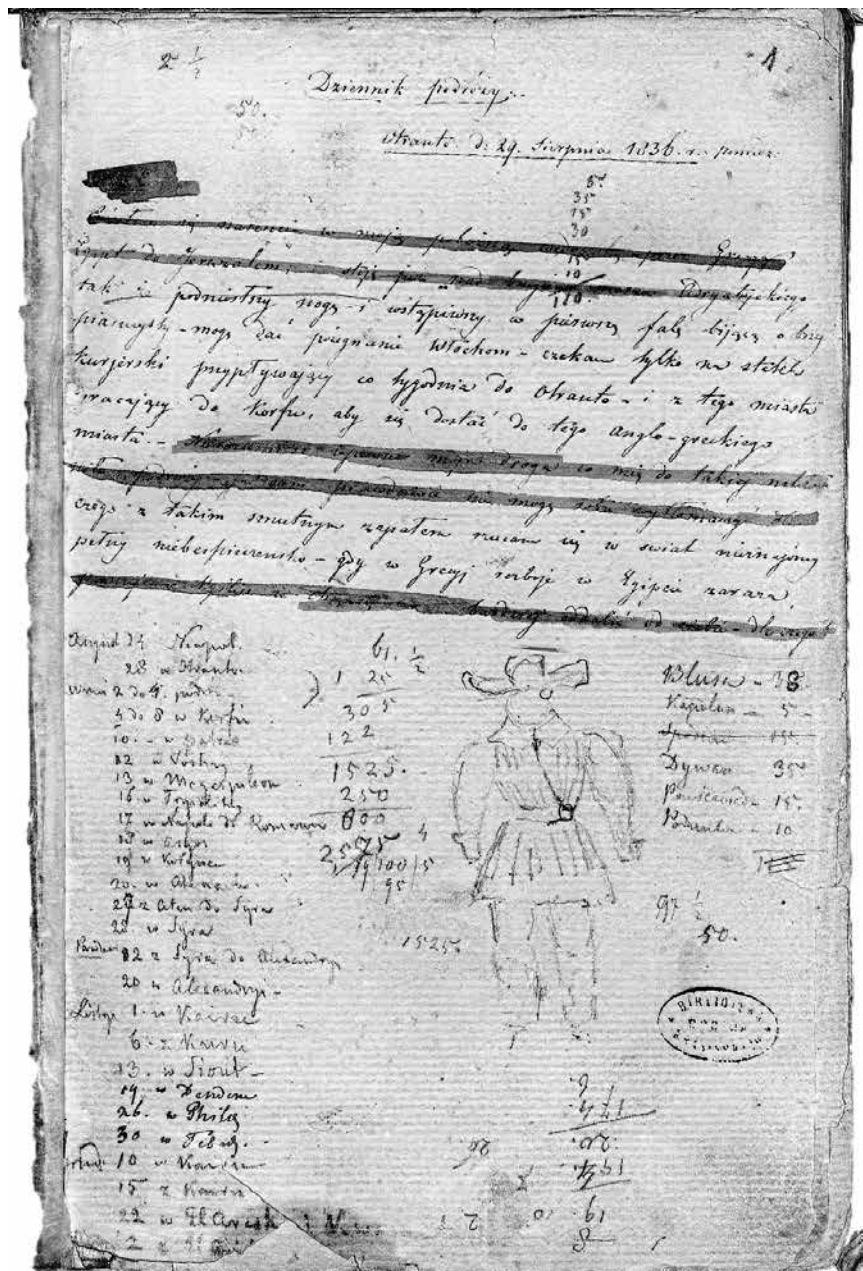
Juliusza Słowackiego na Wschód (Kraków 1982, seria: „Biblioteka Romantyczna”, skrót: RP). Głębocki nazywa tom Przybylskiego „klasyczną pracą” (RW II, 75), wspominając też o konkurencyjnych dziełach polonistów: Leszka Libery *Juliusza Słowackiego „Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu”* (Poznań 1993) oraz Marii Kaliszewskiej *Juliusza Słowackiego „Podróży do Ziemi Świętej z Neapolu”*. *Głosach* (Gdańsk 2011). Tu dygresja: „klasyczna praca” Przybylskiego nie została wedle tomów 7 i 10 *Współczesnych polskich pisarzy i badaczy literatury. Słownika biobibliograficznego* nigdy zrecenzowana, a informacje o niej w „Roczniku Literackim” za rok 1982 jak gdyby przez nikogo nie zostały zauważone. A przecież Maria Grabowska, autorka ewaluacji, pisała m.in.: „Przybylskiego próba odczytania podróży na Wschód jako *Pielgrzymki do Króla-Ducha* jest propozycją interpretacyjną, której wszyscy zainteresowani Słowackim mistycznym pominąć nie mogą, przynosi nadto wiele wnikliwych obserwacji dotyczących romantyzmu w ogóle, sposobu widzenia świata, sposobu wędrowania, interpretowania krajobrazu jako systemu znaków antropologicznych” („Rocznik Literacki” 1982, Warszawa 1988, s. 287).

Uważam, iż Przybylski trafnie ocenia *Podróż* jako przygotowanie do stworzenia takich dzieł, jak *Anielli*, a przede wszystkim *Król-Duch*. Słowacki wcale nie kokietał czytelnika, gdy w pierwszej sekstynie swego poematu oddał na dalsze części utworu wyjaśnienie, gdzie się wybierają i po co: „Puszczam się w drogę przez Pulią, Otranto, / Korfu... gdzie jadę po wie drugie Canto” (RW II, 276). Nie napisał tej drugiej pieśni, bo nie chciał ujawnić, iż pielgrzymka do pustego grobu faraona (w piramidzie), do pustego grobu Chrystusa (w Jerozolimie), do – jak błędnie sądził – autentycznego grobu Agamemnona (w Mykenach) i zastanawianie się nad świeżym grobem Polski (m.in. w pieśni VIII, czyli *Grobie Agamemnona*) zmieniły na zawsze jego spojrzenie na świat rzeczywisty i ten duchowy. Jak pisze Przybylski: „Na gruzach chrześcijańskiego personalizmu powstała niebawem zupełnie niechrześcijańska i bardzo neoplatoniska antropologia, której fundamentem stała się idea pozaosobowego ja” (RP, 102). W tej synkretycznej filozofii i religii Słowackie-

go ważną rolę gra wizja metempsychozy, co widoczne będzie szczególnie wyraziście w oktawach *Króla-Ducha*.

Przed edycją *Raptularza wschodniego* nie mogły powstać analizy samego procesu twórczego poety, bo materiał, dotyczący warsztatu artystycznego autora *Podróży*, nie był kompletny, a przede wszystkim obroty pióra Słowackiego nie były tak **bliskie oku lektora**. Teraz znakomicie widzimy, kartkując fotokopie autografu, iż – by ująć rzecz po Sienkiewiczowsku – arcydzieło zaczęło się gładko, lecz zacięło się [słuchać] hadko! Pieśni początkowe (I, III, IV – ta do połowy) są tak czyste i bezbłędne, że podejrzewano, iż były czystopisem opartym na zagubionych brulionach. Dopiero w 35 i 36 sekstynie Pieśni IV zaczynają się pomyłki i doraźne poprawki, np. „Widziałem łąkę – widziałem niebieską” zmienia się na: „Sen mi pokazał aż w Litwie niebieską” (RW II, 142; nb. chodzi o niebieską niezabudkami rzeczulkę!). W sekstynie 43 o Naczelniku początkowo powstał taki trójwiersz: „Patrząc – słyszałem dwa słowa Kościuszki / Finis Poloniae... w głowie lwa zamknięte / Który pomnikiem nakrył Hufce Święte...”; w ostatecznej wersji czytamy zaś: „Patrząc – słyszałem dwa słowa Kościuszki / Finis Poloniae... przechowane w głazie / Jak łąza w kamieniu – albo myśl w obrazie” (RW II, 144). Końcówka Pieśni IV i całe następne części, czyli V, VI i VII, bywają bardzo poplamione i zabazgrane poprawkami i nadpisywaniem jednych wersów nad drugimi.

Dramat przechodzący w pisarską tragedię uwidacznia się w tzw. pierwotnej Pieśni VIII (bo ostatecznie mamy tu *Grób Agamemnona*; Pieśń IX ma 25 sekstyn i 150 wersów; obie te końcowe części utworu powstały dwa lata później). Z prób napisania tego feralnego Canto, odnotowanych na stronicach RW II (od 176 do 212) udało się XXI-wiecznym edytorom odcyfrować dwie całości, liczące 9 („Spocząłem wreszcie...”) i 27 (*Napoli di Romania*) linii-tekst (zob. J. Słowacki: *Poematy*. Nowe wydanie krytyczne. Tom I: *Poematy z lat 1828–1839*. Oprac. J. Brzozowski i Z. Przychodniak. Poznań 2009, s. 388 i 390–393). Aby przybliżyć czytelnikowi te cierpienia twórcze poety, zajmę się nawiązaniem do neapolitańskiego hotelu Vittoria oraz metamorfoz obrazu wielbłądów (Słowacki pisze ten wyraz przez „l”, by sugerować kalambur: wielb + łądy?) i egipskich strusiów. Z Pieśni I, sekstyny 12, wiadomo, iż Polak w Neapolu mieszkał nad Zatoką (Golfem), „Na Świętej Łucji” (RW II, 114). Otóż pierwotna Pieśń VIII zaczyna się porównywaniem krajobrazów greckich i arabskich z neapolitańskimi: „aż się w miniaturze / Włoski Neapol na błękitnych wałach / Aż się Neapol włoski w miniaturze / Arabii pełny – – / Znalazł – na Morza Egejskiego wałach” (RW II, 334); „Dla nas – siedzących cicho – na balkonie / Gdzieś w Neapolu – gdzieś na świętej Łucji – – / Pamiętasz... takie uczucie – nie wróci” (RW II, 335); „Komu się dzi-



siaj te światełka pałą / Ponad wybrzeżem – Świętej Łucji...” (RW II, 336). Nie wystarczyły antyfony do św. Łucji (włoska Santa Lucia), sekstyny nie chciały popłynąć jak poetyczne perełki...

W kreśleniu krajobrazów egipskich w tym VIII Canto też coś pocie przeszkadzało. W swoim *Dzienniku* dał takie zapisy „etapów pielgrzymki”: „Aleksandria – plac przy księżycu – Egipcjanki z czarami na głowach – żebracy w czarnym belwedrze – na osłach kobiety – wielbłądy z wodą, podobne do strusiów lejących rosę skrzydłami” (RP, 206; chyba błąd w zapisie słowa „wielbłąd”?). W Canto VIII mamy próby porównania tych dwubarbnych zwierząt ze strusiami: „Przy bramach – jako gryfy bajeczne przy herbach / Stoją wielbłądy z wodą... dziwacznej struktury / Wodę trzymają w skrzydłach wydętych ze skóry / A ta się saczy ciągle... z jękiem zle [złe] zamknięta / I jak ciche i wodą skrzydlate zwierzęta / Mają postawę strusiów... które

nocy łzami / Zebraną wodę... sączą ciężkimi skrzydłami...” (RW II, 190); „Podobne strusiom które nocna rosa zmoczy / Długą szyję – żebrzące wysuwają oczy... / Stoją wielbłądy – w okien zagładają kratę / Wodą w skorzanych workach zamkniętą – skrzydlate / Jak strusie – którym rosą” (RW II, 190); „Żywe wielbłądy okien przerastają kratę / Wodą w skorzanych workach zamkniętą skrzydlate / Jak strusie” (RW II, 191).

Nie czas ni miejsce na dokładniejsze badania i dociekania nad źródłem niesprawności poety. Myślę, że poemat miał być „rymowanym baletem” (RP, 17), a tu – w okolicach Pieśni VIII – okazało się, iż balet przekształcał się w morderczą balladę, a w końcu nawet w tragedię o losach jednostki w kosmosie i czasie, gdy myśli się o perspektywach permanentnych obrotów i kręgów (Wielki Rok) reinkarnacji. A wtedy obroty pióra poetyckiego stają się trudniejsze, jeśli nawet nie – zbędne...

Na łamach „Zwrotnicy” z 1927 roku przeganiał wierszorobów z sanktuarium kultury, wołając: „Powroza na was przekupnie szwargocące w świątyni Pańskiej! Baty wam chamy, chamuły!”; uznawał „kataryniarzy i strofkarzy” za „nieboszczyków poezji”, wykrzykując w pierwszym numerze „Linii” z 1931 roku: „Precz z dziecinadą zwrotki i tromtadracji!”; odrzucał stylizatorstwo, zaściankowość, ornamentykę, „dowcipną szczebiotliwość”, albowiem poezja miała być sprawą najwyższej wagi i powagi, składnikiem naszej nowoczesnej świadomości; sprzeciwiał się „zagnojonej frazesami” krytyce.

To Julian Przyboś, o którym można powiedzieć, że jest jednym z najwybitniejszych poetów współczesnych, jednak z przeświadczeniem wykorzystania formuły dziwnie pojemnej – retorycznie bezpiecznej, ale jednocześnie wskazującej pewną „niemożliwość” krytycznego wskazania miejsca, a może – ostatecznie – niekonieczność skali jednoznacznych ocen wartościującego rankingu. Mianem „genialnego pierwszego” sam Przyboś określił natomiast Jana z Czarnolasu, a poproszony o wskazanie wiersza numer jeden w dziejach naszej literatury, wybrał fraszkę *O Hannie*, pisząc o „arcydziele liryki miłosnej” z zastrzeżeniem, że to... nie jedynie spośród tych „naj”. Dlatego dobry, lapidarny i znaczący „szczególnie” tytuł wybrali Stanisław Balbus i Edward Balcerzan, redagując w 2002 roku tom *Stulcie Przybosia*.

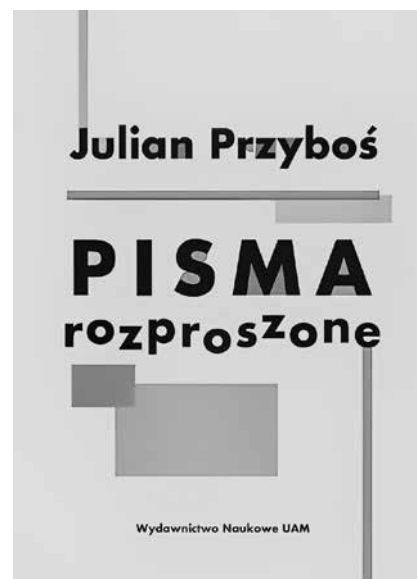
Jan Błoński powiadał, że Przyboś stał się dla młodych literatów „punktem odniesienia” na lata, co nie oznaczało permanentnego naśladownictwa, ale wskazywało sytuację, w której „wszyscy, chcąc powiedzieć coś nowego, musieli ustosunkować się do twórczości Przybosia”. Bez tego punktu odniesienia pozostałyby rozmyte hierarchie. Edward Balcerzan wspominał, iż Poeta inaczej zachowywał się pośród pisarzy, inaczej na swoich spotkaniach autorskich: „Bywa agresywny, może nawet butny, cieszy się autorytetem, słuchają go pilnie, a jeżeli kwestionują to, co głosi, to pokątnie, w kuluarach, na ucho”. Tak, okazał się artystycznym prawodawcą (swoją drogą w życiu piastującym urzędy, m.in. posła nadzwyczajnego i ministra pełnomocnego w Szwajcarii, prezesa Związku Literatów Polskich, dyrektora Biblioteki Jagiellońskiej), rzecznikiem nowego wyrazu i tłumaczem doświadczeń poetotwórczych. A jest jeszcze coś, o czym dzisiaj zapomnieliśmy, czego nie doświadczamy w postaci energetyzujących spięć, czyli nieustanne debaty rejestrujące puls życia literackiego. Niewstrzymanym dechem wybrzmiewa przecież – zabezpiecz się: może archaiczna, wykopaliskowa – myśl Przybosia z jego późnego wywiadu *Chaos i rygor*: „bez bojów o ideał poezji – nie ma [...] żywej sztuki poetyckiej”. Aż boje? Jakiś w hiperbolę zaklęty ideał liryczny? *Ars poetica*

KSIAŻKI

Przyboś scalony

w czasach reprodukcyjnych? Wykorzystując tytuł recenzji *Króla Obojga Sycylii* Kuśniewicza, zapytalibyśmy: czy to aby nie „smak spraw minionych”?

Opublikowane przez Agnieszkę Kwiatkowską, Joannę Grądział-Wójcik, Jerzego Borowczyka, współpracującą redakcyjnie Darię Lekowską oraz konsultującego całość Edwarda Balcerzana *Pisma rozproszone* Przybosia są cennym zbiorem tekstów ogłaszanych w różnych miejscach od roku 1925 do 1971 (pisarz zmarł 6 października 1970 roku podczas II Międzynarodowego Zjazdu Tłumaczy Literatury Polskiej, gdy Anna Posner czytała przekład *Franza Kafki* Jastruna), a także materiałów z archiwum domowego, są chronologicznym scaleniem, które umieścimy obok *Linii i gwaru*, *Sensu poetyckiego*, *Zapisków bez daty*, pamiętając o wydawanej czterokrotnie książce *Czytając Mickiewicza*. Otrzymujemy zbiór artykułów, recenzji, wypowiedzi, wywiadów, dyskusji, które scala w swej lekturze czytelnicy znający wymienione woluminy (miały one w kompozycyjnym doborze i układzie tekstów pieczęć autora), ale książka będzie funkcjonowała przede wszystkim jako źródło materiałowe, potrzebne w różnych momentach prac badawczych nad modernizmem. Przyznaję: z satysfakcją przestudiowałem, etapami, całość. Obszerny zbiór zapisów rozproszonych jest świadectwem obecności krytyka i publicysty, który utrwał słowo aktualne, nie wyciszane i nie skazywane na jaką przygodność istnienia, czy formę notatek do szuflady. Wcześniej otrzymaliśmy uwolnione „zapiski bez daty” (kiedyś Rościśław Skręt przypominał o autografach zdeponowanych w Bibliotece Jagiellońskiej, które nie mogły ukazać się za życia poety), z których mógł on podobno uformować system filozoficzno-estetyczny, teraz podążamy drogą uporządkowanych faktów publikacyjnych.



PAWEŁ MAJERSKI

W problematykę rzeczowo wprowadza nas Agnieszka Kwiatkowska. Pierwsze wystąpienia Przybosia wiązały się z atakiem na młodopolszczyznę (skoro „Z gehenny Młodej Polski wywlokło się ogoniaste stado epigonów” trzeba było teren, choć sprzątała najpierw futuryści, dalej oczyszczać) i stylizatorstwo, sztucznie wypracowaną prostotę, objawiającą się w prymitywistycznych ułatwieniach pracy artystycznej. Ze wstępu wynotowałem kilka określeń dotyczących jego zachowań psychokrytycznych: w Dwudziestoleciu „był niezwykle krytycznym publicystą”, piętnował „z pasją krytycznoliteracką”, dalej – „zzymał się”, „wielokrotnie zwracał uwagę”, „marzył”, „negował”, „drażniło go”, „zaangażował się”. Zajrzawszy do wspomnień o pisarzu przywołałem już Balcerzana mówiącego o sile autorytetu, otwieram je raz jeszcze, by usytuować przy tych czasownikowych sekwencjach trzy indywidualne obserwacje polonistycznych osobowości: „jest to ktoś bardzo zwarty i bardzo przez samego siebie chciany” (diagnozował Kazimierz Wyka), „odpowiadała mu rola mistrza, otoczonego słuchaczami, chłonącymi jego poetyckie credo” (to Michał Głowiński), „Jednym ze znamion najważniejszych postawy Przybosia była [...] nieustająca młodzieńczość zdobywców wyobraźni, wychylenie w przyszłość” (uważał Tadeusz Klak, wykraczając poza zasady dyscypliny i racjonalizującego porządku). Te uchwycone ułamki charakterystyk, zwłaszcza mistrzowską siebiepewność i translokacyjność wyobraźni wyrrywającej nas z „tu i teraz”, bez trudu odnajdziemy dzisiaj w *Pismach rozproszonych*. O co będzie mi pytały? O system krytyczny, wartościowanie, horyzont oczekiwań? Zapewne. O, by tak rzec, powinność interwencyjną pisarza i nowatorstwo permanentne? Również. Zwracam jednak uwagę, że Przyboś dostrzegał zbyt wielką swobodę w hasa-

niu po ogrodach nieplewionych i taryfową niewymierność artystycznej krytyki. Swego czasu napisał jednak do Bohdana Drozdowskiego: „[...] zabieram głos krytyczny już tylko wtedy, kiedy czyjeś blagi i cwaniactwa znieść nie mogę” (cytuje z „Poezji” 1972, nr 9). W grę wchodziła nie sama tylko literatura, literackość czy malarskość dzieła, izolowane w modelowych układach estetyki – sztuka była zobowiązaniem, wyrazem godności, uczciwości i honoru.

Przyboś potrafił docenić skrajne ścieżki artystycznych poszukiwań nawet jeśli, w jego mniemaniu, wiodły donikąd. To „coś” musiało być świeże, autentyczne, kruszyć formy już niepotrzebne. U Rózewicza, stwierdziwszy że nie jest jego go uczniem, widział na przykład sam trud poetycki, brak ułatwiających „podpórek wersyfikacyjnych” (1954), *Cud* Harasymowicza był „szczęśliwym debiutem” (1956), po ukazaniu się *Rachunku zachciankowego* Białoszewskiego liczył na powrót autora do awangardy filtrującej miejskość i ludową balladowość (1959), a pierwszy tomik Iredyńskiego „wyrzynał się ostro jak nóż rzeźniczy z gładkiej powierzchni tego rocznych tomików poezji” (1959). W perspektywie już historycznej ważnym przypomnieniem są w *Pismach rozproszonych* zapisy dwóch dyskusji: *Co dzisiaj znaczy »awangarda?»* (publikowanej w „Dialogu”, 1957) oraz *Niezrozumiałstwo i nowa sztuka* (z „Życia Warszawy”, 1962). Z Puzyra, Korzeniewskim, Kottlem, Flaszenem rejestrował przeświadczenia dotyczące nowatorowości i eksperymentu, analizując zaś nasz „stan kultury umysłowej” mówił *de facto* – a nie była to wyłącznie kwestia fetysza nowości – o stanie posiadania, oryginalności i intelektualnej ofercie. Stąd przypomnienie Peipera, Witkacego, Gombrowicza. W debacie z Arturem Sandaurem, którego zresztą cenił za „prawdomówność i bezwzględność w walce o idee”, postulował istnienie sztuki słowa, która ucieknie od komunałów, daremnych rewalizacji puste tajemniczości, bylejakości pozorującej elitaryzm.

W tej księdze Przyboś nieustannie przypomina o sobie jako pisarzu właściwie nieistniejącym bez nowoczesnej sztuki, sam najczęściej przywołuje nazwisko Władysława Strzemińskiego. Komunikat grupy a.r., wyjaśnianie zasad unizmu to czasy ofensywy młodości, spójrzmy więc na artykuły konsekwentnie drukowane od 1956 roku, choćby *W Łodzi i Stalinogrodzie, O nową socjalistyczną sztukę, O więcej pytań, Na temat »Teorii widzenia«*. Przybosiowi zawsze zależało na twórcy, który nie byłby tylko „użytkownikami cudzej myśli”. Może prowokował literatów w *Rosnącym jutrze* z 1964 roku: „Tylko w muzyce trwa nieustający ruch. Dzisiaj sztuką przodującą jest muzyka”. Generalnie chodziło mu o zmianę, na przykład w „świadomości wzrokowej”, arcydzieła zaś, niezależnie od epok, w których powstały, miały być i tak równe (zob.

O poezji przyjaciół rozmowa, w której wziął udział m.in. Andrzej Wozniesiński). Notował, w różnych momentach i porach możliwych diagnoz, że – na przykład – bez pokolenia Rimbauda trudno byłoby wyobrazić sobie nowatorstwo XX wieku, wielkim ojcem nowoczesności jest łączący „improvizatorstwo z precyzją sztuki mistrza” Guillaume Apollinaire, surrealizm spod znaku Bretona wyczerpywał się na bufonadzie, że to dał się ułatwić „zalew pseudoliteratury”. W każdym razie poezja miała być iskrą zapalną, która dzięki asocjacji wyobraźni odmienia prozę i dramat, a podobno bez *Strefy* Apollinaire’a nie byłoby formy... *Ulissesa*. „Nikt [...], kto w rozwoju świadomości wzrokowej nie osiągnął widzenia abstrakcyjnego, nie zrobi kroku naprzód ku przezwyciężeniu sztuki abstrakcyjnej” – oznajmiał przekonany o konieczności artystycznych przekroczeń „poza” i „ponad”.

Ostatnia część książki zawiera niewielki blok materiałów z domowego archiwum Przybosia. Zbiory zdigitalizowano i udostępniono na stronie http://przybos.edu.pl/pl/archiwum_domowe, tam też znajduje się katalog zasobów. Odpis testamentu („Prochy rozsiać na wiatr lub do Wisły”, w sytuacji braku krematorium miał być pochowany na Patrii w Gwoźnicy Górnej), list do kierownika pralni w sprawie zniszczonej koszuli non-iron, list do Komitetu Blokowego, interwencja w sprawie budowy pod domem, szkic *Jak wyrazić uczucia* polemizujący z medytacjami Anny Wierzbickiej – to niektóre papiery zatrzymujące sprawy życia. Praca edytora tworzy filologiczny fundament, a archiwistyczna archeologia, rekonstrukcja tekstów, upublicznianie ich i oddawanie do warsztatu analitycznego nie są prostymi, mechanicznymi czynnościami. Owszem, konstytuują późniejsze akty interpretacyjne, ale same w sobie wiążą się z emocjami, wejściem w „dotykalną” prywatność, przeszłość, która poddaje się aktualizacji. Na łamach „Czasu Kultury” (2017, nr 2) Zuzanna Kozłowska, uczestniczka prac Przybosiowego zespołu edytorskiego, zanotowała, nie dla wszystkich może oczywistą, ale bardzo sugestywną uwagę: „Zubażając doświadczenie skan nie oddaje ani somatosensoorycznej dynamiki rekonstruowania narracji o cudzym istnieniu, ani namacalnej postaci upamiętnianego w archiwum doświadczenia”. Pomyślmy o tym, trzymając rękopis utworu, jakiś wielokrotnie korygowany plan tekstu, wyjmując z teczeki kolejny list, rachunek, zaproszenia, powielając gromadzone przez lata wycinki, ale też oglądając powielenia za pośrednictwem właśnie w skanach. Warto spojrzeć na te archiwalne skarby dwudziestu teczek, w tym brudnopisy i maszyny – jak na przykład tłumaczenie *Wieczoru* pióra Edwina Fischera, w przypadku którego, zanotował Adrian Kaleta, „Najpoważniejszym zarzutem [...] jest wy-

branie [...] kiepskiej niemczyzny do oddania tego, co [...] napisane jest wybitną polszczyzną”. A wzrok zatrzymają poprawki, uzupełnienia tekstów powstających i już unieruchomionych.

Wiadomo, zadziwione współobecnością metodologii oraz nowe języki opisu nie zawsze gwarantują oszałamiającą wynalazczość czy też kanonizowanie „na dziś” jedynie słusznych pewników. A jednak. W nowym wieku powróciliśmy do awangardy efektywnie. Do Awangardy Krakowskiej i Tadeusza Peipera między innymi dzięki ekspozycji w Muzeum Narodowym *Papież awangardy* i księdze dokumentującej jego europejską obecność, wnikliwym studium Joanny Grądziel-Wójcik, Jarosława Fazana, Beaty Lentas. Lekturę dorobku Przybosia podejmowały Barbara Łazińska, Hanna Marciniak, Małgorzata Rygielska, Michalina Kmiecik, Agnieszka Kwiatkowska. Do *Stulecia Przybosia* dodajmy zbiory rozpraw *Przyboś dzisiaj* oraz *Wiosna Juliana Przybosia*. Powracamy do poety istniejących dynamicznie form lirycznych, międzysłownej potencjalności znaczeń, emocji związanych z metaforycznymi konfrontacjami czasami pozornych równań i wizyjności. Ostatnia z wymienionych badaczek (siłą rzeczy zwraca uwagę liczebność znacznych formacji wyrażającej przeciwieństwo, zgodnie ze słowami Przybosia, „męską wolę”) wyraziła nadzieję, że wyrwane strefom rozproszenia teksty autora *Narzędzia ze światła* „są nie tylko świadectwem życia literackiego, ale i zapisem ewolucji poglądów”. *Pisma rozproszone* to antologia godna uwagi w czasach artystyczno-krytycznych uzurpacji i pozorów. Jeśli po latach czytamy krytycznie manifesty oraz teksty programowe awangardy, odnajdując w kulturotwórczych monolitach „szczyt”, sięgnijmy po teksty Przybosia konstytuującego świat lirycznych rozbłysków – tego, który, jak rzecz określał Kazimierz Wyka, „nie przekonywał, lecz głosił”, swego czasu operował „zdaniem gnomicznymi”, właściwie – „urywkami katechizmu”, ale i tego, który „nabył sprawności argumentacyjnej oraz dyskusyjnej”.

Poeta wyznawał, że nie pisze wierszy przy biurku, ale układa je „pierwej, na wolnym powietrzu”, a w domu po prostu zapisuje. Usłyszmy Juliana Przybosia mówiącego: „Każde uczucie ma prawo w poezji”, jednak przypomnimy sobie też, że „Nie każdy poeta, który płacze, płacze naprawdę [...]”. Dyktatorzy Wielkiej Awangardy udzielają dobrze przygotowanych lekcji pragnącym „nowych ust”. I jednych, i drugich brakuje. ■

Julian Przyboś: *Pisma rozproszone*. Red. Edward Balcerzan, Jerzy Borowczyk, Joanna Grądziel-Wójcik, Agnieszka Kwiatkowska. Wydawnictwo Naukowe UAM, Poznań 2020, 958 s.

W połowie listopada ubiegłego roku, w dniu 75. rocznicy zorganizowania Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jerzego Fusieckiego w Zabrze, ukazała się *Księga jubileuszowa* pod symbolicznym tytułem *Obecność Słowa w Zabrzu*. Publikacja jest piękna edytorsko, kolorystyka okładki, grafiki, numeracji i przypisów w oryginalnych odcieniach czerwieni –karmazynowej i ceglanej jest elegancka i prawie magiczna, a nadzwyczaj rzadko spotykana dziś zakładka przywołuje świat dawnych, cennych druków.

Trzymając w ręku *Księgę* przyznajemy rację Noblistce: „Tak, jesteśmy tu po to, żeby czytać”, zwłaszcza, iż autorami znakomitych artykułów historycznych, prac dokumentacyjnych i wspomnieniowych jest grono wybitne, bibliofilskie i bibliologiczne, historycy i literaturoznawcy, bibliotekarze i dyrektorzy bibliotek. Całość publikacji jubileuszowej to wędrówka w historii oraz obraz teraźniejszości Biblioteki na tle, ale też współtworzącej kulturę literacką miasta, podzielona na dwie współobecne przestrzenie: biblioteczną i bibliotekarską w części pierwszej oraz kultury literackiej w drugiej. Obie przestrzenie nie są dychotomiczne, ale spójne i wspólne, Biblioteka bowiem, „szczególnie współczesna, wykracza daleko poza jej pierwotne zadania. Nowoczesna biblioteka zarówno kreuje, jak i dokumentuje życie miasta, w którym funkcjonuje. Oczywiście w jej kulturowym zakresie” (T. Iwasów, s. 15). Wędrówkę tę rozpoczyna zdjęcie głównego wejścia do Książnicy, jakby zapraszającego do odwiedzin w uporządkowany, często nieodkryty jeszcze świat Biblioteki 2.0, biblioteki zarazem przyjaznej, partycypacyjnej i współtworzącej proces komunikowania, wielosemiotycznej i hybrydowej.

Treścią *Księgi* są oryginalne, niezmiernie interesujące teksty naukowe (bibliotekoznawcze, historyczne, literackie, dokumentacyjne), wykazy i statystyki wynikające z rzetelnej kwerendy licznych źródeł i archiwaliów, konteksty historyczne oraz aktualne dane na temat funkcjonowania oraz inicjatyw realizowanych w Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zabrzu, a także znakomita prezentacja specyfiki i rozwoju lokalnego piśmiennictwa literackiego, opis wspólnych projektów i inicjatyw kulturalnych. Niekiedy są to przedruki z historycznych wydawnictw zwartych i ciągłych doskonale wkomponowane w tok prezentacji.

W części pierwszej *Księgi* (**Biblioteka**, s. 21–216), obejmującej 4 części, zawarto informacje o kadrze bibliotecznej, wykazy jej pracowników i dyrektorów w latach 1945–2020, statystyki intensywnej działalności naukowej, kulturalnej i regionalnej, wzruszające wspomnienia pracowników. Funkcjonowanie książnicy i aktualna oferta usług bibliotecznych ukazana jest na tle polskich i niemieckich tradycji bibliotekarskich w Zabrzu w znakomitych wykładach historycznych ks. Piotra Góreckiego *Rola katolickich bibliotek parafial-*

Przestrzenie biblioteczne i literackie

KSIAŻKI

ANNA TOKARSKA

nych w rozwoju życia religijnego na Górnym Śląsku w okresie międzywojennym (na podstawie wykładu ks. Oskara Golombka z 1929 r.) (s. 21–34) oraz Piotra Hnatyszy *na Przyczynek do historii bibliotekarstwa w Zabrzu do 1945 r.* (s. 35–53). Tematyka funkcjonowania, zasobów oraz czytelnictwa w bibliotekach parafialnych zaboru pruskiego, nieczęsto podejmowana przez badaczy, oparta jest na szczegółowych danych archiwalnych. Są to ważne wypowiedzi na temat roli bibliotek niemieckich, których „powstanie związane jest z próbą przeciwstawienia się wzrastającej aktywności żywiołu polskiego na Górnym Śląsku” (s. 35). Biblioteki niemieckie zostały likwidowane w 1922 roku, ostatecznie po 1945. Z kolei Zbigniew Gołasz w tekście *Pierwsze lata. Przyczynek do dziejów Miejskiej Biblioteki Publicznej w Zabrzu w latach 1945–1949* (s. 54–56) podejmuje zagadnienia trudnego powojennego czasu odbudowy struktur polskiego miasta, ukazując zasługi założyciela biblioteki i jej pierwszego dyrektora, Jerzego Fusieckiego. Ewa Chuc jest autorką i współautorką imponujących prac dokumentacyjnych, opartych na archiwaliach, a także dwóch artykułów wspomnieniowych, w tym indywidualnego zyciorysu. Dużą wartość historyczną mają zamieszczone zdjęcia, w tej czarno-białej fototece wzruszają zatrzymane chwile dokumentujące realizowane przedstawienia teatralne, spotkania z gośćmi, organizowane wystawy.

Kolejny cykl dotyczący **Patrona biblioteki** (s. 87–103) rozpoczyna archiwalny tekst Jerzego Fusieckiego *Miejska Biblioteka Publiczna* (pierwodruk „Bibliotekarz” 1947; s. 87–90), w którym pisał „już od 15 listopada 1945 r. funkcjonuje w bibliotece wypożyczalnia posiadająca ponad 2000 dzieł polskich w przeszło 2500 tomach oraz ok. 700 książek angielskich i francu-



skich” (s. 88). Wśród najwcześniejszych dokumentów dotyczących placówki niezwykłym świadectwem jest tekst nagrania audycji radiowej *Pierwsze dziesięć lat* z okazji Dni Oświaty, Książki i Prasy (z cyklu Programów Radiostudia Miejskiego z 27 maja 1954 r.), które zostało zrealizowane jako spotkanie z „obywatelem Fusieckim”, dwiema bibliotekarkami: ob. Haliną Romanowską z Mikulczyc oraz ob. Haliną Siwkowską z Zaborza, a także dwoma czytelnikami, uczniem oraz pracownikiem Elekrowni (s. 91–95). Jest to lektura interesująca, potwierdzająca poprawność „wyborów czytelnicznych” młodego człowieka (B. Polewoj, W. Wasilewska), a zwłaszcza poprawność wypowiedzi na temat lektury. Bibliotekarka potwierdza wagę tych wyborów, ale uzupełnia ich listę, wymieniając oprócz M. Gorkiego i L. Tolstoja także o J.I. Kraszewskiego i E. Orzeszkową (s. 94). Natomiast drugi zaproszony czytelnik, pracownik elekrowni Alojzy Bula odważnie zachęcał do lektury tekstów Stanisława Lema. Z kolei w artykule Mariana J. Wojciechowskiego *Jerzy Fusiecki (1903–1975)*, napisanym 3 lata po śmierci J. Fusieckiego (s. 96–100), ukazana jest postać krakowianina, kustosa w Bibliotece Czartoryskich i Muzeum Artystycznym im. Adriana Baranieckiego, który od maja 1945 roku był jednym z pierwszych działaczy w Zabrzu, a dyrektorem biblioteki publicznej od 15 listopada tego roku. Był kolekcjonerem ekslibrisów, także własnej kolekcji autorstwa m.in. J.M. Szancera czy Adama Młodzianowskiego (1944, s. 100), od 1925 członkiem Towarzystwa Miłośników Książki (i Grafiki?), od 1964 r. Koła Miłośników Exlibrisów w Katowicach, organizował wystawy swojej kolekcji m.in. w Bibliotece Śląskiej, był wielokrotnie odznaczany za zasługi. Marian J. Wojciechowski postuluje nazwanie Bibliote-

ki jego imieniem, co zostało zrealizowane w 1985 r. (skan dokumentu Miejskiej Rady Narodowej z dn. 19.12.1985 r. o nadaniu biblioteczki imienia „jej założyciela, krakowianina, który poświęcił pasje swojego życia naszemu miastu i spoczął w jego ziemi”, s. 103). Barbara Radomska, kuzynka Fusieckiego, w tekście *Fusieccy. Rodzinne wspomnienie* (s. 101–102) wzruszająco, urokliwie i w stylizowanej pamiętanej z dzieciństwa pisze „Z opowiadań wiem, że miał w Zabrze tworzyć kulturę”, „Dla niego biblioteka była najważniejsza, była całym jego życiem...” i znamienne „Myślę sobie, że stryj oddałby wszystko bibliotece, z którą był bardzo związany. Ponieważ umarł nagle, to nie zdążył” (s. 102).

Kolejny, trzeci cykl w części pierwszej (**Ludzie biblioteki**, s. 104–191), ma charakter osobisty i autentyczny, niekiedy emocjonalny, jest dokumentacją indywidualnych wspomnień i refleksji, poczynając od najdawniejszych faktów dotyczących pracowników biblioteki na tle toczącej się historii miasta i niewątpliwego, szybkiego rozwoju samej biblioteki i jej sieci. Ukazuje pasję i zainteresowania, zamiłowanie do zawodu i rzetelną służbę czytelnikowi. W służbie tej na uwagę zasługują podejmowane inicjatywy, aktywność i różnorodność działań bibliotekarskich, nowoczesność i atrakcyjność form promocji książki i biblioteki w środowisku. Wśród 19 biografii indywidualnych, zaprezentowanych w układzie chronologicznym, obecne są barwne opowiadania, niekiedy gawędy o faktach, osobach, historii ludzi i miasta, życiu osobistym i wyborach czytelniczych, biografie literackie (Zygmunt Chuć *Moje życie z książką*). Cykl zamykają dwie najnowsze biografie: Ewy Chuć *25 lat minęło* oraz Tomasza Iwasiewa *Przygoda z dzielnicami* będące dowodem szerokiego zainteresowania, licznie realizowanych projektów i pasji Pracowników Książnicy. Charakter dokumentacyjny mają zwłaszcza wspomnienia dotyczące najwcześniejszego okresu działalności placówki, obecne w tekstach [ZK] Zygmunta Kiszakiewicza *Odeszła Pani Wanda [Markiewicz]*, pierwsza pracownica Biblioteki (s. 105), a także Janiny Jacorzyńskiej *Wśród książek i ludzi* (s. 105–109).

W części drugiej, **Kultura literacka** (s. 219–257), znajdują się znakomite teksty autorów podejmujących refleksję na temat twórców, ich inspiracji i dokonań, zatem aktywności Zabrzean dokumentujących swoją obecność w przestrzeni literackiej oraz o inicjowaniu nowych form kultury spotkania dla poszukiwań literackich, historycznych i bibliotecznych w Zabrzu po 1945 roku. Próbę tę, udaną, świetnie zaplanowaną, rozpoczyna tekst Jacka Okonia *Życie literackie Zabrze. Zjawiska, książki, autorzy* (s. 219–257), będący znakomitą prezentacją dokonań twórców literackich z Zabrze. Twórczość i sylwetki pisarzy ukazane są w układzie chronologicznym symbolicznych cesur czasowych (1945–56; 1956–89; po 1989 r. *czyli w wolnej Polsce... i nowe*

stulecie). Cykl **Postacie** (s. 259–367), zainaugurowany *Dziennikami Frenkla*, zawiera dwa kolejne teksty, dotyczące specyfiki pisarstwa i osobistych relacji z Janoschem, Angeli Bajorek *Niemandsland nad Czerniawką – Wymarzona ojczyzna Janoscha*; s. 342–346) oraz Czesława Zdechlikiewicza (*Janoschowe krimskrams*; s. 347–349). Element wspomnieniowy pojawia się także w dwóch następnych artykułach – prof. Jan Malicki powracając do swoich spotkań z Florianem Śmieją (*Galaktyka czasu, ludzi i przestrzeni. O pisarstwie wspomnieniowym Floriana Śmieji*, s. 350–354) podkreśla fakt, iż najważniejsze dla pisarza było „utrwalanie pamięci” o emigracji wojennej, wspomina jego erudycję i dostrzeżoną „architektonikę wypowiedzi”. Postuluje także druk jego twórczości – w Bibliotece Śląskiej opublikowano do tej pory 3 tomy. Ewa Chuć wspomina Stanisława Bieniasza (*Stanisław Bieniasz <1950–2001>. In memoriam*, s. 355–357). Prezentację Zabrzean i osób związanych z miastem uzupełnia Zbigniew Gołasz pisząc o Czesławie Blicharskim z Zabrze, który otrzymał nagrodę Kustosza Pamięci Narodowej (*Wyjątkowa nagroda dla mieszkańca Zabrze*, s. 358–361; pierwodruk „Nasze Zabrze Samorządowe” 2017 nr 7, s. 26–27). Tomasz Iwasiewicz pisze natomiast o Akademickim Klubie Kajakowym (Kajman), utrwalającym tradycję wileńskich „Włóczęgów” i o powitaniu przez nich Czesława Miłosza na lotnisku w 1981 r. (*Zabrze i Czesław Miłosz*; s. 362–365). Tadeusz Potemski (*Stare książki jak stare wino*, s. 366–367) przedstawia zabrzeńskiego antykwariusza Juliusza Meryna, postać niezwykłą w historii miasta.

Cykl **Inspiracje** (s. 369–383) rozpoczyna Adam Regiewicz tekstem *W oparach pamięci. Wspomnienie o Klubie Myśli Humanistycznej* (s. 369–374) opisującym inicjatywę organizowania sesji naukowych w ramach licealnego Klubu Myśli Humanistycznej, będących „rodzajem agory, na której można się było wypowiedzieć...” (s. 373). Józef Olejniczak (*Bruno Schulz, Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz, Wisława Szymborska w Zabrzu*; s. 375–381) natomiast pisze o efektywnej współpracy z dyrektorem Biblioteki, przede wszystkim o organizowaniu warsztatów, debat, wykładów, wreszcie konferencji literackich „Przed i po”, dziś posiadających już czteroletnią historię. Cykl „Inspiracji” kończy prezentacja Piotra Hnatyszyna *Elektryczny Słownik Biograficzny Żydów w Zabrzu*, od listopada 2014 r. dostępny na stronie Muzeum Miejskiego w Zabrzu (s. 382–383).

Kolejny cykl **Ludzie pióra** (s. 385–452) rozpoczynają *Materiały do Słownika literackiego Zabrze* (obecnych 881 nazwisk, s. 385–448), z dodatkiem *Wykaz skrótów i objaśnienia do rozdziału „Zabrzeńskie spotkania. Przyczynek do życia kulturalnego miasta 1945–2020”* (s. 449–452). Lista znanych pisarzy, historyków, literaturoznawców, dziennikarzy, aktorów odwiedza-

jących Zabrze jest imponująca. Śledząc wykaz w układzie chronologicznym powstaje obraz licznych, różnorodnych, literackich i naukowych spotkań z przedstawicielami świata kultury i literatury oraz plejadą wybitnych pisarzy. Bardzo często zapraszano literaturoznawców z Uniwersytetu Śląskiego, wśród odwiedzających Zabrze byli także Maria Janion, Jan Miodek, dziennikarze, piosenkarze. Obecnie różnotematyczne konferencje naukowe, a zwłaszcza spotkania autorskie, hobbyistyczne, prozdrowotne, biblioterapeutyczne są ważną i atrakcyjną formą promowania zbiorów bibliotecznych.

Ostatnim, zamykającym część dedykowaną kulturze literackiej jest cykl **Topografia słowa** (s. 455–483) i tu umieszczono tekst *Zabrzeńska prasa w perspektywie historycznej. Katalog* (s. 455–474), opracowany na podstawie pracy Małgorzaty Arendarczyk przez zespół: autorkę oraz Ewę Chuć i Bożenę Serwatko, będący typologią zabrzeńskich czasopism i prasy, poczynając od czasopism „ogólnomiejskich” i dzielnicy (do 1945 r., od 1945 r.), politycznych, instytucji kultury, oświaty i branżowych po prasę sportową i kościelną (liczne gazetki i informatory dla parafian). Zaprezentowano tu również statystykę zabrzeńskich instytucji kultury, dokumentując drogę książki, a wraz z nią Słowa jako **Obraz instytucji kultury** w Zabrzu.

Całość to dzieło niezwykle, kompletne, poczynając od spraw bibliotecznych i bibliotekarskich po współtworzoną i organizowaną przestrzeń literacką miasta, ukazane piórem bibliotekarzy i ich dyrektorów, literaturoznawców i historyków, dopełnione pełnymi ciepłymi zdjęciami pracowników i relacji ze spotkań bibliotecznych, historycznych wewnątrz placówki, rysunkami, ilustracjami, ekslibrisami (także dla MBP, autorstwa zabrzeńskiego artysty grafika Kazimierza Szołtyśka). Lektura skłania do refleksji nad historią, ale zarazem kieruje do odkrywania współczesnego dorobku twórców obecnej, nowoczesnej przestrzeni bibliotecznej i literackiej miasta. W konkluzji, przypominając życzenie dyrektora Biblioteki, aby jak najwięcej „Słów” „ocalić od zapomnienia”, trzeba pogratulować redaktorowi i autorom, ponieważ w *Księdze* udokumentowano ich wiele, a lektura z pewnością jest inspirująca nie tylko dla mieszkańców, którzy mogą aktywnie uczestniczyć w życiu miasta i regionu, także dzięki intensywnej działalności zabrzeńskiej, ale również dla szerokiego grona bibliotekarzy i bibliologów, historyków, literaturoznawców spoza regionu. ■

Obecność SŁOWA w Zabrzu. Księga jubileuszowa. 75. lat Miejskiej Biblioteki Publicznej im. Jerzego Fusieckiego w Zabrzu. Red. Tomasz Iwasiewicz. Miejska Biblioteka Publiczna, Zabrze 2020, 506 s.

Trudno pozbyć się wrażenia, że najnowsza książka Anny Dziewit-Meller *Od jednego Lucypera* wiele zawdzięcza pierwszym powieściom Joanny Bator: *Piaskowej Górze* (2009) i *Chmurdalii* (2010). Sygnalizowane tu powinowactwo nie wynika wyłącznie z przywiązania obu autorek do sagi jako gatunku umożliwiającego konstruowanie fabuł, w obrębie których dochodzi do transferu traumy między kolejnymi pokoleniami i w którym portretuje się zazwyczaj nie tylko rodzinę w skali mikro oraz społeczeństwo danego czasu, lecz również idiomatycznego języka. Jest on niewątpliwie nietransparentny, dosadny, czasami podszyty ironią, gościnnie, nieposkromiony i na tyle plastyczny, by móc ujrzyć głównych bohaterów w całej okazałości: rozczarowanych, poharatanych, innym razem pewnych siebie, nieposkromionych i odrażających. „Miłość w śląskim domu to był towar deficytowy. Ciężko pracujący ludzie nie mają na nią czasu, bo muszą harować, żeby uzasadnić swoje istnienie. To, że babcia kochała Marijkę, a Marijka babcie, było więc piękne i wzruszające. Dziś można by o tym pewnie napisać list do »Wysokich Obcasów« i dostać w nagrodę półroczną prenumeratę i krem nawilżający do twarzy. Wtedy jednak nikt nie dawał nagród, wręcz przeciwnie – za miłość trzeba było zapłacić, słono, najdroższą walutą: cierpieniem tak wielkim, że może lepiej było w ogóle nie kochać, tylko dać sobie spokój i żyć, jak żyli inni, mając wszystko pochowane pod powierzchnią, zasypane ziemią, przykryte podszewkami spódnicy i wełnianym podbiciem zimowych serdaków. Serce w kamień” (s. 176).

Pomijając fakt, że zarówno Bator, jak i Dziewit-Meller skupiają się na losach kilku kobiet (m.in. Jadwigi Chmury i Dominiki Chmury, Grażynki Rozpuch, Marii Solik, Babcie Miejskowej, Małgorzaty i Katarzyny), warto zaznaczyć, że historie opowiedane przez obie pisarki zakorzenione są w krainach ich dzieciństwa (Bator eksploatuje okolice Wałbrzycha, natomiast Dziewit-Meller okolice Chorzowa i Katowic), które jawią się jako *locus horridus*. „Warstwy prehistorycznych skrzypów widłaków i paproci wyciągały swoje czarne ze starości gałęzie na powierzchnię, porywały dzieci, porywały psy i ciągnęły je pod ziemię, do czarnego lasu” (s. 34). Taka kreacja przestrzeni Górnego Śląska ma swoje uzasadnienie: najnowsza powieść Dziewit-Meller eksploatuje tematy dobrze znane w polskiej literaturze ostatniej dekady (m.in. [nie]pamięci, traumy, wypartej historii, ukrywanej przemocy), a także wyszukuje potencjał obrazu szkatułki, w której zdeponowana jest przeszłość, wciąż powodująca niezabliźnione rany. „Widziała historię swojej rodziny jako coś na kształt szkatułki, schowanej głęboko pod materacem wielkiego łóżka babci, pod warstwami pachnącej walerianą i krochmalnym pościeli, przez które się powoli przedzierała. Gdy się do niej w końcu dobrała, otwierała jej wieczko pełną podejrzaną nadziei, w poszukiwaniu czegoś – dobrze nie wiedziała czego” (s. 6).

To, co kryje się w szkatułce, wiąże się w krzywdę członkini rodziny Solików (szczególnie Marijki Solik), wojnę, a także niesprzyjającymi kobietom-robotnikom warunkami pracy w śląskich zakładach przemysłowych oraz skomplikowanymi zależnościami między wkraczającymi w życie kobietami a mężczyznami, którzy szybko znikali z ich życia lub przejmowali żywiole wobec nich oczekiwania dalszej rodziny. Ucieczka przed konwencjonalnym życiem była udziałem zarówno Marijki Solik, jak i Małgorzaty, a także jej córki, Katarzyny. Tylko siostra Marijki, Babcia Miejskowa, mając w pamięci tragiczny koniec życia siostry (zamordowanej w pokazowym procesie sabotażystów), postanowiła

Saga o węglowej krainie

KSIĄŻKI



ANDRZEJ JUCHNIEWICZ

zwrócić się ku temu, co według niej bezpieczne i gwarantujące poczucie stabilizacji – rodzinie.

Zarówno Bator, jak i Dziewit-Meller stawiają sobie za cel stworzenie *herstorii*, która nie zostanie przysłonięta, zatuszowana przez mężczyzn. Wątek kobiecej solidarności, a także niezależności, który objawia się na wielu poziomach, wynika z historycznych i biologicznych uwarunkowań.

Zarówno Bator, jak i Dziewit-Meller opisują losy rodzin, których członkowie pracują pod ziemią i narażeni są na choroby zawodowe (m.in. pylicę), dlatego ich śmierć zmusza kobiety do samostanowienia o sobie i dzieciach. Obie z równą mocą dostrzegają także różnice pokoleniowe, które generują konflikty, a sama instytucja rodziny nierzadko okazuje się w ich narracjach pułapką, z której trudno się wydostać. Jeśli więc traktować dorobek Bator jako wzór dla trzydziściu lat młodszej Dziewit-Meller, to należałoby uwzględnić również ich wybory życiowe (podjęcie studiów, świadomy wybór zawodu pisarki, a także chęć przekroczenia horyzontu oczekiwań rodziny i porzucenie zasad patriarchalnego porządku).

Obie w sposób idiomatyczny ujmują się za kobietami żyjącymi w niesprzyjającej epoce, jaką był PRL (co najlepiej uwidacznia wątek komplikacji poporodowych u Dziewit-Meller). Zarówno Bator, jak i autorka *Góry Tajget*, rozliczając się z przeszłością, próbują oddać nastroje i atmosferę epoki, na którą przypadła młodość ich matek i babek. Obie robią to w sposób mistrzowski i bezkompromisowy. Saga rodzinna okazuje się gatunkiem, który z powodzeniem może ujawnić skomplikowane relacje między poszczególnymi członkami rodziny, lecz również nasświetlić problemy, z jakimi borykali się przedstawiciele starszych pokoleń, ponieważ historia rozrasta się w wielu kierunkach i obejmuje swym zasięgiem niezliczoną ilość nosicieli prywatnych idiosyncrazji i uprzedzeń. Zarówno u Bator, jak i Dziewit-Meller przeszłość materializuje się i zalega na barkach kolejnych pokoleń kobiet, przy czym trzeba zaznaczyć, że obie skłaniają się ku koncyliacyjnym zakończeniom; otwierają kolejny wątek opowieści i pozostawiają go w zawieszaniu. To tyleż bezpieczne, co proste rozwiązanie.

W najnowszej powieści Dziewit-Meller udowadnia, że potrafi świetnie panować nad dłuższą formą literacką,

o czym świadczą kolejne rozdziały, które w sposób mistrzowski domyka, dzięki czemu każdy funkcjonuje jako osobna opowieść o losach poszczególnych członków rodziny. Równomiernie poświęca uwagę zarówno głównym bohaterkom (Marii Solik, która pojawia się w partiach retrospekcyjnych, jak i Kasi) oraz postaciom epizodycznym, choć te drugie również wybijają się na niezależność (przypadek wuja Oskara). Nie inkrustują pustego łała, lecz w sposób symbiotyczny wpływają na los i przypadki wszystkich bohaterów.

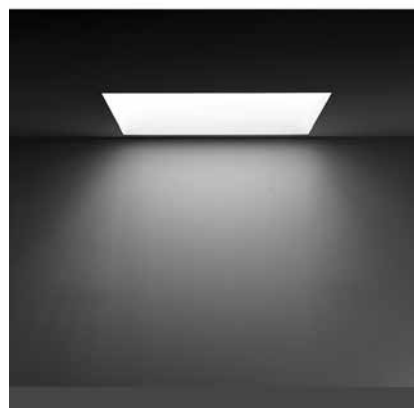
Skoro najważniejszym problemem jest trauma przekazywana z pokolenia na pokolenie, to w powieści Dziewit-Meller nie może zabraknąć skomplikowanej przeszłości Ślązaków, którzy wcielani byli do Wehrmachtu, cierpieli jako ofiary powojennych represji skierowanych przeciw folksdojczom, w końcu brali udział w propagandowym procederze współzawodnictwa pracy, co powodowało niesnaski wśród robotników i pomówienia o celowe zaniżanie norm. Ich pracowitość, schłodność, umiłowanie porządku, a także niezdolność do okazywania emocji stanowią zarzewie bólu i komplikacji, które eskalują w pokoleniu Kasi. Oprócz wojny, której skutki odczuwają bohaterowie, trzeba podkreślić perspektywę kobiet, mającą destabilizować głównonurtową narrację o tym, że to mężczyźni kierują historią w wymiarze globalnym i prywatnym. Być może ważniejsze od wątków tożsamościowych są te, które eksploatują cielesną kruchość kobiet (narażonych na nieplodność i śmierć po spartaczonych skrobankach i wykorzystywanych seksualnie przez przełożonych). Ślad ciała pojawia się w powieści Dziewit-Meller nie tylko pod postacią krwi menstruacyjnej, mleka, ekskrementów, łez i potu, a więc wydzielin znamionujących procesualność i cykliczność egzystencji, lecz również blizny, rany (pojawiającej się na skutek jednostkowej komplikacji), która odmienia życie i zmienia jego komfort. Dziewit-Meller w *Od jednego Lucypera*, czerpiąc z pierwszych powieści Bator, sonduje tematy dość oczywiste, jednak ryzyko sztancy musi podjąć każdy, kto rozlicza się z miejscem urodzenia, jego historią i z najbliższą rodziną. ■

Anna Dziewit-Meller: *Od jednego Lucypera*, Wydawnictwo Literackie, Kraków 2020, s. 304.

JANUSZ NOWAK

GŁÓD NADZIEI

Eseje i szkice o poezji współczesnej



TOMASZ PYZIK

Z pracowni dzieł ostatecznych

KSIAŻKI

Szkice krytyczne Janusza Nowaka wprowadzają nas w przestrzeń poezji, odsłaniając sensy głęboko ukryte w strukturze znaczeniowej. Utwory omówione przez śląskiego badacza zyskują dodatkowy głos oraz staranną obudowę egzgetyczną, będącą cennym suplementem służącym pełnemu wybrzmieniu zapisanych prawd. Czytelnik dostaje w swe ręce dzieło ostateczne rozumiane dwojako. Po pierwsze jako finalny proces kształtowania się utworu, gdzie ostatecznie sensy nadane są przez odbiorcę o ogromnych umiejętnościach rozumienia sztuki. Badawcza intuicja Nowaka przekłada się na wyluskanie najistotniejszych treści odbudowujących duchową aksjologię i świadome wieczności bycie w świecie. Na tym ostatnim aspekcie osadza się drugie rozumienie tekstów autora *Głodu nadziei*. Są to dzieła ostateczne, gdyż odsyłają do rzeczywistości eschatologicznej, z którą wiąże się usilna potrzeba wspomnianej w tytule książki nadziei, będącej cnotą utrzymującą w człowieku sens życia.

Oddajmy głos krytykowi, który we wstępie o znaczącym tytule *Poezja w służbie dobrego* napisał: „Pozwała ona [nadzieja – T.P.] odkrywać wciąż na nowo prawdziwy sens życia, zarówno w wymiarze indywidualnym, jak i wspólnotowym. Jest drogowskazem przypominającym o jedynej Drodze, będącej równocześnie Prawdą i Życiem”. Wskazówkę do zrozumienia książki Janusza Nowaka znajdziemy też w innym fragmencie wstępu, w gorzkiej konstatacji o „świecie zepsutym”: „[...] współczesność cierpi na pogłębiający się deficyt nadziei. Nadziei eschatologicznej. Ów głód nadziei obecny jest we wszystkich bodaj sferach bytowania ludzi i społeczeństw”. Odpowiednia literatura staje się w tym przypadku środkiem zaradczym, jest głosem przebudzenia mającym doprowadzić do subtelnej wstrząsu wewnętrznego. Przywołując słowa Czesława Miłosza („Szczęśliwy naród, który ma poetę i w trudach swoich nie kroczy w milczeniu”), Nowak przedstawia twórców, którzy przełamują dominujące w kulturze tendencje i poszukują nadziei otwierającej ludzką egzystencję na transcendentne doświadczenie. O takich poetach autor napisze: „(...) interesuje ich przede wszystkim życie – na płaszczyźnie doczesności i wieczności, natomiast poezję pojmują jako klucz do niego”.

Z czyją poezją mamy zatem do czynienia w omawianej książce? W obszarze zainteresowań krytyka znaleźli się m.in. Barbara Gruska-Zych, Feliks Netz, Wojciech Wencel, ks. Jan Sochoń. Interpretacyjne rozważania Nowaka zagłębiają się także w poezję twórców tzw. Konstelacji Toposu, która skupia artystów takich jak: Krzysztof Kuczkowski, Wojciech Kass, Wojciech Kudyba, Wojciech Gawłowski, Przemysław Dakowicz, Adrian Gleni, Jarosław Jakubowski i Artur Nowaczewski. Liryka „konstelacionistów” spotkała się z następującą charakterystyką autora: „Ta «trudna», profetyczna, «miarowa» mowa, której tak bardzo potrzebujemy współczesny człowiek poddawany nieustannie atakom wszelkich «nihilizmów» i «anarchizmów», jest jak potężny haust ożywczego powietrza. Ten «szlachetny, święty zmer» jest heroicznym (bo realizowanym wbrew «duchowi czasu») i «atmosfera epoki») powrotem do ele-

mentarnego, ufundowanego na przykazaniu miłości bliźniego, sposobu komunikowania się człowieka z drugim człowiekiem”.

Eseje i szkice Nowaka dotyczą nie tylko istoty omawianej twórczości. Towarzyszą im społeczne obserwacje oraz oparte na wielowymiarowej pamięci wnioski płynące z kulturowych przemian. Marian Kisiel w zbiorze *Critica varia* napisał: „Krytyk bez pamięci nie jest moderatorem kultury, lecz jej bieżącym sprawozdawcą. Nie przeszłość i przyszłość są dla niego ważne, lecz jedynie to, co dzieje się w naoczności. Dla krytyka naoczność jest także ważna; gdyby jej nie rozumiał, byłby kiepskim wytworem własnego czasu. Kiedy jednak ma on w swej pamięci określonego typu – staje się wtedy kimś niezwykle ważnym dla współczesnych. Jest nie tylko *sui generis* sumieniem swojej epoki, lecz także bardzo usilnie dba o zachowanie prawdy. Tej prawdy, której nie zawsze jesteśmy świadomi, którą nie zawsze rozumiemy i która staje się dla nas czymś pozornym pośród innych znikliwych rzeczy tego świata”. Metapoetyckie tezy, które możemy napotkać w pismach Nowaka, świadczą o tym, że mamy właśnie do czynienia z krytykiem sumienia i prawdy.

Dowodem niech będzie choćby ogromne znaczenie przypisane twórczej posłudze. Krytyk przywołując Czesława Miłosza, stawia twórcy wysokie cele, tak widząc jego zadanie: „Odpowiedzialna misja poety, sługi słowa, przynosi ocalenie «narodów i ludzi», ratuje gwałcone przez wszechobecną dyktaturę relatywizmu poczucie sensu oraz daje trudną lecz jakże potrzebną nadzieję”. W ten sposób Nowak formułuje własną definicję poezji: „Poezja, sztuka wydobycia ze słów sensu, jest łaską”. A w innym miejscu: „Poezja rodzi się ze spojrzenia poety, z jego umiejętności uniesmiertelniania zjawisk doczesnych i przemijających, niepozornych i marnych, ze zdolności do dostrzegania tego, obok czego inni przechodzą obojętnie, ze skłonności do posługiwania się oczyma duszy”. Słyszymy tu echo słów Szekspira, które stały się

mottem *Romantyczności* Adama Mickiewicza, otwierając doświadczenie artystyczne na tradycję i metafizykę.

Na podstawie przytoczonych fragmentów możemy pokusić się o zarysowanie krytycznoliterackiego profilu autora *Głodu nadziei*, którego pełny portret objawi się czytelnikowi dopiero po lekturze jego tekstów. Są to bowiem eseje i szkice, w których namysł nad poezją współczesną okraszony jest odwołaniami do historii literatury, filozofii i teologii. Zwłaszcza ostatnia dziedzina jest częstym kontekstem rozważań. Janusz Nowak to krytyk wyczułony na tradycję, szczerość i ufność. Jego teksty podkreślają czystość poezji oraz czystość twórczych intencji, z którymi mierzą się poeci poszukujący eschatologicznego sensu. Znalezienie się w polu jego krytycznoliterackiego namysłu jest dla pisarzy wyróżnieniem, gdyż stanowi wskazanie poezji szczególnej, poezji, za którą stoi dar, owa łaska odsyłająca do „absolutnego punktu odniesienia”.

Książka *Głód nadziei* jest zbiorem będącym świadectwem swoistej służby dla poezji, która sama jest, jak napisał autor, „w służbie dobrego”. Dwugłos poety i krytyka staje się tym samym głosem ujednoliconym. Liryka objęta erudycyjną narracją badacza zyskuje wzmocnioną siłę wyrazu, dzięki czemu poszerza się kanał dostępu do czytelnika. Zaisnienie literackiej symbiozy umożliwia dostrzeżona przez autora w pismach krytycznych Adriana Glenia formuła „empatycznej hermeneutyki”. Dokładne wyczytanie w tekst źródłowy i wczucie w poetę to niewątpliwie części składowe procesu krytycznoliterackiej analizy, która każdorazowo zachodzi w pracowni Janusza Nowaka. Jakość wpisana w produkt końcowy mówi nam, że jest to warsztat wyjątkowy. To pracownia dzieł ostatecznych. ■

Janusz Nowak: *Głód nadziei. Eseje i szkice o poezji współczesnej. Towarzystwo Przyjaciół Sopotu, Sopot 2020, 366 s.*

Najnowszy tom Janiny Barbary Sokołowskiej nosi tytuł *Wiersze na przemiał*. Po zbiorze *Mój świat odchodzi* (2016), wydaje się, że w przestrzeni asocjacyjnej autorka idzie dalej, powierając swoją twórczość planowanemu „unicestwieniu” ze strony czytelnika. Tytułowy *przemiał* jest oczywiście paradoksalny. Zamiarem wszelkiej publikacji jest bowiem w pierwszej mierze utrwalanie, a nie utrata czy zapodzia- nie czegokolwiek. O jakie rozdrabnianie, mielenie czy rozcieranie zatem idzie? Wydaje się, że jest nim recepcja, która na intymny świat poetyckich doświadczeń nakłada nie mniej intymną, ale osobną przestrzeń doznań czytelnika. „Przemiał” to również nieodległa kara za treści, które z różnych powodów, najczęściej politycznych, nie powinny zostać ujawnione. Autorka w wierszach zatytułowanych *PRL* czy *Książka 80. w lustrzanym odbiciu*, gdzie wyznaje: „możemy skreślić cały ten rozdział/ i przemycaną nadzieję”.

Sprawa jest jednak bardziej skomplikowana i zagmatwana, bo dotyczy przecież swoistego wyzwania wobec utworów i nas, a raczej naszej wrażliwości i pamięci. Wydaje się, że we współczesnej poezji oba światy – poetki i czytelnika – mają coraz mniej punktów stycznych, stanowiąc tajemnicze przestrzenie, którymi wędruje się w głąb siebie. Droga to niezbadana, mroczna, pełna pułapek i niebezpieczeństw, drzeń, rzeżenia i trwogi. Wypełniają ją metafory wtopione w półprzezroczystą poetykę wierszy. Na siatce owych znaków-skojarzeń zatrzymuje się najpierw nasza uwaga, by szukać wejścia w dwóch światach naraz. Sokołowska zabiera nas w drogę w pierwszej części tomu zapewniając przekornie jej tytułem *To nie sen* o autentyczności doznanych wkrótce wrażeń. Wiersz *Korytarz którym idę* do naturalnie staje się jej początkiem. Wędrowce w głąb arytmii dodają nie tylko złowróżbne znaki roztrzaskanego lustra, „pokaleczonych nóg udeptujących brzeg”, ale także przerzutnie i stawiana w nieoczywisty sposób interpunkcyjna pauza, która każe zatrzymać się nabrać oddechu przed następnym słowem, obrazem, zdaniem.

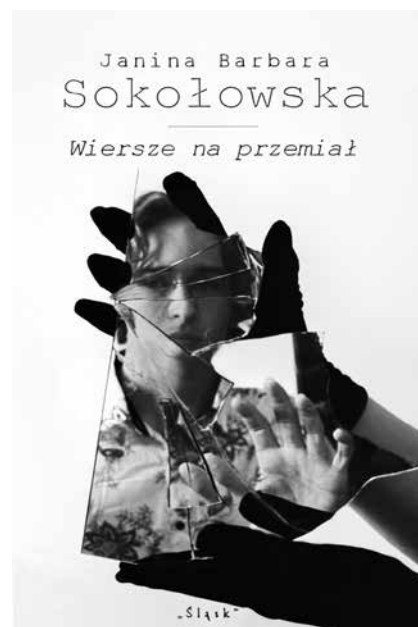
Z archetypicznym motywem lustra koresponduje również okładka tomu. Dłonie w czarnych rękawiczkach trzymają na niej kawałki szkła, w których odbija się pocięty, splekany portret kobiety, a ta wyciągając ręce zda się, zaraz skaleczy je po drugiej stronie. Kto? Komu? I dlaczego się przygląda? Co zobaczy, kiedy spojrzy na nas zza pajęczyny lustra? Wydaje się, że przewodnikiem wędrowki w pierwszym rozdziale tomu jest kamień. Handlarze nim powie poetka w wierszu *Kokon i kamień*: „myślą, że kamień coś ukrywa w środku/ aby przekonać się chcą przegryzać kamień, czego chcą/ od kamienia// oblepiony drobinkami podłoża kostropaty splekany/ nie wpuszcza do środka”. Ewokowany obraz poetycki wyraźnie kieruje nas w stronę słynnej *Rozmowy z kamieniem*. Sokołowska i Szyborska pytają nadaremnie, ale uparcie. Możliwość poznania, nawet (a może zwłaszcza) siebie samego jest nadal ograniczona, by nie powiedzieć niemożliwa. Motyw pewnej petryfikacji poznania na drodze epistemologicznego poszukiwania sensu powróci wielokrotnie. Ojciec „zamilkł jak głaz”,

Obca stoję obok

KSIĄŻKI

„cuda nie istnieją/ pełna jeszcze wiary/ modliłam się/ może nie dość gorliwie/ własnymi słowami/ rozbiły się o kamień” – wyzna poetka. Pytania o pryncypia będą tu grały podstawową rolę. Zarówno mikro – jak i makrokosmos nie udzieli odpowiedzi wobec efemeryczności naszego istnienia. Na pytanie „czy był jest tylko materią, tym i tylko tym?” zadane w wierszu *Teleskop Hubble’a*. *Rozważania* nie odpowie ani czytanie Kanta, ani pytanie o anioły, bo kiedy: „zachód cienistą luną/ obwieścił koniec świata/ te setki pytań/ zadawane sobie w takiej chwili/ jak rachunek prawdopodobieństwa/ dla wyrzutów sumienia/ zawsze zostaje głód odpowiedzi”. Zatem najpewniejsza wśród trwania i antynomicznej przygodności jest niepewność, owo *dubium*, które jak *coqito* zapewnia nam istnienie, kiedy chcemy: „pochylić głowę nad marnością bytu”.

Po próbie lokalizacji na współrzędnych istnienia przychodzi pora na to, co względnie pewne – przeszłość. Rozdział drugi zatytułowany *Bezpowroty* rozpoczyna wiersz *Przeprawa przez Słudwię* rzekę dzieciństwa poetki, które rozpoczęło się w Żychlinie w czerwcową środę. Niech nie zmyli nas topograficzny konkret. *Bezpowroty* nie mają w sobie nic ze zwykłej ciepłej mitologizacji dzieciństwa. Tytułowa Słudwia bardziej przypomina ziemnogorki obraz rodem z poezji Baczyńskiego, niż pełne sentymenty wspomnienie dziecięcych przygód: „wilgoć wzdłuż rzeki rosi łąkę, żółcienie oplatają/ stopy białe jak kości. Wyrwa po roztopach spada/ w rozmokły lej. Urwany brzeg przypomina śmierć ojca/ rzeka wypływa sine pokręcone zielsko...” Końcowa fraza opisu naszkicowanego mroczną kreską ciąży w kierunku aprosdokey, miast „zielska” spodziewamy się „ciała”. Obraz przeszłości miesza się z „tu i teraz”, a molowy nastrój w dziwny sposób zagraża i tym bolesnym przecież wspomnieniom przywoływanym *stacato*: „dziewczynka w szortach otrząsa kawałki wspomnień/ powraca myśl że ktoś wywinął się z tego jak obła ryba”, „patrzę wszystko jakby tak



PIOTR SKOWRONEK

samo, brązowy krzyż/ zrosnięty z pejzażem wsi, korzeniem w ziemi patrzy w niebo/ może coś w tym jest, może trzeba sięgnąć poza martwe/ drewno, poza uschnięte ściernisko, horyzont rozcięty pługiem spowija mgła”. Bezsprzecznie bohaterką tego rozdziału jest obok poetki jej mama. To ona: „wykupiła msze za zmarłych na cały rok”, to jej rosną „coraz dłuższe skrzydła/ rozbielone powoli twardnieją aż zamieniają się w błękitny kamień”, wreszcie za jej sprawą „można mieć w ustach cytrynowe cukierki/ pamięć przesuwająca obrazy z dzieciństwa/ postrzępione wśród gwiazd”. Sokołowska w *Bezpowrotych* lokuje jednak nie tylko opowiedziane dojrzałym głosem refleksje na temat doświadczenia swojego dzieciństwa, powrotu do niego, ale i *Plany na starość*. *Wybory*. Równie precyzyjnie i gorzko co o przeszłość, pyta o przyszłość dokładnie zapisując topografię swojego miasta – Dąbrowy Górniczej w wersach: „kto będzie odwiedzał liczne groby przy Strzemieszyckiej?/ otrząsał śnieg ze stalowych kwiatów?”.

Dwie części *Światło* w *kawałkach* i *Jakby zwiłaj się czas* są sekwencją obrazów, odbić, błysków historii życia poetki, którego większość rozgrywa/ła się, kiedy: „kobiety wycierają ręce o fartuch, wyciągają z kieszeni/ bułkę z pasztetową zakupioną w fabrycznym kiosku/ mężczyźni przy metalowej barierce palą Sporty”. Studium to kończy obraz niedalekiej starości zapowiedziany kodem kulturowych aluzji. Raz pyta za Słonimskim, a potem Młynarskim: „grasz w zielone?” Innym razem używając tytułu sztuki Alejandro Casona stwierdza: „drzewa umierają stojąc. ze strachu”, by wreszcie przyglądając się jaszczurce „przy jej grobie” skonstatować ostrożnie: „spotkamy się w lepszym świecie – / może”.

Janina Barbara Sokołowska: *Wiersze na przemiał*. Wydawnictwo „Śląsk”, Katowice 2020, 74 s.

Dnia 30 listopada 2018 r. tuż przed rozpoczęciem Konferencji klimatycznej (COP24) odbyło się sympozjum zatytułowane „W trosce o wspólny dom. Chrześcijanin na drogach ekologii”.

W książce pod tym samym tytułem, która ukazała się pod redakcją ks. Witolda Kania, zostały zebrane teksty poszczególnych wystąpień i inne dokumenty inspirowane tematyką spotkania w kwestii klimatu organizowanym przez ONZ, które miało miejsce w stolicy Górnego Śląska w dniach 3–14 grudnia 2018 r.

Jak zauważył w refleksji rozpoczynającej książkę abp Wiktor Skworec, metropolita katowicki, „Kościół na Górnym Śląsku zawsze był ściśle związany w człowiekiem, zwłaszcza z człowiekiem ciężkiej pracy. Używając języka encykliki Laudato si, nauczanie Kościoła miało i ma cechy ekologii integralnej, to znaczy ujmującej aspekt ludzki i społeczny”.

Właśnie w tym – w ramach interdyscyplinarnego dialogu na temat ekologii – głos zabrali przedstawiciele Kościoła, biznesu, polityki, nauki i organizacji pozarządowych.

Książkę otwiera ogólne wprowadzenie dotyczące zaangażowania Kościoła katolickiego w promowanie ekologii integralnej, autorstwa dr. Paolo Conversi z Sekretariatu Stanu Stolicy Apostolskiej, członka Delegacji Watykańskiej na COP24. Zaproponowane podejście do ekologii, począwszy od pontyfikatu św. Jana Pawła II, znajduje swój punkt kulminacyjny w nauczaniu obecnego papieża Franciszka. Ojciec Święty wzywa do „zmiany kursu” myślenia i postępowania człowieka wobec świata stworzonego i do promowania „kultury troski obejmującej całe społeczeństwo”.

Następujący po nim tekst abp. Ludwiga Schicka, metropolity archidiecezji w Bambergu pokazuje solidarne z innymi krajami zaangażowanie tego Kościoła w zrównoważony rozwój innych regionów świata i szeroki panoramę działań na rzecz ekologii. Przejawia się to w konkretnym wspieraniu licznych inicjatyw na terenie Niemiec i poza ich granicami.

W książce znajdziemy także artykuł o. dr. Jacka Poznańskiego z Akademii Ignatianum w Krakowie, który porusza kwestię potrzeby promowania solidnej duchowości ekologicznej. Zdaniem autora w sferze duchowej konieczna jest

W kończącym się 2020 roku w rybnickich księgarniach pojawiła się dość niezwykła pozycja wydawnicza. Aleksander Żukowski, autor znanych przewodników „Szlakami zielonego Śląska”, a także innych pozycji głównie o tematyce historycznej, za pośrednictwem wydawnictwa FlatArt opublikował swoją nową książkę „Rybnik wart poznania”. Co do tego że Rybnik jest miastem, które warto odwiedzić, nie trzeba nikogo przekonywać. Jednak niezwykły jest sposób w jaki autor dociera do czytelnika chcąc go nakłonić do poznania miasta.

Publikacja składa się z 10 rozdziałów opisujących różne aspekty życia mieszkańców. Niektóre opowiadają o rzeczach bardzo przyziemnych, takich jak targ lub rybnickie ronda, inne o sprawach wzniosłych i wytwornych. Czytelnik jest prowadzony przez autora przez wszystkie rozdziały docierając do różnych miejsc, czasami nowoczesnych, czasami naznaczonych zębem historii, jednak zawsze pełnych sekretów, które warto poznać. Treść zawarta w książce podparta jest bardzo solidną wiedzą historyczną i przyrodniczą, do której autor już nas przyzwyczaił swoimi wcześniejszymi publikacjami. Dlatego każdy rybniczanie zainteresowany dziejami swojego miasta czytając „Rybnik wart poznania” na pewno zostanie zaskoczony nowymi ciekawymi informacjami.

W romantyczny klimat książki doskonale wpisują się zdjęcia autorstwa Janusza Rzymanka znanego rybnickiego fotografa, filmowca i dokumentalisty. Jest ich

Wspólny dom

KSIAŻKI

spójna, całościowa praktyka i refleksja, która byłaby w stanie odpowiedzieć na obecny kryzys ekologiczny. Sprawiedliwość jest jedną z podstawowych postaw potrzebnych do zapewnienia prawidłowego stosunku do środowiska naturalnego, ale przede wszystkim do poszanowania ludzkiej godności.

To ostatnie zagadnienie zostało poruszone także w tekście ks. dr. Wojciecha Surmiaka z Uniwersytetu Śląskiego. Zdaniem autora sprawiedliwość musi iść w parze z miłosierdziem.

W książce znajdziemy także inne ciekawe refleksje autorstwa m.in. o. dr. Stanisława Jaromego OFMConv, zachęcającego do budzenia wyobraźni miłosierdzia w kwestiach ekologicznych; prof. Luca Fiorani, włoskiego naukowca i badacza, który pisze o konkretnych praktykach edukacyjnych wśród dzieci, młodzieży i dorosłych; ks. dr. hab. Grzegorza Polaka z Uniwersytetu Ekonomicznego

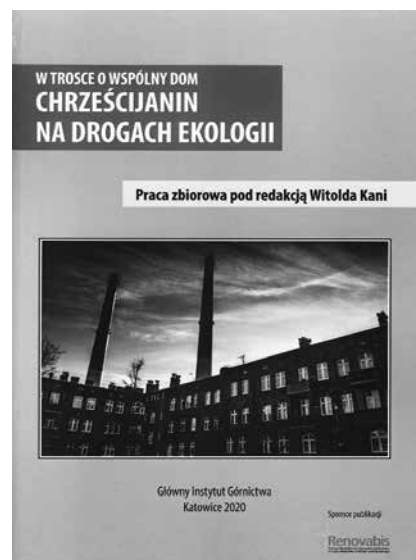
Rybnik znany i nieznan

KSIAŻKI

bardzo dużo, są piękne, starannie dobrane i znakomicie oddają treści przekazane słowem.

Tytuł książki to „Rybnik wart poznania” jednak autor z pewną dozą przewrotności daje czytelnikowi do zrozumienia, że można odczytać go jako „Rybnik wart Poznania” sugerując, że w dalszej treści ujawnione zostaną pewne analogie pomiędzy stolicą Ziemi Rybnickiej a Stolicą Wielkopolską. Tak jest w istocie. Związki Rybnika z Wielkopolską okazały się dość zaskakujące.

Zachęcam wszystkich do przeczytania tej publikacji, a właściwie nie do przeczytania, a poddania się jej klimatowi, który najlepiej oddadzą słowa samego autora książki:



KS. TOMASZ WOJTAL

W Katowicach, którego wystąpienie dotyczy roli liderów biznesu w trosce o ludzką godność i dobro wspólne.

Całość poruszanych zagadnień została posumowana w tekście „Sumienie przewodnikiem po drogach ekologii” autorstwa ks. dr. Witolda Kania z Uniwersytetu Śląskiego.

Opracowania powstało dzięki współpracy Głównego Instytutu Górnictwa, Fundacji „Renovabis” i Wydziału Teologicznego Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Wydawnictwo wpisuje się w dorobek COP24 i jest jego swoistym podsumowaniem, obrazującym ekologiczne zaangażowanie chrześcijan i ich troskę o „nasz wspólny dom”.

W trosce o wspólny dom. Chrześcijanin na drogach ekologii. Red. Witold Kania. Katowice 2020.



MARIAN UHEREK

„Nasze miasto jest jak kuchnia smaków – głodnych syci, wybrednych zaspokajają, poszukujących zdumiewa. Pełnię smaku poznajemy kosztując tę miejscowość wielokrotnie, acz subtelnie i z umiarem. Wtedy Rybnik nie daje o sobie zapomnieć – kusi, nęci i pociąga. Uwodzi municipalną alchemią”.

Aleksander Żukowski: Rybnik wart poznania. Wydawnictwo: FlatArt Rybnik 2020.

Krystyna Sz wajkowska ukończyła studia w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Częstochowie (obecnie Uniwersytet Humanistyczno-Przyrodniczy im. Jana Długosza w Częstochowie), kierunek: wychowanie plastyczne. Dyplom z grafiki warsztatowej zrealizowała w 1982 r. pod kierunkiem prof. Ryszarda Osadczego. W 1996 otrzymała stypendium naukowe rządu Belgii i odbyła staż w Królewskiej Akademii Sztuk Pięknych w Antwerpii pogłębiając wiedzę z zakresu litografii w pracowni prof. Ingrid Ledent. Jest doktorem habilitowanym sztuk plastycznych w zakresie grafiki. Stopień doktora i doktora habilitowanego otrzymała w Akademii Sztuk Pięknych we Wrocławiu. Pracuje na stanowisku profesora nadzwyczajnego w Uniwersytecie Humanistyczno-Przyrodniczym im. Jana Długosza w Częstochowie na Wydziale Sztuki, w Katedrze Grafiki. Jest autorką książek: „Litografia – tradycja i współczesność”, 2007 oraz „Litografowie polscy XXI wieku. Współczesna sztuka litografii w Polsce”, 2014.

W latach 1999–2005 była prodziekanem Wydziału Wychowania Artystycznego, a w latach 2005–2008 pełniła funkcję dyrektora Instytutu Plastyki Akademii im. Jana Długosza w Częstochowie.

Recenzent w przewodach doktorskich, recenzent prac dyplomowych studentów, opiekun plenerów, organizator wystaw dorobku studentów, juror w konkursach plastycznych.

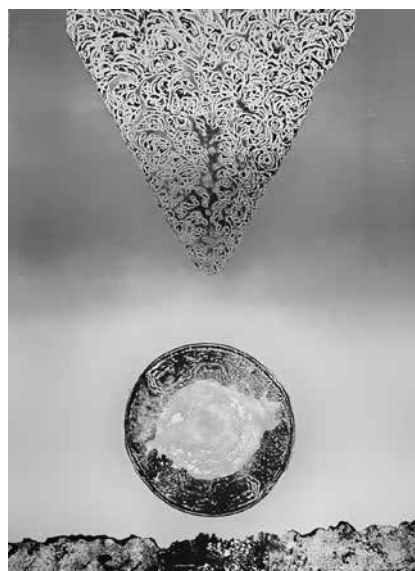
W twórczości zajmuje się litografią oraz innymi technikami grafiki warsztatowej, rysunkiem i malarstwem. Należy do Związku Polskich Artystów Plastyków.

Za twórczość otrzymała nagrody i wyróżnienia, m.in.:

1993 – I nagroda w dziedzinie gra-



Krystyna Sz wajkowska



Krystyna Sz wajkowska, *Struktury życia XXXIII, Globalne ocieplenie litografia, druk wypukły, szablony, 100x70 cm, 2018 r.*

fiki i rysunku na IV Ogólnopolskim Biennale Sztuki „Ecce Homo” w Katowicach.

2004 – I nagroda na VII Biennale Twórczości Plastycznej Wojska Polskiego „ARS 2004”

2005 – otrzymała Srebrny Krzyż Zasługi

2011 – Nagroda Miasta Częstochowy w dziedzinie kultury za całokształt pracy twórczej i pedagogicznej.

2018 – otrzymała Złotą Odznakę Związku Polskich Artystów Plastyków.

Krystyna Sz wajkowska brała udział w wielu konkursach i w ponad stu wystawach zbiorowych w Polsce, Belgii, Japonii, Niemczech, Norwegii, Austrii, na Tajwanie. Wielokrotnie przebywała jako „visiting artist” w Centrum Graficznym Fransa Masereela w Kasterlee w Belgii.

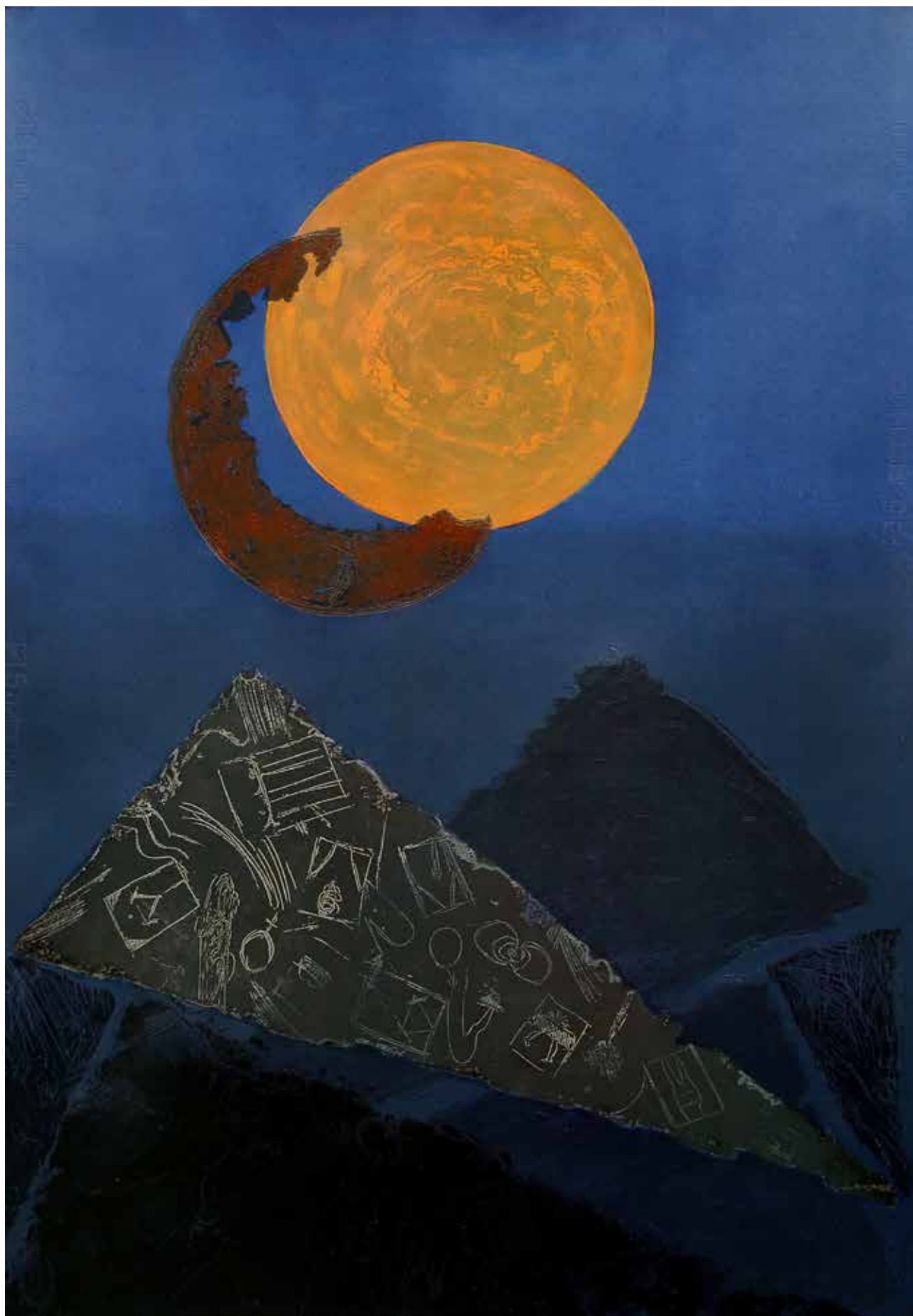
Prace artystki znajdują się między innymi w zbiorach Państwowego Mu-

zeum na Majdanku w Lublinie, w Muzeum Wojska Polskiego w Warszawie, w Centrum Graficznym Fransa Masereela w Kasterlee w Belgii, w Muzeum Historii Polskiego Ruchu Ludowego w Warszawie, w Muzeum Częstochowskim oraz w zbiorach prywatnych w Polsce i zagranicą.

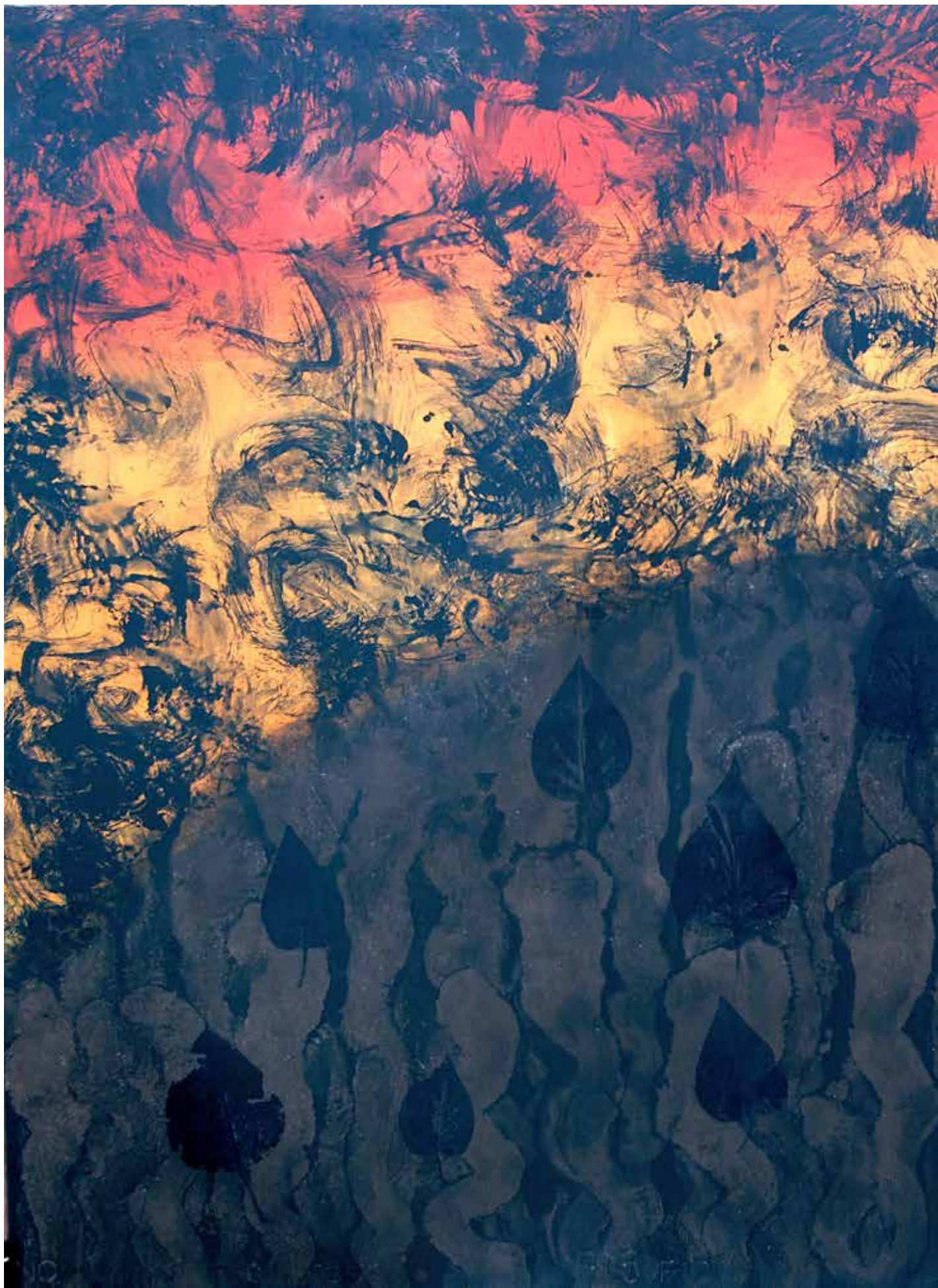
Pomysłodawca i trzykrotny komisarz Międzynarodowego Konkursu Artystycznego – Pejzaż Współczesny / konkurs organizowany przez Związek Polskich Artystów Plastyków Okręg Częstochowski w latach 2012, 2014, 2016 – konkurs odbywa się jako biennale.

Prowadzi prywatną autorską Galerię Sztuki – ARCHE w Olsztynie k. Częstochowy, w której zorganizowała pięć edycji konkursu plastycznego dla dzieci i młodzieży pt.: „Nasza Jura”.

Galeria Arche czterokrotnie brała udział w Warszawskich Targach Sztuki. ■



Krystyna Sz wajkowska, *Struktury życia XXXVIII, Globalne ocieplenie*, litografia, druk wypukły, szablon, 100x70 cm, 2019 r.





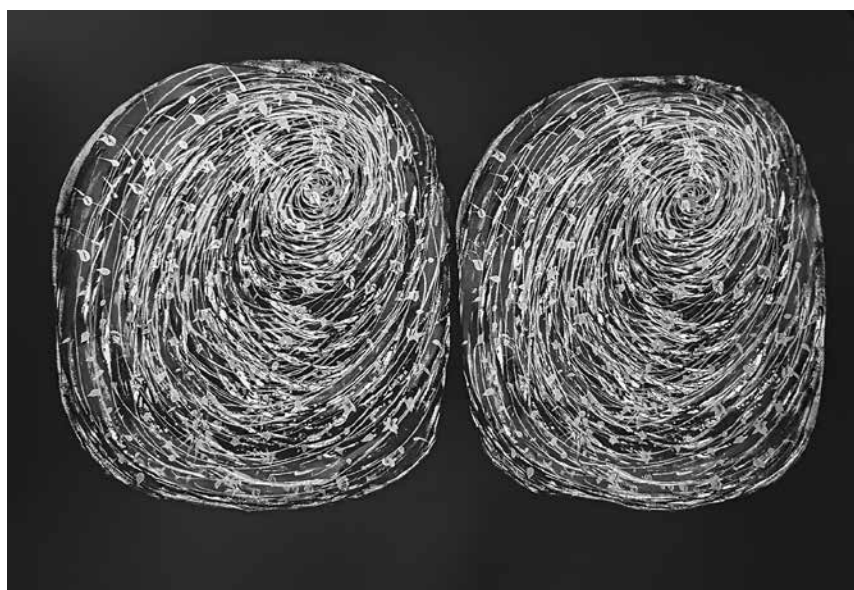


Krystyna Sz wajkowska, *Struktury życia XLIII, Globalne ocieplenie*, druk wypukły, szablon, 100 x 70 cm, 2019 r.

Wolność tworzenia, to w moim pojęciu wewnętrzne poczucie szczęścia z możliwości pracy twórczej. Pasja tworzenia to wielka namiętność i może być szczęściem, ale i udręką, zwłaszcza w momentach, kiedy twórca i jego sztuka znajdują się w kryzysie, nie można przełamać impasu, kiedy następuje moment rozczarowania własną sztuką. Mimo to sądzę, że nawet w największych kryzysach, stanach załamania i zniechęcenia własną twórczością, sztuka – jej tajemniczość daje twórcy poczucie wolności – wyjście poza istniejący realny świat i przebywanie w procesie tworzenia w innych obszarach, w innym wymiarze. Artysta może w ten sposób realizować marzenia, albo przedstawiać własne problemy, lęki, tęsknoty, obsesje, ideały, do których dąży. Ma do wyboru wiele dróg realizacji swego dzieła, począwszy od wyboru techniki do sposobu przedstawienia problemu. Może on być czytelny dla wszystkich, albo „schowany” w symbolach, kompozycji, w bardzo dalekich aluzjach. Umowność, z jakiej korzysta dzieło sztuki, powoduje, że artysta może odważyć się na przedstawienie spraw, o których nie byłby w stanie mówić wprost, gdyż bardzo często mówi po prostu o sobie.

Dzieło sztuki powstaje w otocze tajemniczości i zagadki, ale potem oddzielone od artysty żyje własnym życiem, jednak pozostają w nim energia i emocje twórcy. Jest on wolny w wyborze własnych, właściwych tylko sobie środków koniecznych do wyrażenia problemu. Sądzę, że artysta może tworzyć co chce i jak chce, ale w rzeczywistości ogranicza go wiele spraw.

W mojej litografii (grafice w ogóle) podstawowym ograniczeniem jest warsztat hamujący swobodę działania,



Krystyna Sz wajkowska, *Struktury życia XLV, Globalne ocieplenie*, litografia, druk wypukły, 70 x 100 cm, 2020 r.

Czym jest swoboda twórcza?

KRYSTYNA SZWAJKOWSKA

powodujący, że artysta pracuje w określonym rygorze. Jednak cierpliwe pokonywanie materii może stać się momentem wyzwolenia, tak uważa artysta grafik Eugeniusz Delekt: *Ograniczenia techniczne jakie nakłada na twórcę warsztat, przynoszą mu jednocześnie wielką szansę kreatywności. Gdy z pewnej umowności środków formalnych wyłania się konieczność daleko idącej interpretacji rzeczywistości... (ograniczenia) przeciwdziałają bierności, wyzwalają energię twórczą,*

sprzyjają operowaniu metaforą... Łatwość i trudność, prostota i wyrafinowanie, wolność i rygor sąsiadują w sztuce graficznej tak blisko, że zdają się być po prostu tylko różnymi jej aspektami.

Uważam, że artysta nie powinien sugerować się tym, które formy i środki są lepiej lub gorzej widziane, ale jego obowiązkiem jest spojrzeć w głąb siebie i kierować się jedynie głosem wewnętrznej konieczności, a wtedy wszelkie użyte w kreacji artystycznej formy staną się uprawnione. A więc czy artysta jest wolny w swej artystycznej wypowiedzi? Skłaniam się do stwierdzenia, że wolność tworzenia to dla twórcy wewnętrzne poczucie szczęścia z możliwości kreowania samego siebie. Na poparcie przytaczam wypowiedź Fernand'a Mourlot'a, jednego z najświetniejszych w świecie drukarzy-litografów, w którego paryskiej pracowni tworzyli najznakomitsi artyści XX wieku. Genialny litograf tak powiedział obserwując Marca Chagall'a w jego pracowni: *Kiedy Chagall stawał naprzeciw kamienia, jego twarz dosłownie rozjaśniała się. Obserwowałem go czasem, ale tak, żeby tego nie zauważył i podziwiałem jak niepomny co się wokół niego dzieje, był szczęśliwy w taki sposób w jaki może być szczęśliwy tylko ktoś, kto sam tworzy szczęście. Był w stanie zacząć rysowanie na kamieniu od bukietu kwiatów, który później przekształcał w głowę kobiety...* ■



Krystyna Sz wajkowska, *Struktury życia XXXII*, litografia, sucha igła, 70x100 cm, 2018 r.

Czy nie jest tak, że często wybiegamy myślami w przyszłość, projektujemy ją w szczegółach, nie wiedząc czy ma w ogóle sens? To tylko możliwość, o czym zapominamy zabiegani, gdy przewidujemy coś, czego nie ma (może nigdy nie nastąpi), tkwiąc w teraźniejszości, zastanawiając się kim będziemy, do czego dojdziemy i czy nasz sukces, do którego bezwzględnie dążymy, czasem łamiąc zasady, stanie się faktem czy niszczycielską porażką.

Teatr Korez przyzwyczył nas, że niektóre sztuki prezentowane publiczności, mimo komediowego charakteru, niosą ze sobą wiele problemów, których nie spodziewalibyśmy się odnaleźć w przestrzeni tego gatunku. Bawiąc prowokują jednocześnie do myślenia, nieustannego sprawdzania czy pod powierzchwną banalną historią, dwuznacznej postawy bohaterów nie skrywa się inny sens, znaczenie prowadzące w stronę spraw głębszych, kiedy okazuje się, że przewidywalna codzienność jest tylko iluzją, zaś humor zupełnie nieoczekiwane sarkastycznym, powściągliwym rodzajem przypomnienia, że ludzkie życie to nie tylko prawda powszednich zdarzeń, konwenansów, nakazów, ale też gwałtowne emocje, niespełnienia, porażki, brak miłości, zrozumienia i akceptacji przez innych. Gdy dodać do tego pytania o cenę sukcesu i jego konsekwencje to znajdziemy się pośród spraw, których dotyka najnowszy tekst teatralny, sztuka komediowa *Obserwator* popularnego satyryka Tomasza Jachimka, stałego Korezowego autora, znanego z cieszących się uznaniem publiczności utworów: *Kolega Mela Gibsona* czy *Wiwisexia*, obie w reżyserii Mirosława Neinerta. Została pokazana na zakończenie tegorocznej edycji, z konieczności online, Katowickiego Karnawału Komedi.

Tym razem aktorzy, stanowiący właściwie stały zespół tego teatru, grający także w innych spektaklach, zbudowali ciąg kameralnych scen wypełnionych prostymi historiami, można powiedzieć dotyczącymi empirii codzienności, układającymi się w zupełnie niespodziewaną i nieprzewidywalną całość, jak to u Jachimka bywa, przemysłaną, na-



fot. arch. teatru

Nic do ukrycia

WOJCIECH LIPOWSKI

pisaną niezwykle inteligentnie, no i rzecz jasna z delikatnym humorem. Co ciekawe, jest to sztuka bardziej wyciszona i refleksyjna, niż wspomniane już teksty tego autora. Podstawę scenariusza stanowi konflikt rozpisany na dwa związki, uzupełniony wątkami dodatkowymi, które tworzą efektowny komentarz do głównych zdarzeń i sytuacji.

Oto dwa małżeństwa wiodą zupełnie banalną egzystencję: jedno spędza puste wieczory wypełnione jałowymi komentarzami pani domu (niezwykle impulsywna Ewa Kubiak) skierowanymi do znośnego wszystko w milczeniu, zapracowanego męża (siła spokoju, czyli znakomity Piotr Rybak); drugie zdecydowanie młodsze, nastawione na sukces, którego matką chce być ona (skrojona na miarę tegoż, sympatyczna Daria Polasik-Bułka), zaś wykonawcą on, kandydat marzący o dobrze płatnej pracy w renomowanej kancelarii (wieczny chłopiec zagrany doskonale przez Mateusza Znanickiego). Drogi wymienionych panów przetną się bardzo szybko odsłaniając przy tym staran-

nie skrywane wady ich oficjalnej egzystencji. Przy czym pierwszy z nich zostanie tytułowym obserwatorem-podglądaczem życia, wynajętym przez tajemniczego prezesa, w którego firmie aplikuje pragnący „zrywać kapuchę” Piotr, by sprawdzić przydatność do pracy ubranego w dobrze skrojony garnitur, świetnie wykształconego (co również zostanie zweryfikowane) i bardzo naiwnego drugiego z panów.

Siła narracji tkwi jednak w postaci prezesa, który modeluje całość, manipuluje sytuacjami oraz ludźmi i nadaje kierunek kolejnym zdarzeniom. Mirosław Neinert, bo on wciela się w tę rolę, za pomocą kilku kresek, bardzo delikatnie uruchamia lawinę zdarzeń, pojawiając się w poszczególnych odsłonach, puentując wątki, otwierając kolejne. To bardzo ciekawa rola, a właściwie kilka ról. Za sprawą ich wymiany, w pewnych fragmentach jest kimś zupełnie innym, szczegółów zdradzać nie będziemy, przypomina nieco bohatera wcześniejszej sztuki Teatru Korez, a mianowicie *Nerwicy natręctw* Laurenta Baffiego, gdzie grał członka grupy terapeutycznej i jednocześnie lekarza, do którego przychodzili zagubieni pacjenci. Tam także wyznaczał kierunek kolejnym zdarzeniom. Tutaj w polu uwagi pojawia się trywialna w ujęciu komediowym, lecz dzięki doskonałej interpretacji Neinerta stająca się poważną kwestią: zagadnienie wierności własnym zasadom i przekonaniom, które ktoś chce złamać wykorzystując naiwność i brak doświadczenia życiowego. Kilka spotkań-rozmów z obserwowanym nieustannie Piotrem, aspirującym do prestiżowego stanowiska składa się na atrakcyjną, budującą napięcie figurę retoryczną tekstu Jachimka, stworzoną w pomysłowy sposób: różne zdarzenia nakładają się na siebie, jakby wszystko działo się równocześnie, a przecież opowiadana jest ta sama historia, tylko prezes zmienia stroje, hobby, otoczenie, pojawia się i znika, ni-

fot. arch. teatru



czym wyrzut sumienia, przypomnienie odbijające aktualny wizerunek Piotra, ale też porządkujące opowieść, bardzo złudne – jak pokaże zakończenie.

Można odnieść wrażenie, że na scenie odbywa się wciągająca widzów gra bez końca. Wciąż na nowo odsłaniane są bowiem, za sprawą pana Zbigniewa obserwatora, który wszedł bez skrępowania do małżeństwa i domu Piotra, wszelkie wady, ale też skrywane przed żoną tajemnice: romans z bardzo praktyczną barmanką (świetnie zagrana druga w spektaklu rola Ewy Kubiak), czy nie do końca potwierdzone cztery dyplomy, znajomość języków oraz inne wątpliwe umiejętności kandydata. To jednak tylko forma narracyjna całości, która idealnie – może taki był zamysł reżyserów Huberta Bronickiego i Mirosława Neinerta – nadaje się do przedstawienia życia pozbawionego świadomości konsekwencji podjętych wyborów, obranych dróg, czy destrukcyjnych kompromisów, na jakie decyduje się człowiek w pogoni za uznaniem, sławą, pieniędzmi. Kim byłem, kim jestem teraz mógłby powiedzieć Piotr po przegraniu gry, w którą dał się wciągnąć wyrachowanemu prezesowi, po odejściu żony w objęcia tegoż, po stracie wszystkiego, co miał i mógł nadal mieć, gdyby uniknął manipulacji ze strony bezwzględnego pracodawcy. Czy współwinnym tego stanu rzeczy był smutny pan Zbigniew dostarczający zleceń i niedawcy kompromitujących informacji? Może. Choć patrząc jak zaciska w dłoniach nóż, gdy obiera ziemniaki i słucha monologu żony, wydaje się, że także jest ofiarą, zakładnikiem sytuacji, okoliczności, w których przyszło mu działać.

Czy nie jest przypadkiem, że nowa komedia Tomasza Jachimka wzięła się z niepokojących wątpliwości, niewypowiedzianych przez bohaterów, które brzmią: nie rozumiem swojego życia, nie umiem nadać mu sensu, nie mogę poradzić sobie z tempem współczesnego świata i naporem spraw. Zauważmy, że powyższe kwestie w przywołanych tu tylko wrywkowo scenach, brzmią niczym odpowiedzi na niepostawione pytania. Wszelkie znaki odsyłające do wzmiarkowanych spraw zostały umiejętnie rozrzu-



fot. arch. teatru



cone mimochodem w tekście. *Obserwator* jest przede wszystkim przewrotną, inteligentną komedią, w podskórnej warstwie małym szkicem do opowieści o losach kilku z wielu zaplątanych w życie ludzi, czymś w rodzaju wariacji na temat prywatnej historii. Wybrany przez bohaterów model działania, opisany wyraziście przez autora, sprowadza się do nadania temu, co jest jego treścią, dodatkowych ważnych znaczeń w pozbawio-

nej głębszych wartości pustej rzeczywistości. A w niej żyją przecież ludzie z utworu Jachimka, tak się przynajmniej wydaje, gdy patrzymy na ich zmagania z losem. Cóż więc zostaje jako przesłanie, wpisane w finał ludzkiej komedii? W życiu nie ma zasad jak w boksie, mówi w pewnym miejscu bez skrępowania prezes, a prezesem jest ten, kto ma informacje. Dzięki nim można poznawać skryte starannie tajemnice, obnażać je nie zważając na granice prywatności, czy szacunek dla godności człowieka. Być może z tego wszystkiego zrodzi się kiedyś sprzeciw, opór, ale będzie to już materiał na inną opowieść. Tymczasem trwałym efektem obserwacji, podglądania innych są kłopoty, frustracje i porażki, tutaj śmieszą, czasem niepokoją, chociaż jak pisał Jonasz Kofta: „świat jest o wiele ciekawszy, gdy nam się zdaje, że nikt nie patrzy”.

Tomasz Jachimek
Obserwator
reż. Hubert Bronicki, Mirosław Neinert
premiera 7 lutego 2021
w ramach Katowickiego Karnawalu Komedii



fot. arch. teatru

NOTATNIK KULTURALNY

Redaguje:
Anna Gaitoer

Powróćmy do widzów

KATOWICE. Od 12.02.2021 otwierają swe podwoje – z zachowaniem reżimu sanitarnego – instytucje kultury w całym województwie śląskim.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego

KATOWICE. Kategoria **DOKONANIA Z ZAKRESU KONSERWACJI**

Nagroda główna (10 000 zł) – **Muzeum Górnictwa Węglowego w Zabrze** za przedsięwzięcie Konserwacja parowej maszyny wyciągowej

Wyróżnienie – **Muzeum w Rybniku** za projekt Konserwacja trzech sztandarów z okresu powstań śląskich 1919-1921

Wyróżnienie – **Muzeum Śląskie w Katowicach** za projekt Konserwacja dwóch grafik autorstwa Rembrandta Harmensza van Rijn pt. „Święci Piotr i Jan uzdrawiający kalekę” oraz „Ucieczka do Egiptu – Święta Rodzina”

Wyróżnienie – **Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie”** za projekt Konserwacja komody z Golezowa ze zbiorów Muzeum „Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie”.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego przyznał nagrody Marszałka Województwa Śląskiego: artystyczne, dla młodych twórców, za upowszechnianie i ochronę dóbr kultury oraz za wybitne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków za rok 2020 następującym osobom

Nagrody artystyczne Marszałka Województwa Śląskiego:
Adam Baumann – za osiągnięcia w dziedzinie aktorstwa,
Łukasz Długosz – za osiągnięcia w dziedzinie muzyki,
Wacław Golonka – za osiągnięcia w dziedzinie muzyki.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego dla młodych twórców:

Łukasz Koniuszy – za osiągnięcia w dziedzinie grafiki,
Katarzyna Błaszczynska – za osiągnięcia w dziedzinie aktorstwa i pracy z tekstem,
Alicja Miruk-Mirska – za osiągnięcia w dziedzinie muzyki.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za upowszechnianie i ochronę dóbr kultury:

Antoni Gluza – za upowszechnianie kultury ludowej,

Regina Gowarzewska-Griessgraber – za upowszechnianie sztuki operowej,

Ireneusz Kozera – za upowszechnianie kultury muzycznej.

Nagrody Marszałka Województwa Śląskiego za *wybitne osiągnięcia w dziedzinie konserwacji zabytków*:

prof. Julian Gembalski w kategorii „Wykonawca”,

ks. dr Krystian Worbs w kategorii „Inwestor”.

Złote Maski

KATOWICE. Ustala się, że w roku 2021 nagroda teatralna Złote Maski w województwie śląskim za rok 2020 fundowana będzie z budżetu Województwa Śląskiego w wysokości po 7000 zł w dziewięciu kategoriach regulaminowych.

Wszczęcie procedury

KATOWICE. Zarząd Województwa Śląskiego wszczyna procedurę związaną z zamiarem powołania Pana Zygmunta Woźniczki na stanowisko dyrektora Instytutu Myśli Polskiej im. Wojciecha Korfańskiego polegającą na zebraniu wymaganych opinii stowarzyszeń zawodowych i twórczych właściwych ze względu na rodzaj działalności prowadzonej przez instytucję oraz Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego.

Nominacja

KATOWICE. Powierza się Panu dr **Karolowi Maklesowi** pełnienie obowiązków dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach z dniem 31 stycznia 2021 r. do czasu powołania dyrektora Muzeum Śląskiego w Katowicach, jednak na okres nie dłuższy niż rok.

Komisja ds. Transformacji Regionu

KATOWICE. Powołuje się doraźną Komisję ds. Transformacji Regionu

Przedmiotem działania Komisji będzie opiniowanie, wspieranie oraz inicjowanie działań związanych z transformacją regionu oraz podejmowanie działań w zakresie zrównoważonego rozwoju społeczno-gospodarczego.

Zakres działania Komisji obejmować będzie w szczególności:

a/ wspieranie działań na rzecz odpowiedzialnej transformacji gospodarczej regionu w celu podnoszenia konkurencyjności i innowacyjności lokalnej gospodarki;

b/ wspieranie działań na rzecz odpowiedzialnej transformacji społecznej, w tym rozwijanie usług społecznych, edukacyjnych i na rzecz zatrudnienia;

c/ wspieranie działań na rzecz odpowiedzialnej transformacji przestrzennej, w tym zagospodarowanie terenów poprzemysłowych w celu tworzenia nowoczesnej infrastruktury społeczno-gospodarczej;

d/ wspieranie działań na rzecz odpowiedzialnej transformacji administracyjnej w celu podniesienia jakości zarządzania w regionie poprzez rozwój usług publicznych, wzmocnienie pozycji instrumentów terytorialnych oraz wzrost partycypacji mieszkańców w procesie kreowania i wdrażania polityki rozwoju;

e/ wspieranie zmian w kierunku gospodarki niskoemisyjnej, działań promujących efektywne wykorzystanie energii i ekologicznych form transportu;

f/ opiniowanie inicjatyw związanych z przedmiotem działania Komisji.

Komisja będzie funkcjonować od 1 marca 2021 r. do 31 grudnia 2022 r.

Regionalny Plan Transportowy dla Województwa Śląskiego.

KATOWICE. Przystąpiono do opracowania Regionalnego Planu Transportowego dla Województwa Śląskiego. Opracowany Plan będzie dokumentem wdrożeniowym dla Strategii Rozwoju Systemu Transportu Województwa Śląskiego, a jego opracowanie jest obligatoryjne dla spełniania przez Województwo Śląskie warunku podstawowego Celu Polityki 3 w obszarze transportu na poziomie regionalnym dla polityki spójności UE 2021-2027. Założenia do dokumentu dostępne są na stronie internetowej Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego www.slaskie.pl (zakładka plany rozwoju), na stronie BIP-u Urzędu Marszałkowskiego Województwa Śląskiego oraz na stronie <https://rcas.slaskie.pl>.

Święci na pandemię

TARNOWSKIE GÓRY. Rok 2020, naznaczony pandemią, wprowadził anomalia w życie codzienne, w tym także w działalność muzeów. Dla ustrzeżenia Muzeum Instytutu Tarnogórskiego od koronawirusa z magazynu wyprowadzono na światło dzienne wizerunki, mające w tym dopomóc, co wkrótce stało się podstawą kolejnej (82.) czasowej ekspozycji w MIT. Na wystawie pokazano kilkadziesiąt eksponatów z datacją od XV do XIX wieku, w tym malarstwa, grafiki oraz zbiór relikwiarzy związanych z orędownikami na czas zarazy. Zwiedzający zostają wprowadzeni w zapomniany już dziś język atrybutów, pozwalający odróżnić poszczególnych świętych. Artefakty pogrupowano tak, aby pokazać wzywanych i mających strzec od zarazy. Wystawa będzie czynna do odwołania. Zwiedzanie dostosowano do aktualnych zarządzeń sanitarno-epidemiologicznych. Konterfekty wspomnianych orędowników jak dotychczas szczęśliwie otoczyły pieczę zarówno zwiedzających, jak i kustoszów. Kuratorzy wystawy: Nina Jarzyńska, Marek Wroński. Muzeum Instytutu Tarnogórskiego, ul. Ligonja 7, tel. 32 285 50 30 (od godziny 12.00 w południe do 3.00 w nocy). ■



Św. Karol Boromeusz przedstawiony w stroju kardynalskim z postronkiem na szyi, który nosił podczas procesji pokutnych. Obraz na szkle, Augsburg, koniec XVIII w. Ze zbiorów Muzeum Instytutu Tarnogórskiego.

Nie robiąc nic

aby być szczęśliwym
czasami za szybko
nie robisz nic

gdy prześpisz
oczekiwane chwile
stracisz pamięć
budzącą rano
samotnością

Bytom 14.06.2020

Na śniadanie

upojone powroty
zjadania smutku
na śniadanie
odzyskują wigor
mając do dyspozycji
cały dzień

zabłakane prawo
do słońca i wolności
usiądzie obok

Bytom 14.06.2020

Będzie lepiej

będzie lepiej
gdy zajmie się tobą
ktoś kto cię zna

będzie wiedział
czego szukać
aby to znaleźć
...przed tobą

Bytom 13.06.2020

Na kolanach

na kolanach
iść dokądś
oznacza upaść
w szczerym polu

kruki i wrony
poderwane do lotu
nie zapomną podnieść

Bytom 13.06.2020

Próba zrozumienia niezrozumiałego

ciemne zakamarki
przestronnych wnętrz
nieprzyzwyczajone do przemijania
idą dalej
w mrok

niechybna starość
jak ktoś bliski
to pierwsza utrata
gruntu pod nogami

kiedy zaczyna padać deszcz
widać wyraźnie
rozpoznane oczekiwania
wpojonych kłamstw
a poświęcenia
nie równoważą
codziennej ulotności

Bytom 11.06.2020

Schronienie

rozgrzane ciało
użycza schronienia
miejscem na ziemi

pamięć zapachów
wystarczająca do wypełnienia
obecności
jak punkt orientacyjny
odkrywa nagle
smaki wiecznego miłowania

wymowna sceneria
rozrzuconej pościeli
ceruje dotykami
to co kiedyś przerosło
oczekiwania

*... dla Iwci ...
Bytom 3.06.2020*

mal. Jacek Zeman



Niewolnicy

znasz innych niewolników
co dzień odwiedzasz ich domy
gdzie zjadają upływ czasu

zmywają pot bezsensownych starań
lusterkami w które nie patrzą

jak nieme cienie
włożone do paleniska
płoną wieczorami
skłębionych myśli

Bytom 12.06.2020

Bez patrzenia do tyłu

bez patrzenia
do tyłu
wchodzi to
co nie powinno
i przekracza granicę
progu drzwi

jak negatyw
tego co widoczne
otwiera albumy zdjęć wszystkiego
co nie poszło tak
jak miało pójść

Bytom 13.06.2020



Suchą stopą

warto
przejść suchą stopą
po ścieżkach
pełnych błota i kałuż
aby znaleźć
słoneczną polanę
nad którą
konary drzew
uwieszone obłoków
jak złota rama
namalowanego nieba
zaspokoją serce

Bytom 12.06.2020

Nowe ogniska zarazy

niebezpieczni dla siebie
testują nowe ogniska zarazy
tym samym wirusem
od wieków

pośpiech kolejnych dni
nie zabezpiecza
postronnych

co się dzieje
że właśnie wtedy
nikt nic nie mówi

Bytom 13.06.2020

Zabłąkana karawana

wyzuci ze wszystkiego
przerażeni własnymi cieniami
jak zabłąkana karawana na pustyni
myślą że są bezpieczni
pijąc wodę
fatamorgany

jak cele
dla ukrytych strzelców
mijają ciągle te same miejsca
z góry przesądzonym
losem

Bytom 7.06.2020

Jacek Sosiński – urodził się 29.01.1960 r. w Częstochowie, gdzie ukończył V Liceum Ogólnokształcące im. A. Mickiewicza. Od 1973 r. tworzy wiersze. W latach 70. działał literacko w Klubie Młodych Twórców w Częstochowie. Po ukończeniu szkoły był w Zakonie Braci Szkolnych. Następnie został powołany do zasadniczej służby wojskowej. Później pracował między innymi jako zecer, doręczyciel, sanitariusz, dekarz oraz spawacz-ślusarz. Obecnie mieszka i pracuje w Bytomiu. Od kilku lat ponownie tworzy poezję, głównie rozpowszechnianą w internecie poprzez stronę bytomski Wierszokleta Jacek Sosiński. Do jego utworów powstały prace artystyczne, które wykonał zainspirowany treścią wierszy niestety nieżyjący już artysta-malarz, pochodzący z Gdańska, Jacek Zeman.

KSIĄŻKI NADESŁANE



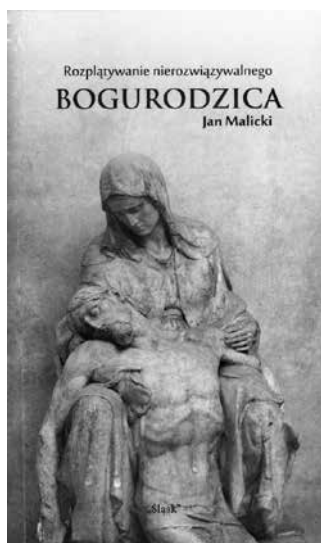
Marek Lyszczyna, *Notatki o polskim kinie kontestacji*. Wydawca: Śląskie Centrum Wolności i Solidarności, Katowice 2020.



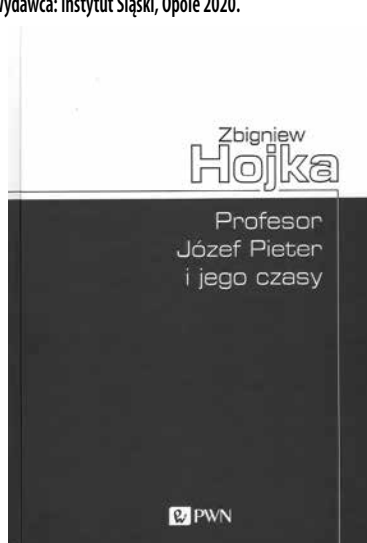
Zenon Jasiński, *Śląski kogel-mogel, czyli wybór karykatur, satyr i dowcipów politycznych oraz takich sobie głównie z okresu powstań śląskich*. Wydawca: Instytut Śląski, Opole 2020.



Aleksander Żukowski, *Rybnik wart poznania*. Wydawca: Agencja Reklamowa FlatArt, Rybnik 2020.



Jan Malicki, *Bogurodzica. Rozplątywanie nierozwiązywalnego*. Wydawca: „Śląsk” Sp. z o. o. Wydawnictwo Naukowe, Katowice 2020.



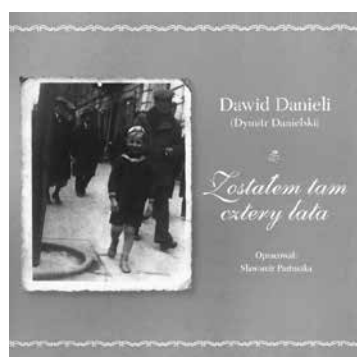
Zbigniew Hojka, *Profesor Józef Pieter i jego czasy*. Wydawca: Wydawnictwo Naukowe PWN SA, Warszawa 2020.



Sławomira Krupa, Aleksander Harkawy, *Właściciele koszęcińskiego pałacu oraz ich siedziba w okresie od XVII wieku do 1945 roku. Zarys dziejów*. Wydawca: Zespół Pieśni i Tańca „Śląsk” im. Stanisława Hadyny, Koszęcin 2019.



Antologia babińca literackiego 2016–2019 pod redakcją Anny Musiał. Wydawca: Fundacja Duży Format, Warszawa 2020.



Dawid Danieli, *Zostałem tam cztery lata*. Wydawca: Pszczyńskie Centrum Kultury, Pszczyna 2019.



Anna Feibelsohn, *Moje wspomnienia*. Wydawca: Pszczyńskie Centrum Kultury, Pszczyna 2018.



